

PULS
PULS
PULS
PULS

474

ZBIORY OŚRODKA KART

nieregularny

PULS

kwartalnik literacki

przeгляд numerów

14 - 17

Redagują:

*Jacek Bierezin (redaktor naczelny),
Jan Chodakowski, Tadeusz Kadenczy,
Bartosz Pietrzak, Grzegorz Sowula
(sekretarz redakcji), Witold Sułkowski
oraz członkowie kolegium redakcyjnego,
których nazwisk nie ujawniamy.*



Wyboru i przedruku dokonano
za zgodą PULSU.

————— X —————

KRAKÓW 1985

Wydawca zbliża podziękowania ANDRZEJOWI oraz fund. BA.

ALL RIGHTS RESERVED

Permission for reprint, translations and reproductions must be obtained
in writing from: *The Secretary*

PULS Publications
BCM Box 697
London WC1N 3XX
United Kingdom

Copyright © PULS Publications
ISSN 0143 5531

Wszelką korespondencję prosimy kierować na ręce sekretarza
redakcji.

PRZEDSTAWICIEL W USA:
Włodzisław Szalkowski, St Peter Convent, Olney, Maryland 20832

PULS

przegląd numerów 14-17
1982-1983

SPIS TREŚCI

- 5 - OD WYDAWCY KRAJOWEGO
- 7 - David THOREAU
Obywatelekie nieposłuszeństwo
- 9 - Jacek BIEREZIN
Do czytelników i przyjaciół
- 11 - Jacek BIEREZIN
Wiersze
- 15 - Sławomir MROŹEK
Do dyrekcji Muzeum w Łówr, za-
granicą
- 17 - Bronisław WILDSTEIN
Czekanie
- 37 - Janusz ANDERMAN
Choroba więzienna
- 41 - Bolesław SULIK
Edek
- 45 - Włodzimierz ODOJEWSKI
Co słyszać w ojczyźnie?
- 57 - Josef SKVORECKY
Red music
- 69 - Jerzy HORZELSKI
Dwa oblicza rzeczywistości
- 77 - Arthur KOESTLER
Wieża kontrolna

- 82 - Samuel BECKETT
Katastrofa
- 86 - Jan KOTT
Ionesco albo śmierć w ciąży
- 97 - Josef BRODSKI
24 grudnia 1971 roku
- 99 - Stanisław BARANCZAK.
Wpływ Josefa Brodskiego na
literaturę polską
- 104 - Alicja IWANSKA
Miasto "W".
- 107 * Witold SUŁKOWSKI
Notatki amerykańskie
- 113 - CZARNA KSIĘGA CENZURY - ROK 1853
- 122 - ARCHIWUM EMIGRACYJNE
Ksawery Pruszyński - Promienie
ultraczerwone
- 129 - DRUGI BRZEG
Zygmunt Bohusz-Szyszko
- 132 - GRAFIKA
Rysunki Sławomira Mroźka
- 138 - SOW SHOW
- 140 - POLITYTUŁY POLPRASY
- 141 - MUZEUM RUCHU REWOLUCYJNEGO.
- 145 - PULS 81
Liat Jana Nowaka
- 149 - Z FRONTU
Sposoby drukowania
- 152 - PULS 14, 15-16, 17 - SPIS TRESCI

Od wydawcy krajowego

Zgodnie z życzeniem redakcji PULSu poetanowiliśmy rozpocząć krakowską edycję niektórych przynajmniej materiałów publikowanych przez to pismo. Rozpoczynamy ją przeglądem pierwszych czterech emigracyjnych numerów PULSu. Wyboru tekstów oraz innych materiałów z tych numerów pisma dokonaliśmy na własną odpowiedzialność wydawcy krajowego. Staraliśmy się przy tym zachować oryginalny kształt, nadany PULSowi przez jego redakcję, w szczególności wszystkie stałe rubryki pisma. Chcieliśmy także nie zetracić w tej antologii specyficznego klimatu - właściwego każdemu czasopiśmu, w PULSie tworzonego swoistym przemieszaniem tekstów politycznych, literackich, satyry i reklamy książek. Uprawiedliwienia wymaga jednak opuszczenie w tym przeglądzie znacznej części materiałów stricte politycznych, odnoszących się do nieaktual-

nych już chwil lat 1982-1983. Całą
tę grupę reprezentuje niejako jeden za-
ledwie, dłuższy, a znakomity tekst
umieszczony na początku numeru. Poza tym
dominują w przeglądzie tematy mniej
bieżące, bardziej zaś uniwersalne.

Wydawca krajowy pragnie podziękować
redaktorom PULSu za upoważnienie go do
przygotowania i wydania tej antologii.

W Krakowie, w lipcu 1985.

David Thoreau

OBYWATELSKIE NIEPOŚLUSZEŃSTWO (fragmenty)

... Czy musi obywatel, choćby przez chwilę, w najmniejszym nawet stopniu, podporządkowywać swe sumienie obowiązującemu prawu? Jeśli tak, to na cóż człowiekowi taka rzecz jak sumienie? Nasamprzód powinniśmy być ludźmi, a dopiero potem obywatelami. Bardziej pożądanym jest kultywowanie poważania dla prawdy aniżeli dla prawa... Jeśli chcemy przykładu naturalnego i powszechnego, a zarazem niezastępowanego respektu wobec prawa, wyobraźmy sobie sznur plechoty naszerującej na wojnę, z podziwu godną dyscypliną, przez wzgórza i doliny. Idą pułkownik, kapitan, kapral, szeregowi, mali dobnosze, a idą wszyscy wbrew swej woli, ha, wbrew zdrowemu rozsądkowi i głosowi swych sumień. Idą, a krok ich ciężki i serca nie lekkie. Nie mają wątpliwości że służą przeklętej sprawie: przecież z natury są usposobieni pokojowo. Kim więc są? Czyż są w ogóle ludźmi czy też małymi ruchomymi fortami i fortecami, w służbie jakiegoś... awionego skrupułów władcy...

Znakomita wleczakość ludzi tak wfaśnie służy państwu, są oni nie jako ludzie lecz nieczym maszyny... To oni tworzą wojsko, milicję, straż więzienną, posse comitatus etc. Większość z nich o nic nie pyta, brak im wrażliwości moralnej: upodobnili się do rzeczy martwych, do drewna i kamieni... Oni jak prawicy, politycy, prawodawcy, ministrowie, urzędnicy służą państwu głównie swoimi głowami: lecz ponieważ nieskłonni są do czynienia moralnych rozróżnień, często, i to nawet bezwiednie, służą diabłu raczej, aniżeli Bogu. Bardzo nieliczni: bohaterowie, patrioci, męczennicy, wjełcy reformatorzy i l u d z i e -- służą państwu swoimi sumieniami, eo z konieczności powoduje sprzeciwianie się mu, a oni z kolei traktowani są przez nie najczęściej jako wrogowie.

Wszyscy uznajemy prawo do buntu, to jest prawo do wypowiedzenia posłuszeństwa, do oporu wobec rządu, kiedy tyranizm i nieudolność rządzących stają się zbyt wielkie i nie do zniesienia.. Jeśli ktoś powie mi że rząd nasz jest zły ponieważ nakłada clo na pewne towary przywożone do naszych portów, to najprawdopodobniej nie będę czynił z tego powodu zbyt wielkiej wrzawy ponieważ mogę się bez nich obejść. Każda machina państwowa podlega pewnym celom i być może taka polityka celna jest uzasadniona. Jest jednak czelkiem inaczej kiedy machina ta organizuje ucisk i wyzysk. Wtedy powiadam, że machina ta nie jest nam potrzebna. Innymi słowy, kiedy jedna szóstka ludności kraju, który deklaruje się być naszą wolnością, jest w istocie niewolnikami..., a cały kraj jest poddany stanowi wojennemu, to uważam że człowiek uczciwy nie może zwlekać z buntem i oporem.



Jacek Bierezin

DO CZYTELNIKÓW I PRZYJACIÓŁ

Ten list do Czytelników i Przyjaciół – bo tak chciałbym potraktować kilka słów które mam do powiedzenia – powinien być podziękowaniem.

Kiedy niemal wprost z obozu internowanych, znalazłem się niespodziewanie w Paryżu czyli na księżycu, gdzie wręczono mi PULS nr 14 oraz kilka książek wydanych nakładem PULS PUBLICATIONS w czasie trwania stanu wojennego, doznałem mieszanych uczuć. Z jednej strony była to radość, że PULS ukazuje się nadal, mimo że wszyscy członkowie redakcji krajowej byli uwięzieni, z drugiej odczuć blańcość tego faktu w porównaniu z tragedią narodową, dramatami poszczególnych ludzi, obrazem zawałonego świata, jaki przywoziłem ze sobą z Polski.

Po chwili jednak przyszła refleksja, że przecież to cząstka ratowanych z wysiłkiem wartości, że nasza wieloletnia praca pisarska, redaktorska, społeczna – rozpoczęła na długo przed powstaniem SOLIDARNOŚCI, praca, która była i również pewnym wkładem do tego ruchu społecznego, jakim była i jest SOLIDARNOŚĆ, że ta praca może i powinna być kontynuowana w zmienionych warunkach w warunkach stanu wojennego.

Czym są warunki stanu wojennego? W Polsce jest to dosyć proste i oczywiste. Jest okupacja – ale trudniejsza, bo okupacja Polaków przez Polaków, jest konspiracja – ale trudniejsza, bo żandarm i szpicel mówią po polsku, jest wreszcie rząd, który jest rządem polskich zbrodniarzy. Bo chyba nie muszę nikogo przekonywać, że zbrodnia jest nie tylko strzelanie, że zbrodnia jest także postawienie 30 milionów ludzi, w tym czteremastoletnich dzieci roznoszących ulotki przed najbardziej dramatycznymi wyborami; w kraju, który nie jest w stanie wojny z obcym państwem, w kraju, w którym 30 % ludności nie ma pieniędzy na wykupienie kartek żywnościowych, w kraju w którym do zbuntowanych dzieci wzywa się bandytów z *Zomo*.

W tych warunkach ukazywanie się literackiego pisma w Polsce stanu wojennego może być niemożliwe. Byłby to zresztą swego rodzaju luksus, na który nie powinniśmy sobie pozwolić, gdy moce produkcyjne zakonspirowanych drukarni nie wystarczają na potrzeby podziemnej SOLIDARNOŚCI.

Jednakże głosy Czytelników, Przyjaciół i Kolegów przekonały mnie, że PULS może nadal ukazywać się w Londynie. Ciągłość pisma została zachowana. Trzynastka jako liczba oznaczająca kolejny numer została symbolicznie opuszczona (choć numer trzynasty był w kraju gotowy już w grudniu i być może jeszcze ujrzy

światło dzienne). Dzięki londyńskim redaktorom i współpracownikom PULSu ukazał się numer cziemasty. Chciałbym podziękować Autorom tego numeru i jego Redaktorom.

Chciałbym podziękować wszystkim Przyjaciółom PULSu, którzy od początku powstania pisma udzielali mi i udzielają wszelkiej pomocy, a także Autorom obecnym w PULSio, których zapraszam do dalszej współpracy.

W Paryżu znalazłem się jako internowany, z przepustką z obozu, do którego mam się zgłosić natychmiast po powrocie, oraz z pierwszym, w swoim życiu, normalnym paszportem turystycznym ważnym na rok. Powody dla których mi go przyznano są zbyt skomplikowane, aby je wyjaśniać w tym liście, choć z pewnością zasługują na to, aby je opisać kiedyś w dzienniku czasu wojny.

Niezależnie od tego, jak potoczą się wydarzenia, jakie będą moje dalsze losy, zapewniam Czytelników i Przyjaciół PULSu, że przez ten rok będę – wraz z całym zespołem – prowadził pismo najlepiej jak potrafię.

Jacek Bierezin

Jacek Bierezin

POWRÓT

Po wielu latach krzyku
po kilku latach milczenia
postanowiłem wrócić na ring
i opowiedzieć wam wszystko
jak było naprawdę
Chciałbym opowiedzieć o tym
że miejsce poety było znowu na ulicy
i że napisać kolejny wiersz dla ludzkości
znaczyło naprawdę zbyt mało
W drugiej połowie lat siedemdziesiątych
znow znalazłem się w środku kraju
w jądrze ciemności w smudze cienia
Skazany na dworce
które nie były już z moich wierszy
i nie oznaczały motywu podróży
ani poszukiwania nowej drogi do prawdy
które były rzeczywiste jak ze snu
dworce-fabryki dworce-więzienia
podziemne mroczne stacje męki krzyżowej
na których w bólach rodziła się druga Polska
podczas gdy pierwsza Polska
była już w stanie przedzawałowym
i wydawało się że znowu trzeba będzie
przetoczyć krew lub zapłacić krwią
lub oddać swą krew
Honorowi krwiodawcy z całego kraju
czekali na znak na przypływ odwagi
na cud nad Wisłą na przebudzenie

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza
lansowała hasło

Krwiodawco -- oddaj swą krew krwiopijcy
Krew była potrzebna do farbowania sztandarów
W Radomiu i Ursusie przecięto żyły ulic
Serce biło nadal Otworzono na oścież
bramy szpitali więziennych i kostnic
Ci którym udało się uciec
achronili się w domach
które zresztą nie chroniły przed niczym
i oglądali czerwone pająki w telewizji
Jadowite tarantule
dobierały się do serca Polski

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych
znów znalazłem się na rozstajnych dworcach
i usłyszałem głos bitych i poniżonych
i usłyszałem głos proroka Ezechiela
i usłyszałem głos Pana
i głosy wszystkich świętych ateistów
i usłyszałem z głośników dworcowych
głos niewidomego proroka Ray Charlesa
wzywający do wyruszenia w drogę
i usłyszałem własny głos
i wyruszyłem

SZKIC DO SCEN Z GROTTGERA

Przyszli o pierwszej w nocy
wyłamali drzwi łomem
Nie byli w mundurach policyjnych
lecz w mundurach armii zbawienia
w kożuszkach garniturach krawatach
i niebieskich skarpetkach z przydziału
bo oszczędzają cywilne na cywilne okazje
Z marynarkami nieco wypchanymi
po lewej stronie z czego wywnioskowałem
że żaden z nich nie jest mańkutom
Nię nie będzie już panu potrzebne
— mówili — wyrzucając mi z torby
długopis zeszyt i szczyrek
Nie będziemy robili rewizji
pan pojedzie z nami
Zawieźli mnie na śmierdzącą komendę
kolejną w życiu śmierdzącą komendę
zadawałem sobie retoryczne pytanie dłuższego
komendy komunistyczne muszą śmierdzieć
Zobaczyłem wielu ludzi wyglądających tak
jak wygląda człowiek po godzinie snu
podezas której zatrafił płyty anioł
spadła gwiazda z nieba na ziemię
i zaczęła się noc długich noży
Zobaczyłem wielu ludzi po tej
i po tamtej stronie przezroczystego powietrza
często nazywanego barykadą
Wtedy zrozumiałem że jeszcze żyję
i że na razie była to
noc długich łomów

MŁODZI JASNOWŁOSI

Młody jasnowłosy
żołnierz rezerwista
Bruzda zdecydowania
jak okop
przecina mu czoło
Mówi
że nie będzie nas pilnował
i że najlepiej
postrzeli się w nogi
Zastanawia się
czy wyjdzie ze szpitala
już po wojnie
Długo i cierpliwie
tłumaczy mu
że dla dobra nas obu
powinien być moim oprawcą
Nie wiem jeszcze wtedy
że te nogi
utną mu do kolan
a mnie będzie pilnował
młody jasnowłosy żołnierz

1982

Sławomir Mrozek

**DO DYREKCJI
MUZEUM W ŁÓWR,
ZAGRANICA**

Niniejszym donoszę, że mam dla Dyrekcji niespodziankę. Przy kopaniu na działce wykopałem dwie ręce w stanie dobrym, z kamienia.

Orientuję się, że Dyrekcja jest w posiadaniu starożytnej rzeźby greckiej bogini Wenus Zmiło. Dyrekcja nie zaprzeczy, bo są świadkowie.

Wyżej wzmiankowana rzeźba nie ma rąk, bo jej brakują. Ja o tym wiem z dobrego źródła.

Sytuacja teraz jest taka, że ja te ręce znalazłem.

Mogę te ręce dostać Dyrekcji za uiszczeniem opłaty pocztowej przy odbiorze. Za to proszę Dyrekcję o spełnienie moich życzeń.

Moje życzenia są takie: Wycofanie obcych wojsk z terenu mojego kraju. Rozpisanie wolnych wyborów do Sejmu drogą powszechnego głosowania. Niezwłoczne zaopatrzenie nas w mydło, buty i pastę do zębów.

Jeżeli Dyrekcja nie może tego zafatwić sama, to niech się porozumie z Narodami Zjednoczonymi. Im chodzi o kulturę światową i jest jasne, że albo bogini będzie dalej bez rąk, albo już będzie z rękami.

Dla mnie osobliście proszę za fatywę o wysłanie mi puszki kawy mielonej w proszku marki Nescafe. Proszę o wysłanie przesyłką poleconą bo kradną.

Z wyrazami poważania

Sławomir Mrozek - polak.

Nekładem PULS Publications



Cena £3.75 + przesyłka

Bronisław Wildstein

CZEKANIE

Od kiedy wyjechalismy, lwonie towarzyszył pewien lek. Bala się, że pewnego razu obudzi ją wiadomość z Polski, zła wiadomość. Nie było to skonkretyzowane, było czymś, co owinięte jest w nieprzeźroczystą mgłę i co boimy się nazwać; co majaczy złowrogim kształtem, ale jest tak niedookreślone, że łatwo je zapomnieć, chociaż nigdy do końca, bo towarzyszy nam cały czas i czai się o świcie przed obudzeniem. Mnie zdarzały się często sny, w których nagle odnajdywałem się w Polsce, w przestrzeni, z której nie ma wyjścia, z drogami, którymi kluczyłem i które zamykały się koło mnie coraz ciaśniej. I też było to niejasne, tylko czułem, że wszystkie iluzje, którymi karmitem się pryskają hienazwane, krzepną w gardle jak sen i budzą się do ciemnej rzeczywistości.

Nasz holenderski gospodarz obudził nas w niedzielę wiadomością, że Jaruzelski ogłosił stan wyjątkowy, paru ludzi jest aresztowanych, w tym Gierek i Jaroszewicz, a reszty możemy dowiedzieć się dzwoniąc do Żaby do Paryża. Żaba biega na manifestację i wiedział tylko, że ogłoszono stan wojenny, jest trochę aresztowanych – radykałowie z Gdańska i ktoś z Warszawy, w tym Sitwiński i Kuroń (dziwne zestawienie, co?), a wszystkie możliwości łączności są odcięte. Nie wydawał się specjalnie przejęty.

Był śnieg i zaczynało być mroźno, za oknami Holandia powoli układała się w zimowy pejzaż Breughla, który w sumie – mimo skłóconych żywiołów, ludzkich insektów szalejących lub zadających sobie krzywdę – jest w przeważającej mierze malarzem harmonii. To miała być ta Holandia, w której chcieliśmy się zanurzyć, o poszukiwaniu której opowiadaliśmy poprzedniego dnia naszym, właśnie poznanym, niezwykle gospodarzom pijąc piwo z rzeźbionych butelek i holenderską wódkę, dyskutując o różnicach między ekspansywną surowością Holendrów, a zmysłowością Flamandów, o tym jak te różnice wpływają na malarstwo, jak przenikają się, zaprzeczają sobie i oczywiście powróciliśmy do Dyla Sowińskiego i karnawałowego temperamentu, który dziwnie godził się z ascetycznymi pierwiastkami duszy holenderskiej. Był oczywiście ogień na kominku, a gospodarz miał brode, palił cygara i służył cztery lata w marynarce. Pływał na Suriwan, Indonezję – był rzeczywiście conradowskim typem z już onegdajszego,

heroicznego okresu i łączył w tę niespotykaną obecnie całość poczucie obowiązku, indywidualizm, otwartość na ludzi.

Jeszcze chyba nie dalej jak poprzedniego dnia mówiłem: może to i dobrze, że nastąpi kolejna konfrontacja i przewidywałem scenariusz wypadków; pierwsza uderzyła władza, teraz nastąpi kontratak SOLIDARNOSCI, a władza będzie musiała cofnąć się jak zawsze dotąd, bowiem to nie ona panuje nad sytuacją w Polsce. Może to i dobrze, że spowodowała kolejne zadrażnienie, bowiem obudzi to rozpolitykowaną i zajętą permanentnymi wyborami SOLIDARNOSĆ i wreszcie ruszy konieczny projekt reformy, tak ładnie oraz całościowo skonstruowany i podpisany na ostatnim kongresie. Przecież wszystkie dotychczasowe kryzysy, i sprawa Narożniaka, i afera bydgoska stawały się w efekcie zwycięstwem SOLIDARNOSCI.

Wtedy, w niedzięć trudno było mi być zadowolonym, ale jednocześnie wiedziałem, że nie mogę zdać sobie sprawy z tego, co dzieje się naprawdę. Za oknem w azronie i śniegu nieruchomiały gałęzie drzew (ten grudzień jest zupełnie wyjątkowy) czułem coś w rodzaju napięcia tak głęboko, że prawie trudno je wyczuć, ale przecież byłem pewny, muszą cofnąć się w ciągu dwóch, najwyżej trzech dni, a to już ich ostatnia próba. I nawet lwona zdenewrowana była tylko trochę, jakby podskórnie. Jednocześnie było to jak sen, jakbyśmy poruszali się w nierealnym wymiarze, w którym nic się nie dzieje, a wypadki toczą się gdzie indziej, gdzieś poza śniegiem, gałęziami drzew, zimą jak z japońskich obrazków, gdzie wszystko jest jednością miłą i białą, a twój głos nie jest już twoim głosem.

Potem, kiedy jechaliśmy wśród diun i szliśmy nad morzem, a było sine i otwierało się wielkie przestrzenie, lawice muszelek chrzęściły nam pod podszwaniami i morze pleniło się, łoskotało – właściwie zapomnieliśmy o tamtych dalekich wypadkach, które wreszcie muszą ułożyć się w porządku naszych pragnień, bo teraz wszystko nam sprzyja i realizuje się wreszcie ta wielka szansa, której nie przeszkodzi parodniowe zamieszanie.

Z okien samochodu oglądaliśmy uśpione miasteczka holenderskie, w zlinie, tak właśnie jak chcieliśmy je zobaczyć już dawno i powoli zaczynaliśmy mieć wszystkiego dość. Także odsoniętych okien, gdzie przy kominkach przygotowywali święta Holendrzy.

W domu też palił się kominek, a jedną ścianę stanowiły szklane drzwi otwierające się na ogród, który także jak japoński odbijał w miniaturowej formie harmonię powszechną poprzez tafłę wody w stawie i jakby las, odsonięte pole – dowiedzieliśmy się, że aresztowano całe KKP i wiedzieliśmy, że to coś więcej niż amnevr, a zdobycie szkoły oficerów pożarnictwa, co oglądaliśmy jeszcze w telewizji we Francji: helikoptery, opancerzone transportery, komandosi i falanga policyjna (tak bogate wtedy) to było ćwiczenie próbne. Mówiliśmy do naszych gospodarzy, że zamknęli sto osób, ale przecież nie mogą zamknąć dziewięciu milionów. I chociaż wiedzieliśmy, że niczego nie możemy się jeszcze dowiedzieć, bo połączenia są odcięte, a nic rozstrzygającego stać się nie może już teraz – lwona mówiła o poniedziałku, ja twierdziłem, że będzie to wtorek, a właściwie środa, kiedy generałowie zaczną odwrót, choć, być może już wtedy, pomyślałem, że postawili wszystko na jedną kartę i nie mają odwrotu – ale jednak zaczęło się to, co miało być statym refrenem i akompaniamentem nadchodzących dni: ciągłe manewrowanie

gałką radioodbiornika, aby w gwizdzie i bułgocie szukać informacji, których nie było, bo znaleźliśmy je dokładnie, ale wysłuchiwałem po raz drugi, piąty, siedemnasty, tych coraz głośniejszych i bardziej parszywych komentarzy, pomiędzy słuchaniem radiostacji moskiewskich po rosyjsku, angielsku, to znowu wylapując czeskie, na zmianę Pragę i Wołną Europę, a potem już wszystko jedno co, byle o Polsce: po włosku, francusku, niemiecku, hiszpańsku, rozumiejąc tylko nazwy, czy nazwiska i usiłując domyślać się czegoś, rozszyfrować, jakby dopiero w tych nieznanach językach można było odnaleźć prawdę.

Jeszcze w niedzielę potrafiłem pójść w nocy na spacer i cieszyć się nim, śniegiem, drzewami układającymi się w zawikłany, acz odczytywalny znak, światłem śniegu odbitym w księżycu. Choć już wtedy zdążyłem pokłócić się z gospodarzem atakując z wściekłością mch pacyfistyczny, który był dla niego dumą Europy Zachodniej, i kiedy słyszałem jak w odpowiedzi na moje argumenty o szantażu sowieckim mówił, że szantażu nie należy się bać i wystarczy zdecydowana postawa, a wtedy nie jest potrzebna broń. Trzeba wreszcie zrobić pierwszy krok -- mówił, a ja czułem się jakbym rozmawiał z nim przez gęsty śnieg, jakbyśmy nie potrafili usłyszeć swoich słów.

AkcSORIA tak dokładnie znane: „Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego”, spikerzy przebrani w mundurzy i ten Jaruzelski, którego ciemne okulary od kiedy został premierem wywoływały rozbawienie jako parodystyczne zapatrzenie w iatynoskie wzorce. „Ten śmieszny plastus”, jak określał go Jarek zdeglustowany, że na Zachodzie mogą brać coś takiego na serio. I ja też przecież myślałem wtedy, napadany wątpliwościami, które znowu rozwiewały się, kiedy świeżo przybyły K. opowiadał mi, że „generał” nosi gorset ortopedyczny z powodu rozmięknięcia kręgosłupa, i że metaforyczność tej sytuacji wyjaśnia wszystko. Wtedy jeszcze nie myślałem, że K. miał szczęście przedłużając swój pobyt w Paryżu, choć już wiedziałem, że prawdopodobnie Jarek jest za kratkami i przypomniałem sobie jak trafił tam po raz pierwszy, jak pędzili nas szarymi korytarzami w cienkim świetle okratowanych żarówek, w szpalerze policjantów trzymających pałki, których jeszcze nie wolno im było użyć, tylko przed nami wleczono kogoś za ramiona po ziemi.

Obudziłem się z ołowiem w żołądku. Iwona już wtedy nie chciała wstać, chociaż dopiero w następnych dniach stało się to wyraźnie: budziła się późno, a raczej nie budziła się, poruszała się mozołnie, włączała radio, przykładając je do ucha, odstawała, leżała gapiąc się w ścianę lub sufit. Spokój za oknami, przestrzeń w śniegu, aż po stoneczne niebo, zaczęły mnie dusić. Chciałem wyrwać się, a jednocześnie jakbym nie mógł wydostać się z domu, jakby było to przedłużenie koźnaru sennego, kiedy to uciekałem przed postaciami bez twarzy, ni to szukałem swoich przyjaciół, nie mogąc przypomnieć ich sobie, usiłując wydostać się skądś, czy też dokądś i nie identyfikowałem nawet swoich planów.

Wiadomości były skąpe, ale wystarczały, aby zrozumieć, że sytuacja była inna niż mogliśmy oczekiwać w najśmielszych, czy raczej najbardziej ponurych przypuszczeniach. Tylko właściwie nie pamiętam jak składały się te wiadomości, kiedy następowały które, jak odsłaniała się nam sytuacja. Dni ciągnęły się wolno, coraz wolniej, i my poruszaliśmy się w nich coraz bardziej mętnie i ospale, czas

spadał jak śnieg i tylko gdzieś poza tym niderlandzkim miasteczkiem, uśpioną Holandią, bełkotały i charczały wydarzenia wytławiane gałką radioodbiornika, czy odbijały się w zdjęciach ludzi kłęjących na ulicy, czotgów, samochodów pancernych, grup wojskowych, policyjnych oddziałów ciągnących ulicami i znowu ludźmi rozdającymi ulotki, czy desperacko stojącymi z zadrukowanymi kartkami w wyprostowanych rękach,

Wtedy w poniedziałek rano dowiedzieliśmy się, że aresztowanych jest więcej niż tysiąc, może parę tysięcy, że strajki wybuchły, ale nie w całym kraju, zresztą właściwie nic nie wiadomo, bo szczelny kordon odciął kraj, a wewnątrz blokada osiągnęła maksymalny stopień nasilenia, nie funkcjonuje poczta, telefon i telegraf, nawet wewnątrz miast; noc objęta jest godziną policyjną, nie wolno opuszczać miejsca zamieszkania, kontrolowani są wszyscy ludzie poruszający się po ulicach. Ale wiadomo, że w Gdańsku wybrano nowy zarząd SOLIDARNOSCI, który wezwał do strajku generalnego, na czele stoi Mirosław Krupiński, który podpisał tekst apelu do społeczeństwa. Wypowiedział wojnę wojskowemu reżimowi. Podane są nazwiska członków „Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego”, m.in. Hermaszewski, któremu Rosjanie dali pojeździć w swoim kosmicznym pojeździe, obiekt kpin całej Polski; czyżby to miała być próba odnalezienia autorytetu, czy ci w mundurach są aż tak wielkimi idiotami?

Elementy groteski, jak zawsze w takich sytuacjach, spikerzy w mundurach i Chopin przepłatający się z powtarzaniem w nieskończoność komunikatem Jaruzelskiego o stanie wojny. Kara śmierci za niestawienie się do pracy. „Jeszcze Polska nie zginęła” powtarzane na zakończenie przez kukłę w mundurze, obwisłe policzki nad cieniutką szyjką, oczy z guzików. Groteska, chore żarty, nie daj Bóg znaleźć się w obrębie tej śmieszności.

Strajk w Gdańsku w sierpniu, kwiaty na bramie, poczucie siły, upał, żywność dla strajkujących gromadzi całe miasto. Oszołomione i nieprzygotowane władze. I dobrze zaplanowany zamach stanu; teraz przypominać sobie można wszelkie sygnały, wiadomość z Krakowa o ubekach bijących studentów, pobicia gdzieś indziej („no już niedługo koniec tej waszej pierdolonej Solidarności”). Mróz, w kraju głód, wyłączona elektryczność, kordony wojskowe i policyjne odcinające zakłady pracy, brak łączności. Policja wkroczyła do wszelkich ośrodków i biur SOLIDARNOSCI w kraju, wszystku zarekwirowane. Władom o strajkach na Wybrzeżu, w Warszawie, być może na Śląsku. To nie może długo trwać, ale teraz wszyscy walczyć muszą z mrozem, głodem i niepewnością wobec czarnych pętli pancernych wozów na śniegu.

Goniłwa myśli, obrazów, gdzie zdziwiony łapie najgłupsze pomysły o tym, że generałowie postanowili iść po linii Ceaucescu i założyć własny nacjonalistyczny reżimek. I zmienia to rzeczywistość o tyle, że łatwiej można będzie zmusić ich do kapitulacji, do dalekich ustępstw. Uspokajac można się patrząc w ogród, w śnieżny spód, gospodarz dłońią łamie lód na stawie. Powietrze dla ryb.

Bo jeżeli słuchało się, jak Iwona, tego niedużego, czarnego pudła, śledziło się bieg czerwonej wskazówki wytławiającej spośród harmideru, gwizdów i zgrzytów głosy ze świata, pośpieszne komentarze, w których ludzie przy pulpitych, poganiani przez błyski bożonarodzeniowych wystaw, przez dziesiątki impulsów, długie

taśmy teleksów, usiłują dopasować wydarzenia do porządków, gdale czekają gotowe wyjaśnienia, wszystkich możliwych fenomenów świata, gdzie chodzi o to, aby błysnąć, popisać się efektowną hipotezą, potwierdzić swoją oryginalność i konsekwencję w rozwiązywaniu zagadek, jeżeli słucha się durniów, którzy usiłują być obiektywni nie zadając sobie trudu rozpatrzenia sytuacji, choćby zebrana faktów – trudno opanować furję. Lecią komentarze o tym: jak zbawczy może być dla Polski zamach stanu, jeżeli opanuje anarchię gospodarczą, jakim patriotą jest generał Jaruzelaki, rozważała nad duszną tragedią liberała w mundurze zmuszonego do radykalnych kroków, o aktach być może drastycznych, ale koniecznych dla uratowania polskiej niepodległości. Rozważała po czyjej stronie stanie naród pomiędzy angielsko- i rosyjskojęzyczną wiadomością, że Breżniew otrzymał z rąk Babrak Karmala najwyższy order afgański „słońce wolności” i przemówienie, które wygłosił (a którego fragmentów wysłuchiwaliśmy z masochistyczną pasją) zakończył sformułowaniem: „... słońce wolności, które wzeszło nad ziemią afgańską, nigdy nie przestanie jej oświetlać”, i kiedy poprzez białą mgłę zadyмки za oknem w naszym pokoju na górze widzieliśmy czerwone słońce napalmu nad spaloną ziemią, gdzie nie ma już nawet trupów, czuliśmy, że żyjemy w najbardziej obłąkanym ze światów i czasów i pojawiała się myśl, że wszelkie nasze przeświadczenia i racjonalne wnioski to nie innego jak myślenie życzeniowe.

Następnego dnia pojechaliśmy do Harlemu i włóczyliśmy się już sami po renesansowym rynku, wielkim średniowiecznym kościele, po ulicach z holenderskimi kamieniczkami zwieńczającymi się schodkową fasadą dachu, w ornamentach, między kolorowymi światłami i wtrynamy zwiastującymi święto, aby grzęznąć ponownie w cichych, białych zaułkach, nad zamrożniętymi szarobiałymi kanałami. Powrócili znowu reminiscencje książki de Costera, która z dzieciństwa zostawiła mi uczucie podróży po barwnym świecie, otwierającym coraz nowe pokłady świętem, tańcem między zmieniającymi się pejzażami, ludźmi w tłumie na rynku i na drodze, wśród zaśniewionych wsi, kiedy niespodziewanie zapach wiosennej nocy był tak gęsty jak zapach mięsa pieczonego nad ogniem w zadymlonym zajeździe. A teraz myślałem jak trudna musi być afirmacja, i że w czasie sowiwdrzańskich wędrówek, obmacywania karczmarek, pełnej radości jedzenia i picia, nieopodal na stosach skręcali się heretycy, a kat tańczył na zakopanych w ziemię skażeniach, aby pomiażdżyć im żebra.

Wróciliśmy piechotą w nocy, przedmieściami, które przypominały nasze kurorty, wśród drzew i domków odsłaniających swoje pokoje z martwymi naturami na ścianach z mieszkańcami patrzącymi w telewizory.

W ciepło-rodzinnej atmosferze domu osaczały nas nowe wiadomości, czy raczej pogłoski, niesprawdzone, ale przecież nie takie złe, coraz więcej zamkniętych, ale opór rośnie, masa strajków – nic pewnego, i w sumie nie jest źle, nie można rzucić nagim terrorem, aresztowania muszą skończyć się jutro, pojutrze, wrzenie przerodzi się w wybuch, nie można zamknąć stu tysięcy ludzi, dziś, w środku Europy, nie można zbudować obozów koncentracyjnych, terror spowoduje narastający gnaw – przecież to już widać. Nad Afganistanem słońce wolności...

Na dole przy kominku sącząc z gospodarzem wódkę i piwo, próbuję mówić o wszystkim byle nie o polityce, czuję, że wybuchnąć mogę nawet bez powodu.

Iwona ostrzega, że jestem bezpodstawnie agresywny, nie chcę już nic zrozumieć z ich postawy, a ja czuję, że to jest ich postawa i nie chcę jej zrozumieć. Gospodarz lubi gadać, co zwalnia mnie od obowiązku odpowiadania, mogę gapić się w ogień, patrzeć na ruch płomieni i to znów słuchać jak opowiada o cieniach i świetle, kiedy łódź podwodna wynurza się i o napiętym związku jej załogi połączonej jakby alpinistyczną liną. Krysy w ogniu i natrętnie powracający Conrad...

Na gorze w skowycie zmienianych fal zaczyna się ta zabawa – kto już siedzi. Jacek – w kłębach dymu wiecznie perorujący niskim, potężnym głosem, ale jak długo tak można, sześć i pół roku więzienia dotąd, to już miał być nowy czas, czas spełnienia. Pamiętam, jak po raz pierwszy zauważyłem, że zmienił się, to chyba w lutym, jak zgarniali nas z ogólnopolskiego zebrania oczywiście w jego mieszkaniu, był absolutnie spokojny, ale czułem jego napięcie i dosłyszałem pytanie do zdziwionego i nic nierozumiejącego Adama: Sądziś, że na jak długo?

Myślę, że jednak cztery osiem.

Pytam czy nie na dłużej?

Mogłem porównać to z jego zupełnym luzem w innych sytuacjach. Swobodą, która była doskonałą adaptacją do wszystkich warunków, afirmacją nowej sytuacji i okoliczności, instynktowną pewnością nowych zadań, które trzeba rozwiązywać już i podejnowanych bez chwili wahania, z energią, która musiała znaleźć ujście natychmiast i nie pozwalała na moment odpoczynku, uspokojenia i dystansu, kazała być znów wewnątrz, w centrum – dudniący głos w wielkim cielsku, wieczne nadbudzenie w gestach, wypowiedzianych zdaniach, śmiechu, sposobie palenia papierosów wyrzucanych w połowie, litrach stężonej herbaty, która mnie już po pierwszyn tyku przyprawiała o mdłości – to po grudniu 79, a właściwie wtedy, w lutym, kiedy zgarniali nas, po raz pierwszy zauważyłem, że on również starzeje się. Myślałem, że po tej próbie w grudniu, kiedy drugi raz usiłowali rozwalić KOR, coś koło trzydziestu sankcji, paręset zatrzymań na czterdzieści osiem godzin, sam wtedy myślałem: zaczyna się ostro, próbują czeskiego wariantu. Przygotowani byliśmy na wszystko, pewni, że wszystko rozstrzygnie się właśnie wtedy, kiedy po zebraniu, po zakończeniu mszy rocznicowej, poszedłem na wódkę z Ziemowitem na Plac Matejki (bo przytulnie i w miarę bezpiecznie) – tylko po setce, bo nie można więcej, a później nie będzie kiedy – myślałem, być może wygramy dople-ro za parę lat, a raczej nie wygramy, zacznie się akt następny, już bardziej korzystny i dlatego nie będzie bez sensu te kilka lat w czterech szczelnych ścianach. Jak nic nie było na darmo w tej naszej trzydziestokilkuletniej dusznej historii, po zwycięstwie w największej z wojen.

Ale nie mogło być wesołe to, co bełkotałem nad stołem do Ziemowita, że być może w następnym okresie jedynym miejscem dla uczerwych w tym kraju będzie więzienie. W tym samym czasie jak zawsze odbierając telefony, spisując informacje i udzielając odpowiedzi, ale spakowany, czekając na tonot do drzwi, Jacek myślał, że zaczyna się Czechostowacja i chociaż potem była radość, kiedy po jednym dniu wycofali się bez konfrontacji, to coś zostało, myślałem, w jego zachowaniu, twarzy, jakby jeszcze ta jedna kropelka...

Po sierpniu 1980 wszyscy byliśmy pewni, że choć zdarzyć się może nie wiem co, to nie ma powrotu do takich momentów...

Siedzi cały KOR – i Adam dystygowanym zachowaniem dystansujący się od rzeczywistości, jak wtedy kiedy wyrwał z ręki ubeka kartkę, podał na drobne strzępki i rozrzucił dmuchnięciem po pokoju mówiąc: – „Bardzo mi przykro, że musiałem to zrobić, panu chyba również?”; i Lit, którego następny fragment dziennika z nowych czasów ukazywał się właśnie w Holandii, i Inni, może Konrad uciekł, zdarzało mu się to wcześniej, może Heniek.

Liczyliśmy kto z Krakowa: Boguś, Leszek, Robert, może Anka, Kostek, kto jeszcze... Twarze, strzępy rozmów, gesty, drobne sytuacje, ułamkowe odkrycia czyjeś grymasu, niespodziewanego zachowania na tle pulsujących, wibrujących dźwięków z radia i nowych komentarzy: być może Jaruzelski okaże się zbawcą.

Zaczęły się telefony do Paryża, na które odpowiadał długi miarowy sygnał... Jeżeli było coś wiadomo, to on w Paryżu wiedzieć musieli, więc coś wiedzieli na pewno, bo nie można zrobić aż tak szczerzego kordonu... A przecież chodziło o to, żeby usłyszeć ponownie bliskich ludzi, choć te mieszące na Zachodzie bez wspólnego zagrożenia, wspólnych problemów, ujawniły nagle różnice, coraz głębsze szczeliny pomiędzy naszymi postawami, wyborami, coraz mniej wspólnych tematów, może wspominki, jeszcze raz jak to było, a pamiętasz, wtedy... i coraz dłuższe przestrzenie milczenia, coraz rzadsze spotkania, zniecierpliwienia. Teraz znówu poczucie bliskości, pewność, że dokładnie tak jak my słuchają wiadomości w tym świątecznym klermaszu, między obojętnymi ludźmi, myśląc chwilami czy nie wsiąść w samolot i być tam za parę godzin, w zimnych miastach, gdzie prawie nikt teraz nie myśli o świętach i brzmi to jedynie jak ironia, na ulicach po których jadą czołgi, samochody pancerne, transportery z karabinami maszynowymi, przebiegają oddziały policji i wojska.

Myśleliśmy o Sz. To całkiem prawdopodobne, że jest w wzięniu. To zupełnie nieprawdopodobne. Pamiętam, jak wyjechał z Krakowa. Był nawet zadowolony z tego wyboru. Nieduże, znieruchomiałe miasto na peryferiach rzeczywistości, z kościołami, dzwonami, zamkiem nad nim, na szczycie. Wąskie, malownicze uliczki, stare domy, senny rytm. Mógł tam być belfrem od angielskiego i polskiego, że zdumieniem odkrywał ponownie Mickiewicza. Mógł wychodzić na spacer z psem na białe pola pośród wyschniętych badyli, przechodzić zamarte miasto żydowskiego cmentarza, gdzie towarzyszyłem mu kilka razy. Mógł rozwiązywać przegrane równania swojej samotności, pisząc coraz krótsze wiersze, eseje o Rilke, raz jeszcze wracując do Eliota, tłumacząc na zmianę Castanedę, Jeffersa czy poetów metafizycznych, odkrywając właśnie zmarłego austriackiego pisarza, którego nazwiska nie pamiętam. Tłumacząc Bubera, czy niedytując nad Simone Weil, Powstające na siatach nadchodzą szczyrzołupy."

Pamiętam swoje zbliwienie, kiedy w Paryżu odkryłem jego nazwisko na liście delegatów na Zjazd SOLIDARNOŚCI. Może miałem w tym swój daleki udział: kiedy spotkaliśmy się w Krakowie, to już był chyba październik, on zafascynowany, ja odinłodzony o lat dziesięć; pełen sił, które odkrywałem bez końca, w ciągłej gonitwie, awanturach, dyskusjach, coraz to nowych pomysłach, nagle, ni stąd ni zowąd, w Krakowie Living Theatre, kawał mitu-naszej młodości. Happening. Jakby wszystko w zasięgu ręki. To było odkrywanie nowego czasu i wymiaru, który dotąd tylko przeczuwaliśmy. Potem w Paryżu nowe wiadomości o Sz.; jest

redaktorem gazety, przedstawicielem... Wreszcie spotkanie z Elżbietą w Luwrze – Paryż, cortazarowskie inlasto spotkań – mało powiedzieć nieprawdopodobne, niemożliwe i rozmowa, która nie kleiła się po tej niezwykłości. Oczywiście i o Sz., znowu wszystko nieprawdopodobne: zastępca przewodniczącego, nawet kandydował, zabiegany, ciągle w ruchu... nie ma czasu nie tylko pisać, ale i czytać, gdzie dystans, wieża z kości słońcowej; ashram... poświęcając na fletach nadechodzą szczytopy.

Dzień następny. Strajki są chyba we wszystkich większych ośrodkach, ale nie o nich nie wiadomo, strajkuje całe Wybrzeże, Warszawa, jakieś kopalnie na Śląsku, Wrocław, Nowa Huta, Łódź, Huta Katowice itd. Ale dochodzą niepokojące wiadomości, wewnątrz Ursusa wojsko i policja, zdobyli strajkujący zakład, czy uprzedzili strajk – nie wiadomo, ale jest nawet pewne, czy są tam rzeczywiście. Strajkujące zakłady są odcięte od świata, ponoć została zdobyta Huta Katowice, normalnym, otrym atakiem policji i wojska, strajkujący w Gdańsku i Nowej Hucie zantimowali bramy i oblecują obronę w razie ataku... Bujak został złapany, kiedy usiłował dotrzeć do Ursusa, okazuje się, że udało mu się uciec w nocy z soboty na niedzielę. Fatalnie, siecl są gęste, trudno poruszać się, materw zamknięcia, opanowania całego kraju, nieprawdopodobny, a jednak przynoszący rezultaty, jakby można było zamknąć i kontrolować całą Polskę, precyzyjnie i dokładnie. Więc jednak można zdobywać zakłady pracy, rozbić strajk, zamknąć przywódców, a przecież nie wierzymy, żeby potrafił zrobić to w Gdańsku, Nowej Hucie – ludzie będą walczyć, nikt nie otworzy do nich ognia... Aresztowania nasilają się, mówi się już o dziesięciu czy więcej tysiącach, nieprawdopodobne stał o się, dzieje się.

Na dole po śniadaniu, przy kawie, gospodarz powiedział mi, że mam szczęście, że znalazłem się tutaj, a nie w kraju. „you are lucky boy” powtórzył. Widziałem go, starego człowieka, który wierzył w godność swojego życia, a potem ogród przez ścianę ze szkła i powtarzałem: może mi nie wierzyć, ale chciałbym tam być właśnie teraz.

Kiedy nikt w Polsce nie mógł przewidzieć tego co stanie się w sierpniu i później, kiedy takie zmiany ja, jako optymistą, liczyłem na pięć, może siedem lat, Wojtek – to było w czerwcu, ale również wcześniej – mówił: możesz być pewny, wszystko rozstrzygnie się właśnie teraz, w następnych miesiącach i albo pójdziemy na lata, albo będzie to już zupełnie inny kraj. Kiedy zegraliśmy się w Paryżu, zbierając do nieśpiesznego powrotu i ustaliliśmy miejsce spotkania już w Kraju. Wojtek – to był jego nastrój od jakiegoś czasu, mruknął – o ile będzie jeszcze ten kraj. Jak po czasie powracają reminiscencje takich głupich, wtedy nie ma znaczących znaków.

– *You have to understand, they are cowards*, zaczął gospodarz, ale potem ostrożnie, aby mnie nie urazić rozwijał wątek: otóż całkiem prawdopodobne jest (rozumiałem, dla niego jest pewne), że w historycznej perspektywie nowy porządek stanie się dla naszego kraju korzystny, Jaruzelski broni Polski przed Moskwą i dlatego w tej chwili musi wprowadzić tad w chaos naszej rzeczywistości, nadzwyczajne metody mogą być usprawiedliwione nadzwyczajną sytuacją, On rozumie moje słuszne oburzenie, ale może było to jedyne wyjście... Starłem się być spokojny i raz jeszcze wyjaśnić, że SOLIDARNOSĆ otrzymała w spadku kryzys i chaos ekonomiczny, że to system niszczy ekonomię i broni się przed jakąkolwiek reformą. bo

uszczupiłoby to jego stan posiadania, stan posiadania władzy wszechmornej oligarchii, a ekonomii nie sposób uleczyć bez gruntownych reform, czyli bez zmian systemu, a teraz również na życzenie sowieckie. Żelaznym butem usiłuje się zmiażdżyć najoczywistsze dążenia przebudzonego społeczeństwa, tak oczywiście, że tu na Zachodzie nie chce się wierzyć iż sprawa jest tak prosta... Gadałem, gospodarz grzecznie mi potakiwał, a ja mówiłem z coraz mniejszym przekonaniem, oraz mniej wierzyłem, że wyjaśnię cokolwiek tym sytem, przejącym się przy kominkach i przez szybę oglądających zimę, i zapadający mrok. Jak oni zrozumieć mogą, że strajk może być jedyną szansą uzdrowienia i wprowadzenia porządku w ekonomię, jak mogą zrozumieć tak prosty i oczywisty podział poprzez swój skomplikowany i wieloznaczny świat; zrozumieć nagą, okrutną przemoc w stosunku do społeczeństwa, narodu, ludzi, ogółu i każdej konkretnej jednostki.

Wykręcałem telefoniczne numery, jak Iwona kręciła gałką radiodbiornika, właściwie już przestałem oczekiwać, że dowiem się czegoś, jak Iwona chyba przestała czekać na informacje, które właściwie nie mogły przynieść nam nic nowego — gospodarze co godzinę podawali nam serwisy wiadomości radiowych. tłumaczyli artykuły.

Powrócił do mnie odłożony list do Sz., odłożony na nie wiem kiedy, nie napisany. Ten mój ostatni list, dwa szkice nowelek z włoskiej włóczędzy, o Teodorze z rawenneńskiego fresku, o postaci przechodzącej wszystkie stopnie rzeczywistości, aby zastąpić w znak, kanon, i o karnawale weneckim, o nieście: ażurowym labiryncie na granicy istnienia, gdzie nawet ludzie tracą swoją realność w czasie i przestrzeni — teraz wydawało mi się to białe i sztuczne, a może bardziej przynależące do innego, darowanego czasu, bo czas prawdziwy był również nie tu: w sennych przedświątecznych wsadach i miasteczkach holenderskich, wśród rodzin przygotowujących święta przy kominku, przez odsłonięte okna oglądających śnieżne drzewa zanurzone w mroku, czy w naszym pokoiku na poddaszu z okienkiem na regularne figury ogrodów odbijających harmonię. Prawdziwy czas był tam, na ciemnych ulicach, gdzie uzbrojone oddziały szarżowały na tłum i w celach zatłoczonych ludźmi z trudem łapiącymi powietrze, w bezsilności opadającej na ciężkie ciała, w zimnych mieszkaniach, drżących palcach na szklance z wrzątkiem przy świecach i szczelnie zastkniętych oknach. Może najbardziej w pojedynczych postaciach przemykających się o zmroku i tłumach marzących w wielkich hálach, trzymających w dłoniach metalowe pięty, wietrzących dźwięki z zewnątrz, od kordonów czołgów, wozów pancernych, uzbrojonych i gotowych do ataku oddziałów policji i wojska.

Myślałem o Leszku, w celu gdzie nie może nawet chodzić od śiany do śiany, bez papierosów gdy nie ma co zrobić z za długimi rękami. O czym może myśleć on, zajmujący się ostatnio problemami reformy agrarnej, ruchu samorządów zakładowych, dla którego żretygnował z pracy o literaturze wielkiej metafory i z wszelkich pomysłów studiów nad barokiem powracającym w poezji współczesnej. Jedyny list, który wysłałem mu, traktował zarówno o lewakach, jak i o przełomie z ujęcia alegorycznego na symboliczne w malarstwie renesansu, czego przykładem może być znana perspektywa — dawne fascynacje Leszka alegorią, systemami średniowiecznymi, alchemią, nie wiadomo czy pamiętane w zamęcie stojącego się

czasu, który porywał wszystkich.

Projekty listów, ludzie, świadomość, że nie tylko nie mogę, ale nawet nie mam do kogo wysłać listów. Do wzięcia nie trafiają listy z Zachodu. Przyjaciele z Wrocławia: Olek, który mówił mi – to już był czerwiec, telefon z Paryża – że trudno im nadać za wypadkami, ale ta zadyszana pogoń jest entuzjastyczna, nawet nie ma czasu żeby napić się wódki, i mówił, żebym przyjeżdżał, kiedy tylko zdążę, bo szkoda tracić tego, co właśnie się dzieje. Przypomniałem sobie Krzyska z miękkimi ruchami, z uśmiechem jezuitę, który w czasie strajków w sierpniu przemawiał: – Wojewodo to wasza ostatnia szansa; Staszka – białe zęby szczerzące się z czarnej bródy. B., który ugrzązł w wojsku na najlepszy czas, ale właśnie wyszedł, aby zdobyć pismo, w którym mógł znaleźć ujście dla lawiny swoich pomysłów, projektów; przy spotkaniu – jak dziecko – nie mogący wyartykułować pierwszego zdania z nadmiaru słów, które chciał z siebie wydobyć. W celach więziennych, odcieci od tego, co dzieje się, od czego zależy ich losy, gdzie tylko mogą nadstuchiwać z uchem przy metalowych drzwiach...

Przypomniałem sobie jedną z piosenek z festiwalu. piosenki prawdziwej, skądś tajemny przywieźli do Paryża Grzesiek i R. (miałem nadzieję, że nie zdążył wrócić, potrzebowali naprawić samochód, nieli jechać przez Szwecję, to jednak dużo czasu...), pamiętałem strzępy: papierosy palone w rękawie, samochody stały już od rana, słowa oficerów, nie można zrobić fałszywego kroku, uderzamy na stadion, terroryści i inne kanalie, jak trzeba ziemię kordonem otoczmy... Nie za bardzo zwrócono na nią uwagę w erupcji optymizmu, humoru, poczucia triumfu, a była to czarna antycypacja nadchodzących wydarzeń... Może to jedyny utwór autora, którego nikt nie pamiętał. „Z człowieka można zrobić wszystko: policjanta, komandosa...”

Następnego dnia przyszły wiadomości o zdobyciu szturmem Stoczni Gdańskiej – centrum oporu, tradycyjnego ośrodka buntu, i o zdobyciu Huty Lenina, i może innych zakładów. Nie wierzyliśmy, wiadomości są niepotwierdzone, pewne są tylko starcia na ulicach Warszawy, chyba w Gdańsku, nikt nie wie gdzie jeszcze, wielu rannych, być może zabici, aresztowania rozszerzają się, mówi się już o dziesiątkach tysięcy, może trzydzieści, może pięćdziesiąt. Wiadomo, że założono obozy koncentracyjne. Polskie wojsko. Kiedy wreszcie nastąpi bunt? Kiedy wreszcie armia odmówi wykonywania rozkazów? Wszyscy powtarzaliśmy kiedyś te mlty, pewniki – nie da rzucić się wojska przeciwko ludności, zbuntuje się i nawet nie uda się go przywrócić, bo również wśród kadry oficerskiej...

Przez telefon mogę rozmawiać z Saszą. Nie ma właściwie nic do roboty, ani do pomocy. On gania, gada, ale to wszystko i nikt tu w niczym nie może pomóc, zrobić. Co masz zamiar robić? Właśnie, co ja mam zamiar robić, co można zrobić ze sobą? W śnieżnej Holandii, wśród przemitych ludzi, z ogniem na kominku i szklaną ścianą na ogród, Sasza gada bez sensu, może jednak lepiej do Kolonii, jak projektowaliście, zawsze to bliżej... Nie możecie wytrzymać? Pamiętaj, to potrwa parę miesięcy i muszą ustąpić, nie wygrają wojny ze społeczeństwem, bo będzie ciągle opór i coraz nowe ogniska...

Nie oceniam już hipotez, nie próbuję ich analizować. I nie mogę już tu wytrzymać, w niskim powietrzu wokoło, w fotelu, na kanapie; na górze skrzypi i trzeszczy

radio, na dole co jakiś czas mapa Polski na ekranie i – obok siebie – zdjęcia: Jaruzelskiego i Wałęsy. Zachodnie mass media rozstrzygają problem czy Wałęsa przebywa w areszcie domowym, czy prowadzi rozmowy z juntą z własnej woli. Nie ma żadnej oficjalnej wypowiedzi Wałęsy. Nie będzie. Jestem pewny. Dopóki sytuacja przedstawiać się będzie podobnie. Na pewno nie w rządowych publikatorach. Jednak niepokój, jakby nie było już żadnej pewności. A przecież widziałem go w Gdańsku w czasie strajków: wielkie dni, pewność przywódcy, który umie decydować wszystko w sekundach i trwać przy tym. Jego polityka potem była czasami więcej niż zła, ale ten czas jest czasem jego...

Przed zmierzchem wychodzimy z domu. Stońce nie tonie, ale rozplywa się nad morzem, ciemność jest pełna lodu. Włóczymy się po małym, mroźnym miasteczku, gdzie świetna gazeta mówi coś o Polsce w nieznanym języku. To już nawet nic innego tylko zawieszenie, jakbyśmy unosili się w tym powietrzu, nie czując, nie rozumiejąc... jeszcze kilka dni wcześniej potrafiliśmy postrzegać, chłonać.

Wracamy, byle prędzej do radła, telewizora, telefonu, poprzez miasteczka czy przedmieścia – tu nie sposób tego dociec. Zanurzamy się w ciepło.

W telewizji – obok twarzy Wałęsy – twarz Krupińskiego. Został schwytyany w Stoczn. Ostrą i spiętą twarz, krótko obcięte włosy. Iwona mówiła – trzeba odwagi, jeżeli go złapią... wypowiedział wojnę reżimowi.

Więc, już jest pewne, że zdobyli Stocznę i Nową Hutę, być może i inne ośrodki. Stocznia, która miała odrodzić SOLIDARNOŚĆ, tak jak stworzyła ją, jest okupowana przez wojsko. Znany już taktykę, wojsko jedynie otacza ośrodki i blokuje je; ataków dokonuje policja, specjalnie szkolone oddziały; gołędziniacy, ZOMO, parę tysięcy doskonale uzbrojonych i wyszkolonych goryli na jeden zakład – ludzi odciętych, osaczonych, głodnych – to powinno wystarczyć, a jeśli nie, przecież można rzucić więcej i tak wymiatać zakład po zakładzie, fabrykę po fabryce, ośrodek po ośrodku. Taka jest taktyka. Proste – zgnieść opór.

Możemy wyobrazić sobie metody tych tresowanych i zhydłconych oddziałów, pełnych strachu i agresji. Pamiętam bezdną wściekłość, kiedy po czerwcu 1976 roku otrzymywało się wiadomości o „ścieżkach zdrowia”, po których ludzie lądowali w szpitalach psychiatrycznych, o torturach, biciu pałkami w pięty, rozbijaniu głów o biurka i metalowe szafy, wyrywaniu włosów. A przecież wystarczyło zetknąć się z szarą, codzienną praktyką „organów śledczych”. Oglądając w areszcie ludzi z polanianymi rękami i palcami, z krwawymi wybroczynami na ciele, zmasakrowanymi twarzami, przypomnieli sobie własną czarno-siną skórę.

Wszystkie dawne życzeniowe pewności, jak wyglądają teraz ze środka Europy, gdzie rosną koncentracyjne obozy, gdzie więzi się dziesiątki tysięcy, zabija... terror wzmagą się i kraj jest zamknięty, więc jednak można zamknąć blisko czterdzieści milionów ludzi, teraz w środku Europy. A wszystko robią to właśnie Polacy, więc jest możliwe rzucić ich przeciwko sobie, założyć obroźe ich własnymi rękami, zabić z kraju jeden wielki, koncentracyjny łagier – cóż z tego, że na cudzy rozkaz. Dowiedzimy sobie rzeczy, w które chcemy wierzyć, nasze historyczne pewności to dziecinne przeświadczenia, wywiedzione z bajek o triumfie dobra, nawet nasze pesymizmy to jedynie usprawiedliwianie naszego tchórzostwa i niemocy, i zawsze możemy znaleźć taką samą liczbę kontrargumentów. Czy każdy musi wierzyć, że

właśnie wobec niego zrealizuje się w historii porządek wartości i musi przeżywać jego ruinę, jak każdy musi przeżywać na nowo objawienie śmierci? Czy to właśnie nam na wschodzie Europy dane jest czuć zgrzytające gąsienice historii, a tu na Zachodzie, młodzi, nie potrafiąc odnaleźć swojej drogi, marzą o historii, o heroicznym spełnieniu. Wzywają los, aby wyrwał ich z rutyny dziejów. „Nie daj Bóg, abyś żył w ciekawych czasach”. Andrasz, z tym swolm zdystansowanym, lekko cynicznym poczuciem humoru, umówił się z nami na dwie godziny po wojnie.

Radio piszczy, skrzeczy i wyje, znowu Wzgórza Golan, Polska i Czerwone Brygady. W Afganistanie od dwóch lat wyrzyna się naród, w Polsce tworzy się gigantyczny obóz koncentracyjny, łamie całe społeczeństwo, odbiera pozór jakiegokolwiek wolności; lewacy z Zachodu krzyczą o odczłowieczonym systemie kapitalistycznym, o faszyzmie Europy Zachodniej. Terrorysty to przypadek skrajny, ale wzięli się z całego ruciu i ruch po części przyznaje się do nich, to linia ciągła: nie akceptujemy metod, ale... Kiedyś z polskiej perspektywy myślałem o trągnięciu ekstremizmów, o terrorze jako dialektycznym samozaprzeczeniu, teraz na Zachodzie, lata później, myślę jedynie, że czas najwyższy rozprawić się z dziećmi Nleczaiewa. Łagry zostały stworzone przez takich ponurych faniatyków. I nie rozumiem czemu wszystko musimy kompromitować słowem: faszyzm. Sam używam tego zbyt często, a czyż nie wystarczy mówić „Komunizm”? Marchais zaakceptował terror i rządy generałów w Polsce: to konieczne dla przywrócenia ładu, wina SOLIDARNOŚCI, która chciała sięgnąć po władzę.

Zachodnie mass media donoszą o rosnącym oporze i rosnącym terrorze, nie można tak bez końca, coś musi się przełamać. Wierzę jeszcze, cały czas wierzymy, ale czy nie dlatego, że inaczej przecież nie może być. W obozach, więzieniach, może już pięćdziesiąt tysięcy. Iwona powtarza: przecież nie mogą zamykać ludzi bez końca, wreszcie muszą zrezygnować... Pamiętam, jak po manifestacjach w Krakowie po śmierci Staszka terroryzowano Warszawę, chyba sto osób zatrzymanych na czterdzieści osiem godzin, ZOMO krąży po ulicach, chyba dziesięć sankcji. Już wtedy mówiliśmy: przecież nie mogą uwięzić stu osób. Bóg, to brzmi jak obrazki z mierzeczywistej, ślepskiej krainy, operetkowego liberalizmu.

Ten Murzyn, perorujący między zasłuchanymi lewaczkami, dla których pierwszą racją był jego kolor skóry, atakujący śmieszny, cldiwy humanizm Europejczyków, którzy oburzają się na Bokassę dopiero po wymordowaniu dzieci jakby zabijanie dorosłych było czynem lepszym. Nie rozumiał, że naruszenie ostatnich tabu znaczy bardzo dużo, że dalej jest tylko zło, bez osłony, nieograniczona przemoc, wyzwolone okrucieństwo i wtedy nie ma już do czego się odwołać. Dlatego zabijanie dzieci jest bardziej przeraźliwe i okrutne, choć śmierć dorosłego jest taką samą tragedią. Takie to oczywiste, wszyscy czujemy, a jednak...

Ala jeżeli zamknęli pięćdziesiąt tysięcy, mogą zamknąć i sto. Jeżeli w Polsce otwarto obozy koncentracyjne, to można już prawie wszystko. Cel czerwonych generałów (jak cel Rosji) jest jasny. A jeżeli zlamą społeczeństwo, po tym roku nadziei i szansy, na który pracowała nasza powojenna historia, jeżeli okaże się, że cała ta praca, poświęcenia, ofiary to tylko odskok do najczarniejszego okresu w historii tego narodu, jeżeli heroizm walki zaowocował tylko jedną z największych tragedii polskich, jeżeli...

Za oknem Holandii zapada w noc biało i skrzypiąco: o takim Bożym Narodzeniu marzyłem jako dziecko. Marzyłem również o dramatycznej historii, uczestnicząc...

Poranne wiadomości zaczynają się od cytowania polskich mass mediów. W kopalni „Wujek” zastrzelono siedmiu górników, dziesiątki są ciężko rannych. To policja została napadnięta przez rozszalałych górników, policjanci chcieli wytłumaczyć, że w stanie wojny strajk jest niedopuszczalny i zostali zaatakowani. To w samoobronie zastrzelili siedmiu napastników i ranili kilkadziesiąt. Koszmar i groteska. Ale w tym wszystkim jest metoda. Przecież nikt w Polsce nie wierzy w słowo propagandy i wszyscy są tego świadomi. Komunikat w gruncie rzeczy mówi jedynie, że władze nie cofną się przed niczym: zabijają i będą zabijały. Niech nikt nie ma żadnych złudzeń. Nikt także nie uwierzy w te symboliczne siedem osób, zablitych jest więcej, a będzie zabijać się dotąd, dopóki nie spacyfikuje się społeczeństwa. To wojna z narodem i słusznie ogłoszono stan wojny, zbudowano obozy koncentracyjne, gdzie zamyka się dziesiątki tysięcy i słusznie morduje się; albo wyłepiny was, zmiążdżymy, albo padniecie na kolana – to proponują władze. Jaruzelski – nieforemny łeb. obwisła skóra twarzy kotyśże się na cienkiej szyjce: jeszcze Polska nie zginęła.

Dodzwoniłem się do Paryża. To była Oleńka i prawie nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Miotamy się, ganiamy. Nie ma wiadomości, wszystko niepotwierdzone, wiadomo, że policja używa broni, jest dużo zabitych. Nic pewnego. Na koniec – są, coraz częstsze pogłoski, że ludzie zsyłają do Rosji, to oczywiście nieprawdopodobne. Co jeszcze jest nieprawdopodobne, co jeszcze może stać się z rzeczy, które już nie mogą się stać. Jak magiczne zaklęcia brzmia sformułowania: to przecież druga połowa dwudziestego wieku! Środek Europy!

Iść do miasta, wielkiego, ruchliwego miasta, iść w tłumie ludzi, czuć jak potracają cię, popychają, prowadzą, widzieć migające wystawy, twarze, dłonie, nie rozumieć, nie czuć, tylko iść. Jedźmy do Amsterdamu, zobaczymy się z kimś, wykrzykujmy po polsku jakieś słowa, przekonujmy się, nie wierząc w to, co mówimy, bo przecież trzeba gadać, kląć się, robić coś.

Staty rytm wiadomości – rosna represje, ale i rosnie opór, pomimo złamania głównych ośrodków ujawniają się nowe, strajk w stoczni w Szczecinie, robotnicy są ponoć uzbrojeni, obiecali bronić się, strajk w Poznaniu, strajkują inne kopalnie, górnicy grożą wysadzeniem w razie ataku, masowe strajki w innych częściach kraju, policja niezwykle brutalnie rozbiła strajki studenckie – masowe aresztowania wśród studentów i pracowników naukowych.

Gospodarze przestali komentować wydarzenia. Jakby poczuli je jakby zaczęli rozumieć co znaczą. Udzielił się im nasz nastrój. Nie próbują zagadywać, grzecznie dodawać swoje trzy grosze, okazywać zainteresowanie. Bez pytania tłumaczą informacje, sami wyszukują i podają nam nowe. Kończą na tym, czasami dodają jedno zdanie, pewną oczywistość, o której wiemy, choć dla mnie wszystkie te oczywistości przestają być sobą. Jednak powtarzam je: jeżeli naród zdecyduje się na walkę, nie można go zwyciężyć, nie można złamać.

Zmianę najbardziej widać po starszej córce, Anette, ze znacznym Amnesty International na bluzce. W milczeniu siedzi z boku, zamienia po parę zdań z rodzicami.

mi, z ukosa patrzy na nas. Może jest teraz pośrednikiem między nami, a tą ciepłą, przedświąteczną Holandią, spokojnie zanurzoną w śniegu, zaferowaną świętami, podczas których świąt sprowadza się do tak dobrze znanych osób wokół stołu, choinki, refleksów białych gałęzi przez szyby i egzotycznych bajek różnujących w migoczącym okienku telewizora. Może Anette czuje niejasność swojej sytuacji, w rodzinnej harmonii, radosnej gonitwie przedświątecznej, przy skryptach, przed powrotem na uczelnię, gdzie studenci znowu walczyć będą o pokój i dookreślać swoje postępowe poglądy. Nie mówiny ze sobą, a ona patrzy na nas: przybyszów z innego świata, przypadkowo zaplątanych w ten dom, przedświąteczną aurę, rzeczywistość tego kraju, obcych, trzepoczących się jak w kiatce w ciepłych ścianach schronienia.

Holandia pasjonuje się transportem żywności wystanym do Polski ze zblórek, transportem który wyruszył parę godzin po uchwyceniu władzy przez wojskowych. Sto wielkich, podwójnych ciężarówek, dary za około dziesięć milionów guldenów. Kierowcy nie tylko nie dostają wynagrodzenia, ale w dodatku poświęcają swoje urlopy. Wywiady z nimi. Wyglądają jak z „Konwoju” Peckinpaha. Wybrali swojego szeryfa z wielką, metalową gwiazdą na skórzanej kamizelce, w cowboyskim kapeluszu. Żegnani entuzjastycznie przez tłumy ludzi na drodze. - To pożegnanie jest jak powitanie - mówi Iwona - tylko kto ich powitw w Polsce? Przy powiewających flagach ruszają na ekranach telewizorów w noc i zadymkę. Właśnie, po jakichś tam kłopotach, przekraczają granice Polski.

Amsterdam w śniegu. Wieża Babel. Wielojęzyczny, wielokolorowy, mieniący się tłum na małej przestrzeni. Wszelkie tradycje i narody obok siebie. Wzdłuż kanałów szeregi wymyślnych kamieniczek z holenderskiego złotego wieku. Zgiełk, ruch, światło i zaraz cisza, spokój zamartwych zaułków i placyków. Wesoła, żywiołowa rozpuszta, wielokolorowe kobiety na wystawach okien, najegzotyczniejsze twarze i ciała, piękoc i obrzydliwie. Migoczący sex. Najbarwniejsze knajpy, drewniane wnętrza holenderskich zjazdów, chińskie bukiety i smoki w splecionych i barokowych, to znów uproszczonych i oszczędnych formach, indonezyjskie, argentyjskie, żydowskie, bałkańskie itd., itd.

Myśleliśmy o ewentalności świąt tutaj, na targu, obserwując słońce zapadające głęboką poświatą między kamieniczkami przy Brouwers Gracht. Był dziesiąty lub jedenasty grudnia. Nierzeczywisty, inny świat, który potrafiliśmy wchłaniać, postrzegać, a więc afirmować. Teraz potrafimy tylko odrzucać, lub uciekać przed sobą w gwarze, ruchu, światłach centrum, nie chcemy spacerować Prinsen Grachtem, korowodem domów wyginających się nad szkłem kanału.

W Muzeum Miasta Amsterdamu pojawia się chyba z rozpędu. W przestronnych salach, świetnie zaprojektowanych i zrealizowanych, duszę się. Obudziła się we mnie klaustrofobia. W aresztach usiłowałem nie myśleć, że jestem zamknięty, próbowałem odnaleźć przestrzeń swojej wyobraźni, odczuć widmowość zamykających mnie murów, ich nierzeczywistość. Udaowało się. Tylko momentami, budząc się i uderzając w zaryglowane drzwi, czulem obręcz zaciskającą się wokół głowy. Teraz powietrze, które wciągamy przeszkadza oddychać. Olenka opowiadała mi, że w celi po pawnej nieprzespanej nocy, była bliska obłądu.

Józefina ma poszarzałą twarz, sine obwódki pod oczami. Wymyśla na swoich

rodaków. Stupid Duchs -- mówi. Zajmują się tylko swoim darem, swoją wielkodusznością, swoimi ciężarówkami, Wien, że to niesprawiedliwe, ale nie usiłują oponować. Dziesiątki niesprawdzonych informacji. Były sporadyczne kontakty krótkofalowe. Ale policja zdejmowała krótkofalowców jednego po drugim. Były walki na ulicach. To jak pogrzeb narodu -- powtarza Józefina. Jest rozdygotana, na skraju wybuchu, jej ruchy zaczęły tracić celowość.

Sasza biega po spotkaniach, wykładach, dyskusjach. Wraca z Markiem. Transzystor nastawiony na polskojęzyczną BBC. Właśnie mówią o rozbijaniu studentckich strajków we Wrocławiu. Jakis profesor zatłuczony na śmierć. Brutalność nieprawdopodobna, bije się nie tylko po to, aby złamać opór, lecz również po to, aby zastraszyć. Pamiętam tych ubeków, mętne, jasne oczy, teraz już was rozpierdołiny, to już wasz koniec; zadośćuczynienie za strach w trzęsących się rękach. To było w czasie rocznicy Katynia, na rynku, nadbiegali stadania. Tak było tyle razy. Teraz mogą robić, co chcą na uczelniach, kopniakami wybić inteligentkoni poczucie wyższości, teraz mają studentki, mogą wlec je za włosy po schodach, hłć, słyszeć jak krzyczą -- teraz oni robią porządek. Wykręcili Eli ręce, bili ją po twarzy -- to było za dawnych, dobrych czasów, teraz siedzi na pewno, była delegatem na zjazd, na pewno robiła dużo, no i przeszłość.

-- Wiesz jak oni nazwali spotkanie na uniwersytecie? -- pyta Sasza. -- „Lewica a sprawa polska”. Ja im mówię, że już dość tego dobrego, tam niszczy się naród, giną ludzie, panuje dziki terror, a oni rozprawiają o swojej lewicowości. Gadali o tym, kiedy w Polsce rozstrzygało się wszystko, a oni zastanawiali się, czy mogą to poprzec, bo kościół, i to nie dość lewicowe... Teraz czas najwyższy, żeby wreszcie zrozumieli: wszyscy mają w dupie ich lewicowość, czas najwyższy, żeby opamiętali się, czas wreszcie na jakieś katharsis... Podnosi się taki jeden i mówi, że dobrze powiedziałem, czas na katharsis, bo on na przykład był maoistą i też rozczarował się wielokrotnie i zaczyna opowiadać o swoich rozczarowaniach... Wstaje inny -- jeden z szefów tych pacylistów, tej manifestacji, co w Amsterdamie miała ponad pół miliona uczestników i mówi, że to straszne i przygnębiające, co dzieje się w Polsce, działania i ingerencje Rosji w problemy narodów ościennych są niedopuszczalne. Ale dlaczego tak się dzieje? Bo Rosja czuje się zagrożona agresywną polityką Stanów Zjednoczonych. Trzeba niszczyć NATO i amerykański imperializm, a wtedy i sowieci rozluźnią się i przestaną być niebezpieczni. Taką jest najlepsza ponoc dla narodu polskiego. Przypadek nieuleczalny, mówię ci. Znasz tę historię? Rosjanie mieli pusty dom, należący do Aeroflotu. Trzymali go, bo ball się podsłuchów, podpatrywań i tylko oni wiedzą czego tam jeszcze. Włamali się tam Krakersi i zaczęli mieszkać. Rosyjsy żądali, aby policja interwenowała, nie nie pomogły tłumaczenia, że to zwyczajowe prawo, jeżeli ponad rok stoi pusty dom, to ci mogą sobie w nim mieszkać -- sowieci złożyli notę dyplomatyczną, policja wywaliła Krakersów. Ci oczywiście zrobili demonstrację i gdzie poszli? Pod ambasadę amerykańską i tam wytłukli szyby. Mówię ci, przypadek nieuleczalny.

Sasza siedzi gruby, rozczochrany, zaniedbany. Wszyscy pracownicy nauki wyrzuceni z Uniwersytetu Warszawskiego. O innych uczelniach nie ma wiadomości. Z PAN-u zamknęli podobno większość, podobno również Gieysztor, teraz część z szefem wypuścili, ale dużo siedzi. Masowe aresztowania wśród pracowników

naukowcy uniwersytetów. Skończyły się czasy przywilejów, immunitetów, ochronnego płaszcza opinii publicznej. Teraz jest równość. Pałką zatkut można nie tylko robotnika, ale i profesora. Nie chroni nazwisko i instytucja. Wszyscy są równi wobec czerwonych generałów, wobec hufców ZOMO, pałki i drutu kolczastego. Czasy, kiedy istniał elitaryzm, kiedy społecznych uwarunkowań nie dało się przekroczyć nawet przemocą – to odległa przeszłość. Jaruzelski kontynuuje obiecany proces demokratyzacji.

W roku 1968, profesora można było co najwyżej wyrzucić z pracy, no pozbawić środków do życia, a nawet i to nie było takie proste. Więc można wrócić do dzikiego barbarzyństwa – hitlerowskie lata trzydzieste, stalinizm, mogą stać się terazniejszością.

– To za parę miesięcy musi puścić – mówi Sasza.

– Ludzie nigdy nie zgodzą się na czołgi na ulicach. Teraz stoją one w Warszawie i Gdańsku. Za nilesając będą musiały stać w Białogardzie, Kutnie, Proszowicach. A chłopaki popiją samogonu i powie jeden: no to co, pójdziemy ich napierdolić? I co? Nie pójdą? Muszą się wycofać!

Chodzę po schodach, pokoju, to znowu kładę się, leżę i jest to rodzaj ciężkiego półsnu, z którego nie mogę się podnieść. Jak lwona. Porusza się w letargu, tylko chwilami wybucha. Jesteśmy agresywni wobec siebie, na skraju awantury, kiedy odnajdujemy się skazanych na siebie. Nie mogę powiedzieć, abym wierzył w cokolwiek. Nagle uzmysławiam sobie, że wlem – naród można złamać.

Ilu ludzi przed nami powtarzało – to niemożliwe. Jeremiady nad popiołami miast, nie akceptując miejsc, w których musi się żyć. Trzeba było odnaleźć pewność, lub choćby nadzieję, której nadaje się kształt pewności. Kiedyś był to Bóg. Opatrzność, Historia, a my ... nasza wiara w wartości, które muszą zatriumfować...

Nie wierzyłem w księgę, ale w tym samym momencie przypominałem sobie tych wszystkich, którzy nie wierzyli przede mną, tych których dopadła emigracja. Czyżby więc pozostało być zamkniętym w tym ruchliwym, wielobarwnym świecie, ze świadomością, że mieliśmy ogromne szczęście?

Ciągnął się dzień następny. Zamkniętych jest podobno 50 tysięcy, może więcej. Opór wybuchła we wszystkich częściach kraju, strajki przede wszystkim w kopalniach na Śląsku, chyba w Szczecinie, Poznaniu, Lublinie, ale skądinąd dochodzą wiadomości, że Szczecin, Wrocław spacyfikowane. Nikt nie wie, ilu zabitych, ale wiadomo, że są w rozmaitych regionach. W paru miejscach wojsko odmówiło wykonania rozkazu. To brzmi jak nadzieja. Jeżeli teraz społeczeństwo da się złamać, rzucić na kolana, to przed nami najczarniejszy okres naszej powojennej historii, spełnienie najczarniejszych proroctw, racji tchórzów, drani i Impotentów... I jeśli nawet to tylko moment w historii, to jest to nasze życie. To my jesteśmy miazgą historii, ci zamarzający w obozach, wciśnięci między ciemne ściany, bici – twarze, głosy i łmiona to fragmenty naszego życia, nasz czas.

Policia wtargnęła do kościołów, w których odbywały się strajki, wywiekała ludzi, aresztowała. Wiadomo, że aresztowano wielu księży. Następne tabu pryska. Jak żalosna staje się w takich momentach wiara w nienaruszalność, świętość miejsc i jak niezbędne wydaje się ich istnienie. Znowu ten sam wątek: więc nie będzie się już czemu dziwić, społeczeństwu wydano wojnę. W kraju zaczęła się okupacja.

Wszystkie te iluminacje wymagają sytuacji granicznych, ekstremalnych, czasu kłęski i jak zjadliwie pokrzykują przeciwko ich istnieniu kontestatorzy ciepłego Zachodu, piewcy sprawiedliwości, którą pojęli jako bezwzględną równość i jaką raczej mają w tym swoim ciepłym świecie... A my potrafimy zrozumieć, że dopiero rzecznicy pełnej pogardy deptają sanktuaria ludzkie, łamią normy, które nie mają żadnej obiektywnej sankcji ani wartości, Sens został im nadany tylko ludzkim pragnieniem, ludzką potrzebą schronienia, odwołania się – co z dystansu, bezstronnej odległości może wydać się tak niesprawiedliwe. I w chwilach takich jak te możemy zrozumieć, że zbrodnia w świątyni to więcej niż zbrodnia.

Wracają pierwsi kierowcy holenderskiego transportu. Są oburzeni i zaszokowani tym, co widzieli. Po pierwsze wojsko chciało przejąć żywność. Zostali zatrzymani na trzydzieści sześć godzin, ale powiedzieli, że wolą spalić transport niż oddać go władzy. Wrażenie i sytuacja nie myliły; są jak z Peckinpaha. Opowiadają historie, którymi są wstrząśnięci. Głód i terror. Wielokrotnie rozdawali paczki bezpośrednio, ale nie wolno im było kontaktować się z ludnością; chłopak, który wręczył jednemu z nich plaketkę SOLIDARNOŚCI został natychmiast aresztowany, jednemu ksiądz szepnął, że tylko w jego małej parafii zostało zabitych aż pięciu ludzi. Kierowcy mają twarze inne niż w momencie wyjazdu. Iwona miała rację. Są ponurzy, przejęci. Ludzie są zastraszeni, i sterroryzowani – powtarzają.

Mówię gospodarzom, że historia w naszym kraju jest wyjątkowo żywa, ale nie ma się czemu dziwić. Tu od wojny historia biegnie nieprzerwanie. U nas historia wdziera się do mieszkań, budzi w nocy, jest naszą prywatną sprawą, nic dziwnego, że pamiętamy o niej. Nie wiem, czy rozumieją, o co mi chodzi.

Rozmawiam z Wojtkiem. W Paryżu zamęt, gonitwa. Robimy coś, albo udajemy, że robimy, ale może nie jest tak źle. W kraju powstają podziemne struktury SOLIDARNOŚCI. Teksty są publikowane i kolportowane. To może być wstęp do następnego etapu walki, który zakończy się zwycięstwem. Przytacza mi nazwiska zamkniętych. To jednak szokujące. Aresztowana czołówka polskich pisarzy, intelektualistów – więc jeszcze mogą się dziwić.

SOLIDARNOŚĆ zapowiedziała strajk generalny na dzień następny i – sądząc – od wtedy rozstrzygnie się wszystko. Od soboty. Następnie wiadomości, które wyławiamy spośród jaszgotu lub wpatrując się w telewizor mówią, że władze zdobyły większość głównych ośrodków oporu. Ale w odpowiedzi strajki wybuchają w innych, niespacyfikowanych rejonach. Trzyma się Śląsk. Strajkuje ciągle duża ilość kopalni. Górnicy blisko tydzień nie wychodzą już na powierzchnię.

Usiłuje wyobrazić ich sobie pod ziemią, w ciemnych chodnikach oświetlonych lampkami, w ciszy, przy kapiącej wodzie, czekających na atak. W „Piaście” ponoć wysadził jeden chodnik, czy jako ostrzeżenie, czy odpierając natarcie, nie wiadomo. Na pewno wiedzą, co zdarzyło się w „Wujku”. Nad nimi dziesiątki metrów, nad nimi uzbrojone grupy przygotowujące się do ataku: uniformy, hełmy, jednakowo niewyraźne twarze, broń, której użyją na rozkaz. Będą strzelali obojętnie, albo z satysfakcją, albo z furją wywołaną oporem, zagrożeniem, strachem.

W sobotę ruszamy do Kolonii. Żegnamy się, dziękujemy, wymieniamy adresy. Właściwie nie za bardzo wiemy, co możemy sobie powiedzieć. Anette żegna nas, wychylna z samochodu, ze smutnym półuśmiechem.

Wiadomości wysłuchujemy w radiach zatrzymywanych kierowców. Wszyscy są rzeczywiście zainteresowani. Jeden chyba dwudziestoletni człowiek mówi, że przesadzamy z tymi naszymi wymaganiami, a na moje trywialne pytanie – czy to ma znaczyć, że wolność jest tylko dla was? – odpowiada – tak, bo w waszej sytuacji... Ryczę i wymyślam mu tak, że zamyka się i wyrzuca nas z samochodu. Wiadomości są niejasne: trwają strajki, ale chyba nie ma generalnego, można było przypuszczać – powtarzamy sobie – przy takiej blokadzie nie jest to możliwe. Teraz ważna jest skala, to już następny etap. Teraz może nastąpić przesilenie, jeżeli po tygodniu terroru, użyciu przez reżym wszelkich możliwości i środków, opór wybuchnie ze zwiększoną siłą, zwycięstwo jest nasze. Przed samym wyjazdem styszeliśmy o przechodzeniu żołnierzy na stronę robotników, o niewykonaniu rozkazów, o odmowie ze strony dowództwa w okręgu wrocławskim. To znaczy, że chyba zaczyna się...

Ośnieżone drzewa mkną wokół autostrady, otwierają na płaskie przestrzenie i znowu wyrastają szaropopielatym gąszczem. Zamkniętą przestrzeń zostawiliśmy za sobą w Bloemendal, teraz coś musi się zdarzyć, to jest jak pierwszy etap powrotu do Polski.

W Kolonii pokoik Olgierda na trzecim piętrze zamyka się wokół nas. Strajki są zduszone, trwają tylko na Śląsku i może w paru nieznanym ośrodkach, nie wiadomo co dzieje się w Radomiu – jest odcięty od świata ciasnym kordonem wojska i policji. Możemy to sobie wyobrazić. Wystarczy przywołać rok 1976, masakrowanie robotników, wielomiesięczny terror, Karola, któremu już sporo czasu po czerwcu milicjanci nożem obcalali włosy na ulicy. Tam nikt tego nie zapomniał, gotowało się ciągle. Wybuch musiał być spory, no i teraz pacyfikacja. Starafem się o tym nie myśleć.

Chodziłem między ścianami, trzy kroki, obrót, trzy kroki – czy to przyzwyczajenie zostało mi po aresztach, czy miałem je wcześniej, a siadywanie tylko je utrwaliło? Iwona leżała z twarzą odwróconą do ściany.

Przychodziły coraz to nowe wiadomości: J. Kott mówił o nieprawdopodobnym terrorze, znęcaniu się nad robotnikami, wywlekaniu ciężko rannych górników z karettek pogotowia i o maltretowaniu ich, odbijaniu im nerek, biciu lekarzy i pielęgniarek próhujących temu przeszkodzić. O wdzieraniu się oddziałów ZOMO do szpitali, o konfiskowaniu krwi i piazmy. Ktoś inny mówił o polewaniu ludzi wodą na mrozie. Protesty dobiegały z Ameryki i z całej Europy, najgorzej było w Niemczech. Grupa działania w Kolonii, złożona z polskich emigrantów, zajmowała się organizacją wewnętrzną, działanie przesuwać na nieokreśloną przyszłość.

Dochodziły wiadomości o torturach i kosztownych warunkach w obozach internowanych – coś potwierdzają się stare scenematy. Dziesiątki informacji o wypadkach śmierci, padały głośne nazwiska. Potem okazywało się to nieprawdą, jeszcze jednym chwytano w celu dezinformacji. Potem okazało się, że nie dwustu, a stu. Tylko stu? Zamknięto nie pięćdziesiąt tysięcy, a dwadzieścia. Tylko dwadzieścia tysięcy – westchnie uspokoiony Zachód. A najpewniej, nikt nie będzie pewny niczego i o to chodził. Świadomie rozbudowana, przemyślana od A do Z kampania dezinformacji.

W Niemczech mówiono o wewnętrznych problemach Polski, o stopniowej

normalizacji. Akceptowano terminy reżymu. Podział na uwieczonych i internowanych. Jakby fakt pozbawienia wolności nawet bez pozorów prawnej sankcji, miał być czymś lepszym.

Dochodziły również sprawdzone wiadomości. O „weryfikacji” kadr nauczycieli, dziennikarzy, środowiska kultury i o oczyszczaniu szeregów partyjnych z „oportunistów”. O obowiązku pracy, oficjalnie przygotowanej ustawie przywiązującej robotnika do zakładu pracy i czyniącej zonię bez reszty własność państwa. O podwyżkach, zmniejszaniu racji żywnościowej. Normalizacja trwała.

Trwał również już ostatni strajk w kopalni „Piast”. Ponad tysiąc górników już blisko dwa tygodnie nie wychodziło na powierzchnię. Polska telewizja podała nawet ich żądania. Nie przekraczając i nie dodając specjalnych komentarzy. Iwona próbowała uciepić się tego. Może przygotowują sobie odwrot – mówiła. Wiedziałem, że to nieprawda. Brzmiało to jak kpina. Oto macie swoje słuszne żądania i ich ostatnich rzeczników. A my ich wydusimy jak wydusimy wam w gardle ostatnie żądanie.

Iwona trzymała się tego strajku – jeżeli wytrzymają, wytrzymają dłużej, dołączą się do nich inni – powtarzała. Nie wierzyłem. To niemożliwe – wytrzymać tak długo pod ziemią, samotnie, bez żadnych kontaktów ze światem, bez szans, nadziei. Znowu widziałem czarną ścianę, czarne chodniki, słyszałem ciężki oddech w smrodliwym, dusznym zamknięciu. Ktoś z reporterów, nazwał ich Kamikadze. Miał rację. Wytrzymać tyle nie dni czy nocy, lecz czasu czarnego i gęstego. Coraz bardziej bez nadziei.

Święta wlokły się w małym, zatłoczonym pokoiku, którego nikomu nie chciało się opuszczać. Na ekranie telewizora mapa Polski z zaznaczonymi dwoma miastami: Warszawą i Katowicami. Siedzibą rządu i ostatnim ośrodkiem walki. Przeciekł tekst apelu Wałęsy nawołującego do biernego oporu, aby nie powiększać strat. Myślałem – to już akceptacja klęski; jaki reżym cofnie się przed biernym oporem, koszty takich działań poniesie całe społeczeństwo i wróci do pracy, gdzie chciało żyć, wegetować.

Bujak raz jeszcze uciekł z transportu.

Marzyliśmy – znaleźć się w Paryżu, tam się coś dzieje. Są nasi przyjaciele. Znaleźć się w tej SOLIDARNOSCI na emigracji. Zawsze coś można próbować...

Ogłoszono pierwsze wyroki. Od czterech do siedmiu lat. He tego? Przed nami, za nami, niezmierzone przestrzenie czasu, zdarzeń, możliwości. W roku, czterech latach – jaka to część naszego życia. Dni złobione na ścianie, aby nie zgubiły się, nie zatarły między innymi, sączące się białą, coraz krótszą strużką przez blindy w oknie, stukoczące krokami po betonie dwadzieścia minut dziennie, albo więcej, jeżeli masz szczęście. Władze są łaskawe. Tylko siedem lat, nie dwadzieścia, nie dożywocie. Wyjdzie się. Teraz będzie czas normalizacji, czas wyroków.

Święta przeszły. Górniczy zdecydowali się wyjść. Dowiedzieliśmy się o tym wieczerem: To był chyba dwudziesty ósmy. Jak bardzo potrzebny jest taki żywy symbol. Wiedziałem, że taki będzie koniec, ale teraz czułem, że to już koniec. Leżeliśmy odwróceniem od siebie, a ja czułem ciężar sufitu na piersiach, trudno mi było myśleć i oddychać, tylko bez końca wyobrażałem sobie jak musieli wychodzić z kopalni, uleżeni powietrzem wpadającym w płuca wielkimi, krótkimi haustami. Światłem, otoczem postaciami w mundurach.

Było jasne, że nie prędko wrócimy do kraju. Status emigranta stawał się rzeczywistością. Gdzieś uinknął darowany czas. Nie chcieliśmy myśleć o tym, ani planować. Dopóki nie zaczniemy tego robić, jeszcze nie zrezygnowaliśmy. Nie zostawiliśmy za drutami naszych przyjaciół. Nie odcięliśmy się od Polski codzienną krzątaniem. Nie zamknęliśmy się w obrębie naszego egoistycznego świata, który jest jedynie naszą częścią. Nie pogrzebaliśmy wszystkiego.

Nagle zrozumiałem rosyjskich emigrantów, którzy latami nie uczyli się żadnego języka. Egzystowali na marginesie świata tu. Zupełnie poza swoim realnym krajem. Dotychczas byli dla mnie tylko świadectwem patologii społecznej, groteskowym reliktem. Teraz zrozumiałem, że nie chcą akceptować swojej sytuacji. Jeżeli zaczęliby się adaptować, wyraziliby zgodę na swoją księgę.

— Nieprędko stąd wyjedziemy — powiedział Andrzej. — Trzeba uczyć się języków.

Styczeń 1982

Wkrótce nakładem «Aneksu»

TADEUSZ MAZOWIECKI
Infernowanie

Narodowa Demokracja
Antologia myśli politycznej 1895-1905

Wybór, wstęp i opracowanie
BARBARY TORUŃCZYK

JAN JÓZEF LIPSKI
Komitet Obrony Robotników

W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...

Wybór i wstęp:
IRENA GRUDZIŃSKA-GROSS i JAN TOMASZ GROSS

Janusz Anderman

CHOROBA WIĘZIENNA

Nocna cisza stygnie w celi, na ścianach wędzną nieruchome cienie.

Kratę w oknie porasta gęsta siatka, która chroni wewnątrz i tłumi dźwięki; nie słychać nienawistnego wleczenia — młota się między ciemnym ogrodzeniem a niebotycznym murem, zamalowanym białą farbą na wysokość więzienia z podniesionymi do góry rękami. Farba tuczy się, odstawiając poprzednie warstwy, gomułkowską i glerkowską; to więzienie jest młode.

Gorzkie gwiazdki, wykuszające się z wąskiej tasiemki nieba nie mogą się przecisnąć przez metalowe oczka.

Za niskimi metalowymi drzwiami słychać skąpy szelest; klawisz podstuchuje chwilę, a potem delikatnie unosi blaszaną powiekę lipka i zagląda; tam, w płaskim mroku, piętrzą się wysoko pryce, szara fałda koca spływa na podłogę, bieje czyjaś dłoń, pogięty aluminiowy kubek wchłania mdły odbłask zza szyby...

Gaiśnie świetlista plamka wśród blachy drzwi; klawisz odchodzi dalej; nie będzie pominięty przy awansach.

On leży bez ruchu. Głowę opiera na zmartwiałej ręce i już chyba chciałby zmienić pozycję, ale przesuwa tylko lekko głowę, osnuwając wzrokiem celę i teraz widzi kratę z woalką siatki, a dalej wysokie koleczaste ogrodzenie, za którym jest pas dokładnie zagrabionego pustynnego piasku, i pieś, i ten mur, zamalowany białą farbą na wysokość więzienia z podniesionymi do góry rękami. Mur przeżarty jest badawczym światłem, w którym bezszelestnie opadają śnieżne płatki farby...

On leży bez ruchu; cisza milknie, bo z baraku, niewidocznego przez tę kratę toczą się teraz urywane głosy, przesiakają przez siatkę i odbijają się od ścian, słupów i załomów muru; to modli się wspólnie drugi barak; więźniowie otwierają wszystkie okna i w noc rozlewa się beztładnie bulgot niezrozumiałych słów, wśród których jak bańki wypływają i pękają strzępy pieśni, hymnów i przyśpiewek; więźniowie znów nie uzgodnili jednej wersji; ojcie — Boże, co Polskę — jeszcze nie zginęła — nie rzucim — póki my — wieczne odpoczywanie — ksiądz Kasię gonili — skąd nasz lud — orla wrona — odblerzemy — nocą wywlekani... po chwili szargowisko modłów odpywa jak napuszona fregata i jeszcze tylko pojedyncze słowa łopoczą w siatce; pies umyka z podkulonym ogonem.

On leży bez ruchu; głowa osuwa się z ręki i on czuje naraz jak igiełki krwi mkną ku zneruchomiałym palcom, które wolno ożywiają; on zaczyna poruszać palcami; przesuwając dłoń wśród fałdów koca i zahacza o jakieś strzępy papierów i kopert i grzbiety książek; ten kolor, który wyczuwa teraz dotykiem, jest chłodny i gęsty -- ten kolor jest niebieski -- to okładka notatnika, z którego godziny temu, podczas karnej rewizji, wydarto wnętrze. Okładki są teraz bez tych zapisanych kartek, ale jeszcze kłębią się wśród nich jakieś szczątki i utamki zapisanych zdań i słów, Igną do nich; dwa światy; praktykantka klepowa oblewa ludzi w kolejce oranżadą i ze śmiechem chowa się za pustyni półkami, nikt nie reaguje; w wielu gazetach doniesienia na temat niedźwiedzia, który pojawił się w Tatrach, jest on pieszczotliwie nazywany misiem, a dla 'ekspresu' donosi o nim specjalny korespondent; w polskim radlo audycja herbatka przy samowarze; Polewoj, naczelny redaktor, Junost' marzy o podróży na wschodnią Syberię, opowiada legendę o stworzeniu Syberii przez Boga, który pewnego dnia się zmęczył i wyrzucił tam z worka wszystkie bogactwa, opowiada też jak Niemcy chcieli wysadzić klasztor na Jasnej Górze i zwalić to na Rosjan, jednak ci dowiedzieli się o tym szatańskim planie i dzięki Bogu uratowali klasztor; mężczyzna w sklepie wrzuca za koszulę mrożoną gęś, -- nie wydasz -- pyta sąsiada w kolejce; panie, oni muszą przyjść, jak dwa a dwa cztery, na pewno sąsiedzi, niech pan zapyta, kogo pan chce i oni sami chcą, jak pierdolnie, to zostanie tylko kamień i woda, jak dwa a dwa cztery, oni muszą wreszcie przyjść, te Chłirczyki; my, kobiety przeciętne, powinnyśmy być zawsze wesole; źródłem zła w ojczyźnie jest przyzwolenie na kłamstwo, z testamentu Ryszarda Słowca z Przemysła, prawnika, żołnierza AK, który podpalił się na stadionie, podczas przemówienia Gomulki na dożynkach, protestował przeciwko agresji na Czechosłowację; tysiąc osiemset ton miewa w proszku z Niemiec Zachodnich skierowano do więzień i domów starców z twierdzeniem, że zawierają szkodliwe hormony, okazało się, że instytut, który wydał to orzeczenie, nie ma żadnych urządzeń do tego typu badań; Norwid -- gdzie energia wypędza inteligencję, tam co pokolenie jest rzeź; więzień kryminalny, bandyta, który teraz jest kalifaktorem, siedzi szósty rok, mówi, bardzo dobrze, że ten stan wojenny, wreszcie jest porządek, ostatnio to się człowiek w ogóle bał wyjść na ulicę; Marek, już zasypiając na pryczy, w półśnie, jak już będą w Kanadzie, to najpierw pójść do sklepu, a tam w sklepach wszystko można dostać i ja sobie kupię tak z kilo komunizmu i codziennie wieczorem będę to przez parę godzin napierdalał młotem, do końca życia; te puste okładki notatnika; strzępy zapisanych zdań ułatwiają się powoli, okładki stygną i twardnieją, a nad garścią wydartych kartek pochyla się teraz czujny tajniak.

On leży bez ruchu; zmartwiła ręką wolno dochodzi do siebie, mozolnie, jak po przebytej chorobie więziennej, ale głowa spoczywa bez ruchu; półopuszczone powieki; on wldzi teraz człowieka za kratami; to zawieruch ślepego światła żnąd muru wciska się przez okno i krata oblepia cienkimi tego, który ostrożnie schodzi teraz z górnej pryczy, tak by nie przebudzić inwalidy, śpiącego pod nim, jest już na podłodze, bo prycze, ustawione na przegniłych deskach zaczynają falować i drgać; tamten podnosi pokrywę kubła, czerpie kawę i pije łapczywie; zima, zima, zima, brom rozlewa się leniwie w żyłach; tamten zamiera i stol bez ruchu, i następuje...

i słyszy jak na korytarzu więziennym trzaska klucz w zamku kraty, która odgradza ten korytarz od dyżurki: krata zapadła i klawisz już do rana nie będzie jej mógł otworzyć, bo klucz zabierają na noc, już nie pojawił się za tej kadencji na korytarzu; ten burzliwy dzień kończy się suchotniczym klekotaniem kraty; kiedy godziny temu wyprowadzano dwóch w kolejną nie znaną drogę, kilkuset mężczyzn aluminiowymi miskami zaczęło łogotać w kraty; ta orgia dźwięków, nieskończona, w milczeniu, które zakłóciła syrena więzienna, łkająca na alarm; ten pełen tupotu i buty tupot na korytarzu; ci, którzy siedzą od strony muru i nie wiedzą, co się dzieje na dziedzińcu, słuchają łapczywie; rozedrgane miski milkną raptownie, a drzwi celi rozwierają się nagle i tłoczy się w nich gromada ludzi; w kaskach na głowach wyglądają jak motocykliści w drodze na wiejską zabawę; mały kapitan białą patką dyryguje własnymi słowami: do tej pory tolerowaliśmy, ale teraz koniec z tym, wpięrolimy wam, koniec, spuścimy wpięrol i koniec, wszyscy wychodzić, już; łakome ręce na korytarzu obmacują ciała i targają ubrania, jakaś podkuta noga unosi się jak do kopniaka w brzuch, ale to tylko energiczny but zdziera z kogoś spodnie; ten człowiek stoi teraz nagi: słychać czkawkę aparatu fotograficznego; jeden z motocyklistów odstawił patkę i robi teraz zdjęcia, inni wpadają do pustej celi i zastaniają się drzwiami.

Potem to wnętrze jest obce i nieprzystępne. Wchodzą powoli, zatrzymują się; na pryczach kłębią się kocce, ubrania, paplary i książki, nie ma już kawałka kabla i dwóch żyłek, które można było połączyć z przewodem żarówkii i zagotować wodę; skrzydła szafy, która wyrzygała swoje wnętrze, rozłożone są bezradnie; po podłodze toczy się cebula. Te miejsca są teraz nieznanymi i najpierw trzeba się z nimi oswoić, a dopiero potem, jak po przymusowej przeprowadzce, można mozolnie przywracać zapomniane kształty.

On usiadł wtedy na pryczy, a potem złożył głowę w załomie ręki, a gdy przysłała noc, nikt z celi mu o tym nie powiedział.

Tamten zaszywa się na swojej pryczy i cichnie; przeźroczyta żyłka światła zbiera migotliwe paciorki kurzu; on błędzi ozdrowiałą ręką wśród wydm koca, palce spotykają się z szelestem kartek, błakają się wśród tak dobrze znanych słów, że mogą odczytywać wypukłości liter; co i jak mam ci napisać. Rzadko bywam w Warszawie – strasznie jest w tym mieście, w innych tylko inaczej. Mam poczucie, że bez tych spotkań na Przechodniej w geografii mojego myślenia przestał istnieć ważny punkt; Czy chcesz jakieś książki? Może angielskie? Ucz się języków, bo inaczej oszalejesz; No więc Łopucha już dwa razy siadała do pisania do ciebie listu, siada, pióro chwyta, papier na stole, a jakże, no i nic. Myśl sobie, co by tu, co by... I nic do głowy nie przychodzi; a teraz piję za twoje zdrowie, samopoczucie i sztukę Wyspiańskiego „Wyzwolenie”; Tak trudno do ciebie pisać, bo nie wiem jak się pisze do ludzi, którym źle, którzy nie mogą wyrwać się ze swoich myśli; i ciągle to pytanie, czy to, co robimy, ma jakkolwiek sens; jednocześnie nadmieniam, że Komendant Stołeczny MO nie ma wpływu na działalność poczty, a tym samym: na terminy doręczeń korespondencji; on siada na pryczy po raz pierwszy od godzin; najpierw zgarnia to wszystko, co go otacza, a potem wyławia ze sterty książki, koszule, listy, skarpety, pudełka zapatek, fotografie, płasie pióra, sweter; to wszystko dokładnymi ruchami układa na starych miejscach, których dotąd

nie mógł odnaleźć w pamięci. Potem wygładza koc, w fałdzie natrafia na papierosa, zapala go, cicho zsuwa się z pryczy i spokojnie odlewa się do kibla.

Siada przy stole, pali papierosa i strzepuje popiół przez lewe ramię za kratę.

On pali teraz paplerosa, a potem sięga tam, gdzie zawsze stała pusta puszka i tam, gdzie zawsze leżała kostka margaryny; napełnia puszkę margaryną; sięga do szyl i od więziennej koszuli odrywa troczonek, włącza go w margarynę i bityska zapalką. Puszka ożywa nagle, jak by wyroliła się w niej zgraja świetlistych termitów; on sięga pod pryczę, tam, gdzie zawsze stało tekturowe pudło i odgradza nim pulsujące źródło światła od śpiących.

On siedzi przy stole; na pudle są jakieś egzotyczne nadruki; nazwa jakiejs paryskiej wytwórni, magazynu, czy instytucji i adres i numer telefonu; ulica Franco—Russe: Francusko—Rosyjska; on przypomina sobie tę ulicę z poprzedniego życia; przecznica od ulicy Rapp, ulica Francusko—Rosyjska; na niej powinien kończyć się gazociąg; pewnego dnia wypłynie z niego na Paryż czerwony syberyjski gaz i zadławi wszystkich żałosnych głupców, którzy niczym nie zastużyli sobie na to miasto.

On sięga po okładki, w których zawsze był notes; rozkłada je, milczy. Te strzępy zdań i słowa, zamknięte teraz bezpowrotnie w jego karcoteczce, pojawiają się, wracają, gromadzą się na powrót, są.

Jeszcze jedno wyciągnięcie ręki tam, gdzie zawsze leżała ta kartka i gdzie znów leży; z jednej strony jest zadrukowana — to spis rzeczy z austriackich paczek, które tu, między więzienia, rozdzielal Polski Czerwony Krzyż; Austriacki Narodowy Komitet Pomocy Polsce (dla pomocy Polakom) — podarunki Austriackiego Czerwonego Krzyża. Higieniczny pakunek dla kobiet. 1 mydełko, 1 pasta do zębów, 1 proszek do prania, 1 szampon, 1 paczka dla higieny kobiecej, 250 g waty.

Odwraca tę kartkę, która zakwita teraz bielą, z kieszeni wyjmuje długopis i pochyla się nad kagankiem, tak by blask nie olśnił szyby i nie ocucił strażnika, który ślęczy za plecami w wysokiej wieżyczce nad murem.

Pochyla się.

Nocna cisza stygnie w cell, na ścianach wędną nieruchome cienie.

Kratę w oknie porasta gęsta siatka, która chroni wnętrze i tłumi dźwięki; nie słychać nienawistnego wilczura — miota się między cierniowym ogrodzeniem a niebotycznym murem, zamalowanym białą farbą na wysokość więzienia z podniesionymi do góry rękami. Farba łuszczy się, odstawiając poprzednie warstwy, gołkowską i gierkowską; to więzienie jest młode.

Gorzkie gwiazdki...

Bolesław Sulik

EDEK

Edek jest postacią prawdziwą. Na jego ślad trafił kiedyś w Krakowie Jerzy Kaszubowski, młody reżyser filmowy urodzony w Anglii. Przypadkowy znajomy opowiedział mu tę historię, pokazał listy z Ameryki i zdjęcia. Kopie tych listów przywiózł Kaszubowski do Londynu, a do mnie dotarły bo zastanawiamy się wspólnie jak losom Edka nadać kształt filmowy.

Nie jest jasne kiedy i jak rodzice Edka znaleźli się w Nowym Jorku. Najwcześniejszy list do Krakowa nosi datę 2 lutego 1966 roku. Piśze ojciec do zaprzyjaźnionej rodziny, której głowie wniem jest sumę 50 dolarów. Domyślić się łatwo, że chodzi o jakąś operację walutową na czarnym rynku, konieczną do sfinansowania podróży za ocean. W Nowym Jorku z rodzicami jest najmłodszy syn Kazik, z chronicznymi polipami w nosie. Staszek i Edek pozostali w Polsce. Staszekowi władze odmówiły wydania paszportu, a Edek jeszcze czeka na ich decyzję.

„Co do nas, to nie do porównania czujemy się lepiej, jak w Polsce” – pisze ojciec w tym pierwszym, jak się zdaje, liście z Ziemi Obiecanej. I zaraz dalej (we wszystkich cytatach zachowuje oryginalną pisownię listów): – „Ale jednak jak w Polsce niema człowieka wielkiego zadowolenia duchowego tak i tu, bo sobie mogą Państwo wyobrazić, gdyby w Polsce nikt za nic nikogo nie karcił, gdyby była taka swoboda, że każdy może sobie robić co mu się podoba, to choć tylko jeden naród polski, co by się działo, a tu jest może ze 100 różnego narodu, i tu nikt nikomu najmniejszej uwagi niezwruć, tu choć by 100 ludzi patrzyło, jak ktoś Pana Mordował, to najwyżej zadzwonił po policję, ale żeby obronił Pana to nie.” – Dopiero co się znalazł w Ameryce ojciec Edka, dopiero dostał pracę, a już liczy lata pozostałe do emerytury, bo „kto ma emeryturę, to może wyjechać do swojego kraju, a jego rentę czyli emeryturę, wysyłają mu przez P.K.O. Tu jest tylko to co ludzi zachęca do zamieszkania w Ameryce, że można za robić, kto psyjedzie za młodu, a pilnóje tylko restaurantów i rozrywek, to każdy może być bogaty, ale tu jest dla lekko myślących, tak naszykowane, że kto głupi, to od wypłaty du wypłaty mu nie starczy.”

Tymczasem w Polsce rządy Gomułki, wyniesionego do władzy dziesięć lat wcześniej falą społecznych nadziei, weszły w okres politycznego bezwładu, gos-

podarczej niemocy, niewiary w przyszłość. Po kraju rozlewał się cynizm. Pojedyncze życie stawało się procesem kombinowania. Nadrzędną wartością był spryt.

Osiemnastoletni Edek otrzymał paszport i przybył do Nowego Jorku. Następne listy do Krakowa są już pisane jego ręką. Dostał pracę jako windziarz w nowojorskim drapaczu ciunur. Znajomość języka nie była wymagana. Daje sobie radę, ale Amerykę wcale nie jest ośniony. — „Narzekać specjalnie nie ma co; a i cieszyć się nie ma z czego” — pisze. Winda pewnie była sceną niejednego poniżenia Edka, bo w jednym z listów jest i nuta mściwej złości. — „Jak mi ktoś dobrze dogryzie to mam sposób zrewanżowania się. W windzie motor mam nowy, to często robię tak że z pełnego biegu do góry zmieniam w dół. Winda na sprężynach jedzie w górę a silnik ciągnie ją w dół. Gdy sprężyna jest słabsza od silnika winda zawraca w dół i to bardzo szybko. To trwa 2 — 4 sek. i kto nie wie o tym zawraca się jak pijany. Jak jest duży ruch a drugi windziarz obija się udaje że drżwi się mi zacięły i reperuję 10 — 15 min. Mam swoje metody i nikt mi tego nie udowodni...”

Daje sobie radę Edek. Młodzieńcza jego zadziorność łagodzi poczucie wyobcowania z tego niezrozumiałego a oszałamiająco bogatego świata, tak ostre w listach ojca. Edek patrzy ciekawie, ale też się gorszy. Opowiada o Ameryce tonem chłopca ze wsi, nagle przeniesionego do Central Park. — „W parku przylegającym do naszej ulicy jest muszla koncertowa którą wykupili od 1 czerwca artyści. W pierwszy dzień to była tragedia. Zjechała się masa „artystów” (idioci zarośnięci po uszy i nie lepiej wyglądające „babki”). Wszystko „to, to” pod wpływem ciepła i narkotyków zaczęło rozrabiać. Zaczęło się od tego że śpiewali niedozwolone piosenki. Milicjanci zwrócili im uwagę i tak zaczęło się. Poszły w ruch cęgły, butelki z wódki i piwa. 9-ciu milicjantów rannych, 38 aresztowanych „artystów”.

W Ameryce zaczęło się „gorące lato” 1967 roku. W wielkich miastach północy płoną murzyńskie ghettá, czarni toczą krwawe bitwy z policją. W łonie tych pożarów i przy echem wojny w dalekim Wietnamie dogorywa optymizm lat sześćdziesiątych. Nikt już nie wierzy że piosenką i kochaniem się można zmienić świat, coraz mniej ludzi widzi sens wspólnego działania. Jest moda na krzyk gniewu i brutalność.

Edek uczy się i pracuje. Jest teraz dozorcą w dużym budynku. Ma w swojej piecy instalacje gazowe, elektryczne i kanalizacyjne. Pracuje nieoficjalnie, na konto ojca, powiększając w ten sposób jego przyszłą rentę. Trzy razy na tydzień chodzi na kurs wieczorowe. Z językiem wciąż jest raczej kiepsko, skoro w telewizji „Nóż w wodzie” Polańskiego jest jedynym programem który w całości zrozumiał.

Grudzień nadszedł bezśnieżny. W wieczór wigilijny rodzina zasiadła wokół stołu w scenerii dosyć dziwnej. Humory były nienajlepsze, bo Edek otrzymał właśnie wezwanie na komisję poborową. Miał się stawić 15 stycznia — „To będzie mój ostatni list” — pisze. — „Później będzie odpisywał tato, ze zrozumiałych względów — żelazna kurtyna.”

Za żelazną kurtyną w Warszawie wystawiono „Dziady” w reżyserii Dejnka, owacyjne oklaskiwane. Na uczelniach wrzało, milicjanci zaciskali patki. Szedł „Marzec” w czeskiej Pradze wiosna.

Edek przywdział mundur amerykańskiego piechura. Przechodzi podstawowe przeszkolenie o którym pisze później do Krakowa z krótkiego ułopu w domu. Odnawia prenumeratę „Przekroju”, bo w wojsku niezbyt przychylnie się patrzy na taką zagraniczną prasę. Służbę przyjmuje bez sprzeciwu i bez entuzjazmu. – „Specjalnie narzekać nie było na co, ale i cieszyć się nie było powodu. Pogoda była przeważnie deszczowa a mój pobyt zacząłem w śniegu. W lesie się natążyłem, ale ten las to taki gęsty że trzeba bokiem przechodzić między drzewami. Jakoś to jednak zleciało i swoje najgorsze jest już poza mną, chyba że pojedę znowu głębiej na wycieczkę do egzotycznych ziem. Trzynastego czerwca będę wiedział i mam takie lekkie że przecucie.”

Trzynastka okazała się feralną. Trzynastego czerwca zameldował się Edek w swoim oddziale w San Francisco i dowiedział się że w dwa dni później jedzie do Wietnamu. Postanowił nie mówić nic rodzicom. Umówił się, że będzie pisał tylko do chorego brata Kazika, na adres znajomej dziewczyny. Konspiracja się skończyła kiedy ojciec znalazł list Edka i sam mu odpisał. Przez czas jakiś nie wtajemniczali matki, potem, kiedy dowiedziała się prawdy, dawali jej do czytania tylko listy staro.

Edek pisał listy na posterunku, albo w przerwie na czyszczenie broni. Obraz jego wietnamskich przygód dochodził do Krakowa przez Nowy Jork, kreślony ręką ojca. – „Straszny gorąc, bo tam zimy nie ma wcale. Wody nie mieli tylko kamister na dziesięć dni. Ale to tylko w teorii. Czasem i raz na 4 dni odczymują żywność i wodę. Oprócz kui niepszyjaciejskich giną ludzie od malarii, od ugryzienia różnych gadów, jak: węże, szczury wielkości kota, na spaniu i od szczurów musi być warta, bo naśpiących żołnierzy szczury się żucały. ... Ostatnio pszewieźli ich w wielkie moczary i bagna. Dzień i noc zafse byli mokrzy, spali po 3 godziny, stale partyzantka na nich atakowała. Pijawki tak się ich czepiały, że jak by nie mieli jakiegos tam proszku to innym sposobem nie dało się ich oderwać. Pszemaszerowali przez jakieś bagna po pas i jakoś bardzo wielkie to bagno było tak, że poszedostaniu się na drugą stronę byli czarni od tych pijawek. I w takim mokrym mundurze zaraz ruszyli do ataku, bo druga kompania została zaatakowana.”

Rówieśnicy i koledzy Edka w polskich mundurach szli na Pragę czeską u boku sowieckich towarzyszy broni. Niech się Czechom nie zdaje, że mają prawo rządzić się sami.

W liście z Wietnamu datowanym 28 wrześnią 1968 roku „prajwet pierwszej kiasy” Edek pisze do rodziny: „Dzisiaj jesteście na 100 % pogetowia -- gdy inna kompania zostanie uderzona poćiciny na pomoc. Wczoraj A kompania straciła 9 i 14 rannych, weszli na kompleks bunkrów NVA. Całe szczęście że to my nie byli bo byłoby krucho. Nasz pluton dostał nowy przydział facetów i kto wie jak oni będą reagować. Wczoraj byłem na plutonie patroli i szliśmy po wodzie po pas. Pijawki to tak się naczeptały nas że krew wokóło była. Po drodze jeden z 5 osobowej grupy został zaatakowany i pośpieszyliśmy na pomoc ale NVA wycofało się.

Później czyścieliśmy nasze pole ognia bo inżynierzy nawalili dzew do cholery. Foxhole to wykopałem po szyję głęboko i czuję się bezpiecznej. Spać na ziemi nie jest zbyt wygodnie, ale cóż na to poradzić. Mój deszczowy zakiel to nic z nami nie zostało tylko szyja i stopy. ... Kazek ja będę potrzebował 2 długopisy bo został mi się jeden „Bic” -- resztę piómateń stopił z granatu i nic z nich. Ja straciłem

wszystko co miałem w plecaku. Ale wyslij tylko 2 „Bic” bo szkoda je tracić a nigdy nie wiadomo co się stanie z plecakiem. Pozatym to nic nie mam ciekawego. Kończę bo u dołu góry stychać ogień i kto wie czy nie pójdziemy.”

List doszedł do Nowego Jorku 3 października o godzinie 9 rano, a o 1 w południe rodzice otrzymali zawiadomienie, że Edek zginął w akcji. Trupa znaleziono z postrzałem w szyję. Ojciec postanowił pochować go w Polsce, na rodzinnym cmentarzu we wsi Gwałnica Górna. W rozmowach z ambasadą upierał się, że Edek ma leżeć w trumnie w mundurze amerykańskim, przykryty amerykańską flagą. Władze polskie odmówiły, proponując pogrzeb cywilny. Edek pochowany więc został w Stanach, żegnany salwą honorową.

I to wszystko. Hłobowe listy ojca do Krakowa jakiś czas się ciągną. Polip w nosie Kazika okazał się rakiem i Kazik umarł. Starych toczyły choroby. Dziś już nie żyją. Zmarł także adresat ich listów w Krakowie.

Morał? Egzystencjalny bezsens ludzkiego losu sumuje się w życiu i śmierci Edka ze szczególnym absurdem losu Polaków. Niech morał zastąpi złość bezsilna. Jakich trzeba gestów buntu, jakich wyzwani, by zrzucić z siebie głupotę takiego losu?

Włodzimierz Odojewski

CO SŁYCHAĆ W OJCZYŹNIE?

Miałem zamiar wyjść, a wtedy odezwał się telefon; usłyszałem w słuchawce roztapiający się w gorączy i niezmierniej odległości głos, i chyba z trzy razy z sercem skurczonym powtórzyłem pytanie, zanim pojąłem, że to portier z hotelu oddalonego od mojego o kilkaset metrów zaledwie, który mnie informuje o jego przyjeździe i o tym, że właśnie hotelowy chłopak wrócił z jego pokoju z wiadomością, że brał prysznic i pewnie się położył, by odespać drogę; a przecież nikt inny nie mógł telefonować, wiedziałem, że on przyjedzie, więc skąd to zaskoczenie u mnie? Potem ostrożnie odłożyłem słuchawkę na widełki, jakby mnie tarczyła nie z portiernią tawego hotelu, ale z jego pokojem i jak gdybym bał się tym krótkim trzaskiem aparatu rozbudzić go i wzbudzić, a jeszcze potem przyszło mi do głowy, że tylko minuta, lub dwie później, a nie usłyszałbym dzwonka, i rozpostartą dłońią dotknąłem ust, ażeby uspokoić oddech. Nawet przez zapach skóry czułem duszny, gęsty, suchy, wysuszający wszystko upał bez żadnego przewiewu, ale spód dłoni miałem mokry, jakbym wyciągnął ją z wody. Minęła długa chwila, zanim dopiero sobie przypomniałem, że chciałem wyjść i po co. Kiedy jednak już szedłem znowu do drzwi, niezrozumiały jakiś impuls zatrzymał mnie w pół kroku: bo ten portier mógł się mylić, może on wcale nie odsypia drogi i telefou powtórnie zadzwonił. I choć zaraz posłyszałem swój śmiech na tę myśl, cofnąłem się, ocierając z potu twarz, i w głębi pokoju, gdzie nie sięgał żaden z rozszczępianych przez żaluzje poziomych pasków słońca, usiadłem w fotelu.

Papierową chusteczką machinalnie osuszając twarz i szyję, powtarzałem sobie: spotkam go przecież na Corso, jak wtedy, przed dwoma laty, i przed czterema, i przed sześcioma też, kiedy przyjechał tu wraz z Beatą (bo później już tylko sam, nigdy nie powiedział dlaczego), że będzie kręcił się w tłumie turystów, albo stał gdzieś obok kamiennego mola, albo siedział na jego obrzeżu opuściwszy swe chude, bocianie nogi na belkę do zamocowywania łodzi i patrzył na wynurzający się z wody księżyc, jak-robł co wieczora, że trzeba tylko cierpliwie przecze-kać senne godziny po sjeście, niech uliczki napełnią się gwarem, zapala się światła na redzie i motory kútrów wypływających na nocny półów warkotem na krótko niech uderzą w stoki gór zamykających dolinę miasteczka, a potem przy bramie mjejskiej, gdzie ustawiono drewniane podium, wojskowa orkiestra niech rozpocznie

swój wieczorny występ marszem Radetzkiego; winienem się być oswoić z myślą, że go spotkam, winienem być dostatecznie przygotowany, a nawet musiałem być przygotowany, skoro od kilku dni zwiekałem z załadowaniem się na jeden ze statków odpływających stąd na Korfu, wciąż myśląc o tym spotkaniu, nie wiele śpiąc, w ogóle nie wiele o czymkolwiek myśląc innym, nawet w czasie snu. Ale paski słońca na posadzce dawno cofnęły się w pobliże okien, przybladły, a później stały się tylko paskami gasnącego światła i zacierającego się cienia, upał stał się mniej suchy i duszący, ja jednak wciąż pocitem się na całym cieple, choć siedziałem nieruchomo i odrętwiały, nawet w końcu zaprzestawszy myśleć.

Zbliżała się pora kolacji, kiedy wyszedłem z hotelu. Corso zaczynało się tutaj u stóp murów obronnych zaukłem, gdzie było kilka kawiarni, liczne stoliki pod kolorowymi parasolami zalogające część chodnika, a za szerokim, wystawowym oknem jaśniała jarzeniówkami sala automatycznych gier, i dalej, przez średniowieczną bramę prowadziło w szpalerze akacjowców brzegiem zatoki, ku której, tnąc miasteczko przez pół, z niedalekich gór złobita sobie ujście rzeka Ormo, teraz ledwie że błotnista struga, stamtąd zaś przez skwer i przez most na rzecz zawracało znowu ku zatoce znowu między gęstymi akacjowcami o liściach tak omszałych, zmatowiałych od kurzui, całodziennego słońca i skwaru, że aż poplelatych, choć nieznaczny, wilgotny wiatr podniósł się od morza zaraz, jak tylko zapadać zaczęł zmierzch. W szaropłowe, myśle powietrze uliczek przesyconych wonią gorącej oliwy i ostrych potraw, mieszał się tutaj gorzki zapach prażonych na rusztach orzeszków, który jednak nie potrafił zagłuszyć zapachu morza, i przez pewien czas, idąc, myślałem, że to wyczuwanie zapachów, dostrzeżenie ludzi, zatrzymujących się przed oświetlonymi wystawami sklepów, wsłuchiwanie się w gwar dochodzący z otwartych drzwi restauracji, w śmiech i strzępy muzyki, przywróci mi spokój, ale potem zbliżyłem się do zatoki i musiałem przystanąć, znów czując to podniecenie, zapierające oddech.

Podniósł się na moje spotkanie z obudowy nabrzeża bez zdziwienia, jakbyśmy się umówili dokładnie w tym właśnie miejscu; prostując się, wygładził spodnie i dopiero wtedy spojrział mi oczy oczami błyszczącymi nienaturalnie, a jego dłoń, kiedy zacisnęła się na mojej, była sucha, jak zeschnięte liście i paląca. I nagle tamto wszystko, skaczące do gardła i nie do zniesienia, choć już nie dawało spokoju wiele mieszący przedtem, kiedy nawet na krótko pomyślałem o nim, cofnęło się, jakby się śniło i legło niało realne na dnie pamięci, bo w jego twarzy nie było ani zadowolenia, ani niechęci, ani ciekawości, ani obojętności, absolutnie nic, jego twarz była idealnie pusta, tak że słowa, które przygotowywałem od kilku godzin, układające się w ustach w twarde, brutalne zdania, przepadły. Powiedziałem tylko: Co słychać w ojczyźnie? (owo nasze zdawkowe: how do you do? albo: Wie geht's? albo: Comment ça va? co nie jest nawet pytaniem), a on, Niente odpowiedział, i puszczał moją dłoń, którą przetrzymał, jak mi się zdawało, zaledwie trzy, cztery sekundy, ale suchość jego skóry zdążyła wysać całą wilgoć mojej dłoni, dodał zaraz, Zawsze to samo, od dziesiątków lat to samo, niente. Więc uświadomiłem sobie, że znając go od wczesnej młodości, nie mogłem oczekiwać innej odpowiedzi, choć przecieł gdzieś w głębi miałem nadzieję, że ten jeden raz przynajmniej coś w nim pęknie, odkryje się jakąś szczeliną, która by

sprawiła, że na chwilę stał by się mniej obcy, zresztą nie wiem na co miałem nadzieję, na rozdzierającą scenę? zwierzenia? na łzy niemieckie? chyba jednak wierząc w to i jeszcze tego oczekując, kiedy zbliżyłem się do Corso, i poczułem przelotny, ostry zawód, lecz zaraz ulgę też. I powiedziałem, Tak myślałem, jakby nigdy nie, jakby to było oczywiste, że nie nowego, że niente. I teraz to już nie musiałem brać się wleceć w karby, narzucać sobie jakiejś maski, nawet się opanowywać, byłem zupełnie spokojny. Tylko że w jego pustej twarzy oczy wciąż błyszczały nienaturalnym blaskiem i kiedy przymykał, albo zamykał na krótko powieki, to było tak, jakby coś w nim gasło. I idąc, wymijając przechodniów, przystając i znowu ruszając o nic nie pytał, jakbyśmy ostatnio spotkali się nie przed dwoma laty, lecz dopiero wczoraj i mówił, że Bea lubi to miasteczko, Bea zawsze chce jechać, kilka miesięcy wcześniej cieszy się na tę podróż, potem zawsze coś takiego wyskoczy, co jej stanie na przeszkodzie, Bea tym razem też mogła przyjechać, Bea teraz biegnie z tajnymi gazetkami, wiesz, jak to jest, wszyscy teraz z tym biegają. I oczy mu błyszczały, jak dziokiego zwierzęcia w ciemności, i mięśnie pod napiętą skórą twarzy to naprężały się, to rozprężały, a głos brzmiał chropowato i obco; był już trochę pijany.

Włęc najpierw szliśmy w tym kolorowym tłumie turystów przewalającym się krzykiłwie na Corso, aż do mostu na prawie wyschniętej Oremo, a potem wzdłuż jej kamiennego łożyska aleją na nasypie w szpelerze palm, tak samo zmatowiałych od kurzu, całodziennego słońca i skwaru, niemal nieporuszonych, jak akacje na dole, choć podmuch podnoszącego się od morza wiatru był już wyczuwalny wyraźnie, aż doszliśmy do drogi, którą z gór z wizgiem opon pędziły samochody i ich włączone na cały regulator tranzystory wwlęcały się w uszy natarciwym jazzem, włęc zawróciliśmy na Corso znowu i potem przez ten tłum, który hałasował, zjadał ciastka i lody, kupował gumę do żucia, baloniki, lampiony, różne skorupy gliniane, makatki, przedmioty z trzciny i słomy, i szliśmy brzegiem zatoki aż do starej wieży strażackiej, a może celników, której mur opinało gęste kapryfollum, gdzie wewnątrz była tawerna osłonięta od zatoki pergolą z bougainvilli o liściach jak wszystkie liście wszystkich tutaj roślin, zmatowiałych od kurzu, całodziennego słońca i skwaru, i wciąż nieruchomych, choć od czasu do czasu podnosił się nowy podmuch wiatru i słychać było nowe westchnienie poruszonego morza, i tam, przy barze, za którym kręcił się chłopak z twarzą dziewczyny z obrazów Modiglianego, zanówiliśmy grappę i pijąc, mówiliśmy o Warszawie niedawnych miesięcy.

Potem za uchylonym oknem stała już ciemność, która zapadła nagle i gwałtownie, pulsująca, rozgorączkowana i żywa, delikatno pierzaste miotłki krzaku mimosy ocierały się o zewnętrzny mur i parapet, podkreślając coraz głębszy oddech morza szelestem głośniejszym niż gwar w głębi tawerny, on znowu mówił po raz któryś, że Bea biegnie z gazetkami i ulotkami, że coś piśnie, coś przepisuje, pisemnica, wiesz jak to jest, prowokuje, nikt jej nie tyka ze względu na mnie, wciąż jeszcze coś znaczą, jakby chciał mnie koniecznie przekonać i tymi swoimi błyszczącymi nienaturalnie oczami zaglądał mi uważnie w oczy, a ja mówiłem, że wiem jak to jest, spokojnie, bo byłem zupełnie spokojny, tamto podniecenie zapierające oddech przesunęło się poza granicę świadomości, nawet tę najdalej, i pytałem,

jak się Beata czuje, jest przecież krucha, a on mówił, że czuje się dobrze, wróciła do pracy w szkole, ale to wiedziałeś, już przed trzema laty, jest wswolm żywiole, mówi, że czuje się potrzebna, oczywiście przesada, zawsze była potrzebna, lecz skoro tak mówi, niech będzie, i że nie uwierzyłbym, nabrała ciała od kiedy przestała palić, i czuje się świetnie, naprawdę świetnie, i zaglądał mi w oczy, a ja mówiłem, że to świetnie, że ona czuje się tak świetnie, że pewnie, jak zwykle w lipcu wyjechała nad Jeziora Augustowskie, choć wiedziałem, że Beata od przeszło pół roku nie żyła.

A potem z pomieszczenia obok, oddzielnego przesłoną z nanizanych na sznurki szklanych paciorków, skąd dochodziły odgłosy zabawy i gdzie zaczęło muzykować jakieś trio gitarowe, wynurzył się krągłogłowy, promieniujący l'oste*; zbliżając się do nas rozpromienił się jeszcze bardziej. Ah! Signor dottore! uchwycił jego dłoń, Che notizie dalla sua patria? i potrzęsnał nią wylewnie, Oh! Sempre lo stesso, odpowiedział on na to, a jego oczy miały znowu ten silny błysk, to śmiecie. Promieniujący uśmiech w twarzy l'oste zgaśł w nagłym zastanowieniu, w którym być może dała znać o sobie ta odrobina powierzchniowej wiedzy, jaką musiał mieć każdy cudzoziemiec o nas, nawet z najdalszych stron, nawet jeśli nie czytał gazet, ani słuchał radia, i już chciałem przyjść mu z pomocą, mówiąc, że wszystko w porządku, że signor dottore przyjechał jak zwykle na lato, że nie ma się co tak nami martwić, lecz za przesłoną z paciorków do gitarowego tria dołączył piosenką w dialekcie, niezwykle czystym głosem piosenkarz i słuchaliśmy przez chwilę (nie wiem czy naprawdę, czy tylko udając zaskuchanie), więc nie potrzebowaliśmy. Znowu rozpromieniony l'oste powiedział, że gości aż dwa wesela i jakie, i jeśli mamy ochotę, to możemy się przysiąść. A wtedy on podziękował za zaproszenie skwapliwie, nazbyt skwapliwie, żeby nie zdawał sobie sprawy z tego, że musimy to spostrzec, ja zaś nie powiedziałem, poprosiłem o nową grappę, chłopak z twarzą dziewczyny nalał. I po chwili poszliśmy tam, zabierając nasze szklanki i butelkę.

Na krótko zostaliśmy rozdzieleni w gwarze powitań i okrzyków; może rzeczywiście niejednemu nas pamiętali, zachodziliśmy tu przed sześcioma laty codziennie we trójkę (nieraz wieczorem tak samo trafialiśmy na zabawę lub wesele), potem bez Beaty przed czterema laty i przed dwoma też: znałem tę scenę: nowożeńcy za stołem zastawionym w podkowie, na środku obok nich rodzice, po bokach najbliżsi krewni, wszyscy tak samo krągłogłowi i czarni jak l'oste, dużo młodych pod ścianami na ławach; zawsze wtedy pewnie wspominaliśmy, że Beata lubi takie ludowe uroczystości i pewnie wtedy również musiałem słuchać jego kłanstw, dlaczego nie mogła przyjechać; a teraz on stał naprzeciw obu młodych par i wznosił toast, Salute,* za długie i dobre życie wszystkich świeżo zaślubionych na świecie, mówiąc, Salute, odpowiadali młodzi i starzy, Za pomyślność wszystkich świeżo zaślubionych, powtórzył chropawym, obcym głosem, w którym była ścierć Beaty, Salute, Salute, odpowiedzili raz jeszcze. Ale gdy odezwała się mu-

* gospodarz, karczmarz.

* Jakże władomości w ojczyźnie. Tutaj Co słychać w ojczyźnie?

* Cześć. Tutaj na zdrowie

zyka ponownie, a łoste przepadł, zaraz w tym gąszczu gości znowu zostaliśmy sami, bo jednak żaden z nas naprawdę tu (do tego świata) nie należał, choć ja tu (w tym świecie) przebywałem już od wielu lat, i wkrótce znaleźliśmy sobie miejsce przy oknie; wtedy na niego spojrzałem, prosto mu w oczy. Powiedziałem jednak tylko, Dobrze, że przyjechałeś, tak właśnie powiedziałem, bez nacisku, Można pogadać o bliskich, wiedziałem, że przyjedziesz, powiedziałem, a on nie odpowiedział, tylko mięśnie twarzy pod napiętą, suchą skórą naprężyły mu się i rozprężyły, potem zaśmiał się, także chropawym, jakimś nie swoim śmiechem i w śmiechu tym nie było już nic, może nawet śmierci Beaty nie było, w ogóle nic prócz zmęczenia. Przyszło mi na myśl, że jest to zmęczenie zwierzęcia, które długo kluczyło, wymykało się i które teraz wie, że wszelkie ucieczki, wykręty, fortele, mylenie śladów na nic się nie zdają, że nagonka je dopadła, i wiedziałem już, co powie, kiedy w końcu ten śmiech, przechodzący w krótki ostry kaszel, ustał i on się wreszcie odezwał. Bea lubi takie półwiejskie wesela, powiedział, i że szkoda, bo cieszyłaby się, potrafi na weselach tańczyć, jak panna młoda do upadłego, że jak jej opowie, będzie żalowała, a ja powiedziałem, że tak, bez wątpienia będzie żalowała, Ale nad jcziorami ma pewnie dobrą pogodę i dobre towarzystwo, że teraz dla całej Europy zapowiadają wyż, a on na to krótko, Wiesz jak to jest, te różne jej sprawy, te gazetki, te tajne zebrania, spotkania, dwa, trzy tygodnie i pewnie wróci do Warszawy, a ja, choć wiedziałem, że Beata nie żyje (i już od kilku miesięcy usiłowałem sobie przypomnieć jej twarz, jaką znałem przedtem, dawniej, i w żaden sposób nie mogłem, bo oczy wyobraźni widziały jedynie twarz z tych ostatnich chwil życia), powiedziałem, że może lepiej, że wróci do Warszawy, czasy tak niepewne, bądź co bądź tam bezpieczniej, niż na dalekiej prowincji, nie wiadomo, co jednemu z drugim z tych watazków miejscowych do głowy strzeić może, w Warszawie Bea przynajmniej ma pełno przyjaciół.

Właśnie piosenkarz skończył piosenkę raptownym crescendo, rzęzły się oklaski i nowe głośne toasty. On słuchał, jakby z ogólnego gwaru chciał wyłowić jakieś osobne słowo o niezwykle ważnym dla siebie znaczeniu, żeby je zrozumieć, a potem, jakby się ocknął, wzruszył ramionami, upił łyk grappy, zajrzał mi w oczy szybko, ostro, odpychając i powiedział, że tak, mam rację, w Warszawie bezpieczniej, Ale jeszcze się ze mną liczą, potrzebują mnie jeszcze i że nie sądzi, żeby Beatę ruszył, a ja na to, że też tak sądzę; Przecież cię potrzebują i się z tobą liczą, przytaknąłem, choć wiedziałem, że Beata nie żyje właśnie od tego dnia, kiedy wszystko w ogóle przestało się liczyć dla tych, którym stuleży, prócz ich własnego, niepohamowanego, nigdy nie zaspokojonego głodu władzy, kiedy liczenie się z kimkolwiek i czymkolwiek nic już nie znaczyło i kiedy przyszedł do ich mieszkania i zaczęli pytać, gdzie jest ów facet, który przekazywał jej ulotki, a ona mówiła, że nie wie, zresztą nawet głyby wiedziała, i tak by nie powiedziała, a oni podprowadził ją do jednego z okien, pokazali na tych kilku w cywilnych płaszczach, co stali po przeciwnej stronie ulicy za ciężarówką milicyjną obok kupy śniegu i mówili, że niech sobie ich dobrze obejrzy i pytali, czy mają ich zawołać, czy chce zostać przez nich wszystkich zgwałcona, czy też sobie wreszcie przypomni, gdzie ukrywa się ten facet, który przekazywał jej ulotki, ona zaś wciąż powtarzała z uporem, że nie wie i że i tak by nie powiedziała, gdyby nawet wiedziała, aż ja

uderzyli w twarz, a wtedy od drzwi w przedsiönku odezwał się dzwonek i oni skoczyli otworzyć; to był ten człowiek, którego szukali, który pewnie myślał, że gdzieś jak gdzie, ale w jej mieszkaniu szukać go nie będą i wpadł w sam środek zastawionego kółka.

Pieśniarz przy wtórze gitary śpiewał nową piosenkę, pewnie była to miejscowa, bo weselni goście wtórowali mu zbiorowo i zrobiło się tak głośno, że musieliśmy się przekrzykiwać. Pytałem go, czy była u nich rewizja? czy coś zabrali? czy znaleźli coś, co obciążałoby Beę? Nie, nie było rewizji, powiedział on na to, jedynie zabrali moją myśliwską broń, potem zaraz zmienił temat, a ja przystuchiwałem się i nie prostałem żadnego z jego kłamstw. W przeddzień jego wyjazdu, mówił, rozmawiali o mnie, Bea ostatnio wiele mówiła o tobie, kazała cię pozdrowić, poszliśmy nad Wisłę, padał drobny deszcz, było ciepło i parno, staliśmy na moście, Bea rzuciła kamyki do wody, kazała cię pozdrowić, powtórzył i umilkł, i milczał, a ja jeszcze przez dłuższą chwilę usiłowałem wyobrazić sobie Beatę stojącą na moście, rzucającą kamyki do wody smaganej deszczem i jak od tych kamyków rozchodzły się na powłóczalni koła coraz szersze i szersze, ona zaś spoglądała tam w dół. Aż przeczyl miłe dreszcz. Bo przecież Beata nie żyła od kilku miesięcy, a ja nie mogłem sobie wyobrazić nawet jej twarzy z tamtych czasów, kiedy ją tak dobrze znałem. Powiedziałem do niego, Bea jest piękna, powinienś o nią dbać, Jest piękna, przytaknął on, Wciąż jest piękna, jakby czas jej nie ruszał, przytaknął znowu po krótkim milczeniu. Wziął moją szklankę, nalał do niej grappy, a ja, gdy ją z jego ręki odbierałem, widziałem, jak mu dłoń drżała i jeszcze raz powiedziałem, Jest piękna, a on nie powiedział tym razem nic.

Wtedy uświadomiłem sobie, że nawet i tego nie zapamiętałem, czy była piękna, czy nie. Miała szeroko rozstawione, wydatne kości policzkowe, szeroko osadzone oczy, a bardzo prosty nos i dobrze wykrojone usta podkreślały doskonałą symetrię tej twarzy, ale czy była piękna? Fascynująca na pewno, zwłaszcza, gdy te oczy, czarne, ale nie zupełnie czarne, bo rozjaśniały się, kiedy była wesoła, a ciemniały, kiedy wpadała w gniew, zapalały się w rozmowie i gasły przestaniane rękami, jak gdyby chciały one złagodzić spojrzenie jej źrenic. Ale to wszystko wiedziałem, to były poszczególne elementy jej twarzy i wiedza o tych elementach nosie, czole, oczach, wydatnych kościach policzkowych, ustach (ktoś mi z kraju pisał o jej bolesnie zacisniętych ustach, kiedy jesienią spotkał ją samotnie na jakimś odczynie), i z tych oderwanych elementów nie potrafiłem złożyć rozpoznawalnej całości. Myślałem i myślałem przez kilka miesięcy i nigdy nie udało mi się zobaczyć jej takiej, jaką była dawniej. Przyszło mi nagle na myśl, że może niebawem w ogóle nie będę mógł sobie Beaty przypomnieć. Nawet z tej chwili, kiedy kazali jej spojrzeć z okna na tych mężczyzn na ulicy, stojących przy ciężarówce obok kupy śniegu, i pytali, czy mają ich zawołać, czy chce być przez nich zbiorowo zgwałcona, czy też powie, gdzie ukrywa się ten facet, który dawał jej do rozprowadzenia bibułę (ten facet mówili, mówiła później sąsiadom, kiedy zdołała się uspokoić) i uderzyli ją w twarz, i kiedy odezwał się dzwonek w przedsiönku, a oni otworzyli i go zabrali. Ani z tej chwili, kiedy patrzyła, jak go wyprowadzają. Tych jej oczu wtedy tak płonących, tak czarnych jak antracyt, i gniewnych i upokorzonych, takich jakie były jeszcze, gdy zaraz wpadli do mieszkania sąsiadzi, słysząc jej

krzyk, okropny, szalony, samotny, jak miotana się całym ciałem po podłodze, a potem raptem zamilkła i mówiła, że już dobrze, że już jest spokojna, że mogą iść, oczy zaś wciąż miała gniewne i upokorzone. Gdzie byłem wtedy, kiedy powinieniem był tam być? Co wtedy robiłem o setki kilometrów oddalony od niej, zajęty jakimś swoimi myślami i drobnymi sprawami, żeby nie przeczuć, nie wyczuć jej upokorzenia i samotności i żeby nie przerwać na jedną chwilę chociażby taintych myśli i tamtych zajęć po to, żeby w najwyższym ostupieniu, jak myśl niewidzialny, ale może wyczuwalny przez nią, znaleźć się przy niej, kiedy to się stało, kiedy wyrwała zamek ze szafki, gdzie on przechowywał swą myśliwską broń i sięgnęła po jego sztucer.

Nachylił się do mnie, znów zaglądając mi w oczy tymi błyszczącymi oczami nocnego zwierzęcia spotkanego nagle w ciemności i, przekrzykując gwar, powiedział, Salute, więc ja powiedziałem również, Salute, i wypiliśmy. I wtedy, choć moje myśli były wciąż czymś zaprzątnięte, co z nim niewiele miało wspólnego, a później nawet zupełnie nic, zapytałem, Gdzie byłeś w grudniu, kiedy oni zaczęli wojnę? a on odpowiedział (a czy jego raptownie się cofnęły), że był wtedy na sesji Organizacji Zdrowia w Genewie, Byłem zapisany do głosu, czekałem jeszcze swojej kolejki, powiedział, a ja po chwili milczenia powiedziałem tylko, Salute, i on zaraz też, Salute, powiedział i znów wypiliśmy, i widząc, jak mięśnie pod napięciem, suchą skórą jego twarzy naprężają się i rozprężają, pomyślałem, że on musi wiedzieć, że ja wiem.

Musiałem być również już trochę pijany, kiedy zapytałem, przekrzykując muzykę i gwar, A twój przyjaciele? profesor lx, poseł igrek? redaktor zet? bo przecież w gruncie rzeczy wcale mnie to nie interesowało i byłem spokojny, i zimny, i alkohol sprzywał mi przez gardło do żołądka, jak lód. Och, zachowują się jak kurwy, powiedział on na to, przekrzykując gwar, Tłumaczka, że uratowali ojczyznę od sowleckiej inwazji, ja też zachowywałem się wielokroć jak kurwa, ale nikogo nie zapewniałem, że ratowałem cokolwiek, przekrzykiwał gwar, Ta moda zaczęła się od generałów, powiewają biało-czerwonymi chorągwiemi, przywdziewają rogatywki, śpiewają hymn narodowy zamiast Międzynarodówki i mówią, że mogło być gorzej, a co mogło być gorzej, od tego, co się stało, powiedz? przekrzykiwał gwar, mówiłem im to tysiąc razy i jeszcze tysiąc razy powiem, i umilkł, patrząc dookoła błyszczącymi oczami zaszczutego zwierzęcia, które wpadło w zasadzkę, więc z kotel ja, przekrzykując gwar, powiedziałem, że wiem, że na pewno powie i że nie ma się co tak przejmować, ratował to i owo, Gdybyś nie ratował, Bea by z tobą nie była, przekrzykiwałem gwar, choć wiedziałem, że Beate od grudnia nie żyje. Potem trąciłem swoją szklanką jego szklankę, Salute, mówiąc i że jeszcze on im to tysiąc razy powie, Jeszcze coś znaczysz, jeszcze się z tobą liczą, Salute. I wypijając do dna, nawet przez szkło teraz widziałem, że w jego oczach prócz tamtego zwierzęcego błysku nie ma nic, absolutnie nic, ani tej porywającej, nieokreślonej, tak typowo polskiej nieugiętości, ani nie ze wschodniej mgiełki melancholii, ani zupełnie nic z tego wspaniałego, marzycielskiego szaleństwa, pozwalającego widzieć rzeczy, które się jeszcze nie wydarzyły i wierzyć, że się wydarzą, ani tym bardziej nadziei, która zdolna jest poruszyć góry, ale że ten błysk jest okrutny i mściwy.

Tymczasem poprzesuвано stoły i zaczęły się tańce, więc precyzyjnie się w klerunku wyjechał. Za zastoną z kolorowych paciorków złapałem łostę, zaplaćłem, on poprosił o jeszcze jedną butelkę grappy, odkorkował, wyszliśmy na dwór i od razu uderzył nam do głowy ciepły, wilgotny, orzeźwiający i jednocześnie mącący rozum podmuch pobliskiego morza. Powietrze puszyste, jak aksamit, poprzetykane było świetlikami, chrzęszczały cykady, księżyc stał na niebie w pełni i wszystko dookoła okrywał srebrny opar. Usiedliśmy przy stoliku obok pergoli opletej bougainvillią, odgradzącej tawernę od zatoki, za naszymi plecami głucho dudniła muzyka, bo do gitar przyłączył się akordeon i perkusja, przed nami połyskujące i gasnące fale, jak grzbiet leniwie wynurzającej się z wody ryby, z sykiem zlizywały brzeg, i on, zamyślony, mówił, Bea lubi takie zabawy, takie wesela, jakby zapomniał, że już to raz powiedział, i potem bez większego związku, a tam był wtedy mróz i śnieg.

I od razu świetliki i księżycowy opar zmieniły się w śnieg. Sywał naprawdę, suchy, biały, zimny, przysypywał nas. W Warszawie i całym kraju po ulicach i drogach, jak watahy kozaków na koniach krążyły czołgi, ale czołgi własne, wojsko patrolowało ulice miasta, ale wojsko własne, uzbrojeni po zęby milicjanci przetrząsali przechodniom torebki, teczki i kieszenie, milczały telefony, nie ukazywały się gazety, samochody uneruchomione brakiem benzyny stały przy tro-tuarach w wysokich zaspach, ludzie umierali w szpitalach z braku lekarstw, albo w domu z braku lekarza, górnicy barykadowali się na dnie kopaliń, stoczniowcy w dokach, a śnieg wciąż sywał zasypując wsie, miasteczka, drogi między wsiami, miasteczkami i miastami, nas też, aż on powiedział, Salute, upijając łyk z butelki i oddając ją mnie, ja też upiłem, mówiąc, Salute, i śnieg był znowu rojem świetlików pikujących w powietrzu srebrnym od oparu księżycy, a chrzęst czołgów znów namiętny, oszafamiającym, uporzycywym, żywiołowym chrzęstem cykad, my zaś siedzieliśmy milcząc przy pergoli z bougainvillią, której liście, jakby pod-much od morza zmył z nich cały kurz upalnego dnia, isniły teraz jak mosiężne blaszki natarte oliwą.

Wreszcie, nic nie mówiąc, podnieśliśmy się z miejsc. Powoli zeszliśmy na Corso, na którym w światłach latarni i wielokolorowych lampek zawieszonych nad jezdnią wciąż kręcili się hałaśliwi spacerowicze, a stamtąd zbyczyliśmy potem pod górę w San Pietro; wciąż milczeliśmy. Przed sześcioma laty także szliśmy tą drogą, tylko że we trójkę i kłócieliśmy się, jak nigdy w czasie naszej wieloletniej przyjaźni. To było w miesiąc po tych zajściach ulicznych w Radomiu i cała sprawa jeszcze nie ostygła, w każdym razie nie według Beaty, według niej koło historii miało dopiero niebawem przyspieszyć swój bieg, a wtedy on powiedział z sarkazmem, że już nie raz doświadczył tego przyspieszenia i jego tamiącego kości ciężaru też, już te kości niejednokrotnie na nowo temu i owemu zestawiał, a na to ona powiedziała mu coś bardzo przykrego i on obrócił się na pięcie i poszedł. Włęcz stałem tam z nią przed bazyliką długą chwilę milcząc, ona jeszcze pewnie z wypiekami na policzkach, oddychając prędko, zachłannie, z oczami pewnie znużonymi, ze ściągniętymi ustami, aż powiedziała, On wróci, a cieknie, delikatne chrapki jej nosa zapewne były białe, jak pergamin. Ale wkrótce ostatni zdelikatujący opuścili San Pietro i kościelny zamknął z hukłem bramę. A potem ostatnie synagarcie

ukryty się w koronach platanów i kos wielogłosy w mimozach za plebanią śpiewał pieśń już nocną, on zaś nie wracał. Ujęła mnie wtedy pod ramię i chodziłiśmy wokół świątyni i okolicznymi uliczkami, i znowu przed świątynię, którą księżyc wydobyl powoli z mroku na nowo i osrebrzył, i opowiadała o swojej spóźnionej pracy dyplomowej, że chce wrócić do zajęć w szkole i że najwięcej pomocy potrzebują najmłodszy, że ich wyobraźnię kłamstwo najskuteczniej niszczy i, żeby zapobiec faktom nieodwracalnym, mówiła, trzeba walczyć o dzieci, oni! Im familią charaktery, zatruwają duszę, a ja wiedziałam, że mówi też o sobie i o nim, o swoich najgłębszych, skrytych doświadczeniach.

Aż do bólu, aż do krzyku czułem jej szczupłe ramię wsparte na moim (wszystkie włókna ściągani razem i każde osobno, napięte), to ramię nieodparcie kierujące moimi krokami jeszcze raz wokół starej świątyni, jeszcze raz w okoliczne uliczki, i znowu wokół świątyni nie do zatrzymania, nie do sprzeciwienia się, i jej dłoń, która zaciskała się niżej mojego łokcia, czułem, pełną siły hartowanej cierpieniem, zawodami, ale i niezłomną wiarą. Aż nagle powiedziałem, że on już nie przyjdzie. Odprowadzę cię do hotelu, powiedziałem, a potem, Dlaczego nie zostawisz go, Bea? zapytałem cicho.

Wtedy ona przystanęła, prostując się, nieco podana do przodu naprzeciw mnie, a druga jej dłoń spoczęła na drugim moim ramieniu, też niżej łokcia, i się zacisnęła, tak że to uczucie opanowującej wszystko siły, drżemiaczej w jej napiętkach podwoiło się, czy nawet udzieliło kilkakrotnie, i twarz, której bladeść pewnie jeszcze wzmocnił wraz z mrokiem księżyc, przez chwilę znalazła się tak blisko mojej twarzy, że ciepły oddech jej rozszerzonych chrapek palił mi usta, i wszystko we mnie nagle zamarło z tęku, jednocześnie oczekiwania. Lecz kiedy się odezwała, nie powiedziała nic ani o sobie, ani o nim. Zapytała tak samo cicho, jak ja przedtem cicho ją spytałem, Więc to mówisz ty, jego przyjaciel? a ja, że jestem także jej przyjacielem, powiedziałem nie wytrzymując jej spojrzenia. Bo ona mnie już przejrzała, jeżeli zresztą nie czuła, nie wiedziała dawno, kobieta zawsze wie najwcześniej, wcześniej, niż mężczyzna zdoła pomyśleć, nawet wcześniej, niż on sobie w ogóle uświadomił, że mógłby to pomyśleć. A potem chyba spojrzała mi w oczy tak, że pojąłem, że nie powinienem był powiedzieć tego, co powiedziałem (chyba, że już wtedy przeczuwałem, że nie zobaczę jej więcej). I patrząc tym spojrzeniem niezgłębionym, które zakrzywiało, nie pozwalało uczynić nawet gestu, który by coś znaczył, wciąż z siłą wsparta dłońmi na moich ramionach niżej łokci, przyciągnęła mnie na chwilę do siebie (że pod dotykiem jej ciała zadrażałem) i pocałowała w usta. A potem jeszcze, już odpychając, powiedziała, On jest od ciebie bardziej samotny i jest starszy.

Teraz zaś, stojąc z nim przed San Pietro – gdzie kiedyś z nią stałem – wyobrażałem sobie ze zgrozą (że równej dawno nie pamiętałem), jak ona wyrwała zamek z szafki, w której on przechowywał myśliwską broń. I że w mieszkaniu było cicho, bo już w całej kamienicy też było cicho, widać kto był poszukiwany, został wyganięty i w milczeniu obserwowano zza firanek ulicę, czy znowu podjadą, tak że ten huk wystrzału zabrznieć musiał, jak krzyk Boga wołającego o kairę.

Od kilku miesięcy wciąż przypominał mi się inny ból, kiedy byłem jeszcze

chłopcem i kiedy przewalał się front, a kula odbita od muru strzaskała mi łopatkę. I jak potem zamroczony próbowałem uciekać i jeszcze czoiłgałem się po śniegu brocząc krwią, a ramię było odgięte do tyłu, nienal odwrócone, martwe i jednocześnie, jakby przez kogoś tam z tyłu wyszarpywane gwałtem z ciała. Od kilku miesięcy bezustannie i z uporem przypominany własny ból powracał wraz z obrazem gniewnej, upokorzonej, zdeterminowanej, szalonej twarzy Beaty, gdy lufa jego sztucera wcisnęła pod szyję. Aż któregoś dnia, po wielu nocach niespania, nad samym ranem, wciąż leżąc bezsenno, trzeźwy i zdruzgotany, wyobraziłem sobie wreszcie, co działo się w niej wtedy naprawdę. Od chwili tego wcisnięcia pod szyję lufy, jak jej manipulujące przy zamku palce, ziębnąc, cofały się i kurczyły z obrzydzenia i strachu, aż do samego końca tego wszystkiego. I wtedy pomyślałem, że mu to powiem, wpierv jednak zapytawszy, gdzie byłeś? jakiej sprawie służyłeś? jakie pełniłeś misje? jakie zadania?, co robiłeś, gdy ona to robiła, co nie musiała zrobić, gdybyś przy niej był? co robiłaś, gdy ten jeden raz tak potrzebny byłeś jej, jak nigdy? A postanowiwszy to, pierwszy raz potem zasnąłem po wielu miesiącach prawdziwie i bez bólu, nawet spokojny, i ten spokój był we mnie podczas całej drogi i gly tutaj czekałem, wiedząc, że on przyjedzie, że go spotkam, teraz zaś przepadł bezpowrotnie, gdyż wiedziałem, że mu nie powiem nic; słowa, które miałem przygotowane tak i tak straciły wszelki sens.

Ku Torre Santo Stefano podprowadziła nas coraz głośniejsza muzyka wojskowej orkiestry, koncertującej jeszcze. Abbasso gli ufficiali! Abbasso i soldati!* krzyknął on, gdy się zbliżyliśmy. Począł roztrącać niecierpliwych już gapiów wokół podium z belek, usiłując wejść na schodki; odciągnąłem go z trudem, opierał się, krzyczał jeszcze, a potem raptem osłabł i ucichł. Gdy skręciliśmy w Piazzetta Alfonso d'Aragona, powiedział z gszonym głosem, To bardzo ciężko, a potem, mimo że twarz mu się nie zmieniła, albo też ja nie mogłem dostrzec, żeby się zmieniła, dodał, Nie mogę się z tym pogodzić, co oni zrobili. Więc już prawie go słyszałem. Powie raz jeszcze, że był tam w Genewie zapisany do głosu, że nie mógł opuścić ważnego posiedzenia, że nie wiedział, nie przeczuwał i różne podobne, drobne usprawiedliwienia, w rzeczywistości jednak nie powiedział tych słów, nie w tym sensie nawet, ale tylko, Mnie tam nie było, bytem gdzie indziej, i patrzył błyszczącym spojrzeniem zwierzęcia, w którym, wszystko umarło, jedynie nie nienawść. Dlatego zrazu ja nie mówiłem nic, po dłuższej chwili dopiero wzięłem od niego butelkę, pochląnąłem z niej tyk, Salute, mówiąc i oddałem mu ją, a on powiedział też, Salute, i też wypił.

Staliśmy na Piazzetta słuchając oddalającej się orkiestry, a potem, gdy dźwięki pożegnalnego marsza umilkły zupełnie, znów wypiliśmy po tyku z butelki. Poprzez szczyrbę w murze wpółzwalonego pałacyku widać było wyłaniające się ze srebrnego nieba ciemne, obrysowane potamąną kreską góry. Miasteczko zachowało. Wabione światłem latarń nietoperze ocierały się w locie o cylindryczne kioski z aksamitnym szelistem. Tu i tam skrzybiał jeszcze o bruk krok samotnego przechodnia, a w jednym z domów w tle otwartego okna stanęła kobieta z rozpuszczonymi do snu włosami; uniesiona przez nią lampa rozszczepiała na dwoje

* Precz z oficerami! Precz z żołnierzami!

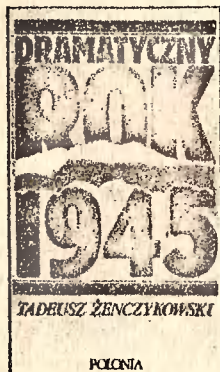
mrok, ramię zaś, z którego cofnął się rękaw koszuli, zastygło wytoczona z brązu w powietrzu na krótko, jak obietnica. Milczenie trwało już zbyt długo, znów prawie go słyszałem. Ale powiedział tylko, Salute, więc ja też powiedziałem, Salute, i wypiliśmy, i poszliśmy.

Palmy na nasypie na Oremo zaczęły kotysać się łagodnie, wiatr wreszcie był prawdziwym wiatrem, jego tchnienie upiło nas do reszty. Salute, powiedziałem, Salute, odpowiedział on, gdy opróżniliśmy butelkę, zatrzymując się na moście. Bea kazała cię pozdrowić, powiedział on wtedy, patrząc przez poręcz na leniwie płynącą środkiem kamiennego łożyska strugę wody, a ja, ponieważ to już słyszałem, nie powiedziałem nic. Wiesz, od czasu jak wróciła do pracy w szkole, zmieniła się bardzo, to jej daje poczucie pełnienia jakiejś misji, powiedział po chwili, Jej się wydaje, że ona coś zmienia, że wpływa na bieg wydarzeń... A nie wpływa? zapytałem wprawdzie nie zaczepnie, ale zauważyłem w jego oczach jak gdyby cień zdziwienia. Wiesz, jak to jest, powiedział zaraz, Wpływa, nie wpływa, co w końcu zależy od jednostki... Ale tak jej się wydaje, i że te gazetki, te różne białetyny..., zrobił nieokreślony ruch ręką. Bea nie powinna się zajmować takimi rzeczami! wybuchnąłem nagle i, choć zdziwienie w jego oczach pojawiło się teraz naprawdę, nie próbowałem uzasadniać (co miałem mu mówić, że przez to, że była jego żoną, wszystko co robiła było rozdarté, tragiczne, że każde słowo u niej stawało się krzykiem, nawet gdy mówiła szeptem), ale z pijackim uporem brnąłem dalej. Powinna się zajmować domem, powinna mieć dzieci, własne dzieci, kobiety jak ona, stworzone są do miłości, miłości i macierzyństwa, jakież zadanie ważniejsze jest od miłości i macierzyństwa? powiedział to jej, powtarzałem z pijackim uporem, a on przytaknął, Tak, powiem jej, miłość, macierzyństwo i, nie bać się życia, dodał, Ona nie boi się życia! zaprotestowałem, Masz rację, ona nie boi się życia, zgodził się, Kto nie boi się życia, nie boi się też śmierci, dodał jeszcze po chwili, Tak, nie boi się śmierci, zgodziłem się tym razem ja i nastąpiło krótkie, ciężkie milczenie. Ale potem zaraz on zaczął znów powtarzać, że stał na moście nad Wisłą, było parno i padał drobny deszcz, a Beata rzuciła kamyki do wody. I rzucił pustą butelkę po grappie w dół, patrząc, jak płasko uderzyła o płytką wodę, odbiła się dna i popłynęła ku zatoce.

Przez chwilę wydawało mi się, że to ja stoję z nią na moście nad Wisłą (nie wiedziałem, kiedy to było, kiedy oni tam stali, ale teraz stałem ja), nawet czułem jej ramię przy swoim, chociaż mnie nie dotykała nim wcale, i patrząc na wodę rzeki, myślałem o jej mętnym nurcie, który przecinał tę ziemię, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi i ta ziemia była wojna, i także kiedy nas jeszcze nie było, a ta ziemia nie była wojna, i wcześniej, kiedy przewalały się przez jej brody wojska swoich i najeźdźców, a na jej skarpach powstawały grody, i jeszcze wcześniej, kiedy rozmaite ludy osiedlały się nad jej brzegami i wymyślały dopiero jej nazwę, kiedy uczyły się z nią współżyć, kochać ją i jej bronić, tak jak uczyły się jej nazwy, a także kochać ją, współżyć z nią i jej bronić wszystkie pokolenia później, i myśląc o tym wszystkim, myślałem, jak jej nurt wciągnie spłukuje i nieśie w dal piasek, muł, kamienie i różne brudy tej ziemi, że tak, jak niegdyś niósł barki ze zbożem i drewnem, kłose, wyrwane z korzeniami piasek, snopki słomy albo siano, czasem zdechłego psa, albo kota, albo nawet ludzkie trupy, tak teraz pusz-

ki od konserw, butelki, plastikowe torby i pudełka, ścieki fabryk i kloak młast i wsi rozsiadłych na obu jej długich brzegach, z trudem oczyszczając się po drodze ku morzu, i jak wzdłuż tej rzeki rosło bogactwo i nędza, sprawiedliwość i niesprawiedliwość, i o sprzedajnych politykach myślałem, o nieudolności, podłość i zdradzie, o mądrości i poświęceniu, bohaterstwie i rniłości, o miłości przede wszystkim, a także o nadziei i wierze, które pozwalają trwać i przetrwać, mimo złych rządów, obcego ucisku, fałszywych systemów i bezprawia, trwać i przetrwać, choć nie mogłem dociec dlaczego Beata zrobiła inaczej, ale nie mogłem jej spytać, jej ramię nie dotykało mnie nawet, zresztą Beata nie żyła, więc myślałem, że wszystko jest nicością wobec wiecznego istnienia tej rzeki, głównej arterii naszej historii, naszej życiodajnej aorty, która płynie tam niezmiennie, gdziekolwiek byśmy się w tym czasie znajdowali i czy żyjemy, czy nie, wciąż płynie przez ten kraj, gdzie cmentarzy wciąż więcej niż ogrodów, i powiedziałem do niego, Wszystkie jest nicością, nulla*, powiedziałem, Nulla wobec tej rzeki, powiedziałem, nad którą stałem wtedy z Beatą na moście, kiedy padał deszcz i ona rzucała kamyczki do wody, Nulla jest, powiedziałem, Wszystko inne jest nulla, i jago oczy, jak zwierzęcia w ciemności widziałem, gdy powtarzał za mną, że nulla, że wszystko inne jest nulla, i odwrócił twarz, jakby broniąc się przed moim wzrokiem, jakby nie chciał, abym odgadywał ich błysk.

* nic



Pierwsza pozycja w nowej serii «Polonia»
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Tadeusz Żenczykowski
DRAMATYCZNY ROK 1945
Szkice historyczne

Do nabycia w księgarniach polskich lub
bezpośrednio u wydawcy

POLONIA BOOK FUND LTD
8 QUEEN ANNE'S GARDENS
CHISWICK, LONDON W4 1TU

Cena £5.50 (tub równowartości) plus przesyłka

Josef Škvorecký

RED MUSIC

„Powiedzieli mi: przecież jazz jest dekadencją, burżuazyjną muzyką! -- ponieważ wbiła brzo do głowy sowiecka prasa Odpowiedziałem: to jest moja muzyka, i nie oddałbym jej nawet za światową rewolucję.”

Langston Hughes

W czasach kiedy wszystko w życiu było świeże - mieliśmy bowiem po szesnaście, siedemnaście lat -- grywałem na saksofonie tenorowym. Bardzo kiepsko. Nasz zespół nazywał się *Red Music*, nie było to cokolwiek mylące, ponieważ nazwa ta nie miała żadnych politycznych konotacji, w Pradze istniał inny zespół pod nazwą *Blue Music* a my, ponieważ żyliśmy w nazistowskim protektoracie Czech i Moraw, nie mieliśmy pojęcia, że w jazzie słowo „blue” nie oznacza koloru. Nazwailiśmy więc nasz zespół *Red Music*. Ale choć sama nazwa nie miała żadnych politycznych podtekstów, nasza dzika i słodka muzyka je posiadała; ponieważ jazz był zawsze cierniem w boku wszystkich żądnych władzy maniaków, od Hitlera do Breżniewa, którzy kolejno po sobie rządzili w tym kraju.

Jakie polityczne konotacje? Lewicowe? Prawicowe? Rasowe? Klasowe? Nacjonalistyczne? Słownik ideologów i szarlatanów nie ma na to odpowiedniego określenia. Na początku, na krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej, kiedy moja generacja doznała muzycznego oświecenia, jazz nie był w ogóle wyrazem żadnego protestu. Jakkolwiek by nie były wady liberalnej republiki T.G. Masaryka, był to prawdziwy raj tolerancji kulturalnej. Niech sobie LeRoi Jones mówi co chce, ale kwintesencja tej muzyki, sposób jej „robienia”, nie jest protestem. Jej istotą jest coś bardziej elementarnego, „élan vital”, wybuchowa i twórcza energia, którą wyczuwa się i w najsmutniejszym bluesie. A efektem jest katharsis.

Kiedy jednak życie jednostek i społeczeństw znajduje się pod kontrolą władzy, która sama pozostaje niekontrolowana -- pod kontrolą handlarzy niewolników, carów, führerów, pierwszych sekretarzy, marszałków, generałów i generalissimusów,

ideologów dyktatur po obu stronach politycznego spektrum – wtedy twórcza energia naprawdę zamienia się w protest. Suchotniczy urzędnik Ubezpieczalni Robotniczej (którego serce według świadectw współczesnych, bolało nad losu klientów instytucji, w której pracował), ulegnie nieoczekiwanej metamorfozie, stając się zagrożeniem dla policyjnego socjalizmu. Dlaczego? Ponieważ w wizjach zawartych w jego „Zamku”, w „Procesie”, i w jego „Ameryce”, jest zbyt mało papieru a zbyt wiele życia ukrytego pod maską nieracjonalnej fikcji. Tak to jest. Jak bowiem inaczej naiezałoby tłumaczyć fakt, że spis książek przeznaczonych do usunięcia z czytelni Amerykańskiego Serwisu Informacyjnego, a sporządzony przez senatora Joe MacCarthy, prawie całkowicie zgadzał się z listą wydaną przez partię komunistyczną w Pradze we wczesnych latach siedemdziesiątych? Totalitarii ideologicznie nie lubią prawdziwego życia (Innych ludzi), ponieważ nie mogą poddać go totalnej kontroli; nienawidzą sztukę jako wytwór pasji, pragnienie życia, ponieważ i to wynika się spod kontroli, a w chwili kiedy sztuka zaczyna być kontrolowana, dtawiona paragrafami, umiera. Niem jednak zginie, albo znajdzie przytułek w jakimś samizdacie, staje się chcąc nie chcąc protestem. A popularna sztuka masowa jak na przykład jazz, staje się masowym protestem. Z tych to powodów ideologiczna a czasem i policyjna broń kierowana jest przeciwko ludzom z saksofonami.

Red Music grała (że, iecz z zapaleniem szesnastolatków) za panowania najbardziej aryjskiego ze wszystkich Aryjczyków i jego kulturalnego sługi dr. Goebbelsa, który oznajmił: „Będę mówić całkowicie otwarcie na temat tego czy radio niemieckie miałoby nadawać tzw. muzykę jazzową. Jeśli pod pojęciem jazz rozumiemy muzykę opartą na rytmie, całkowicie ignorującą, a nawet pogardzającą melodią, muzykę, w której rytm podkreśla przede wszystkim ohydne dźwięki wyjących instrumentów obrażających duszę ludzką, wtedy na wyżej postawione pytanie możemy odpowiedzieć zdecydowanie negatywnie”¹. A to był jeden z powodów, dla których wyiliśmy i skomiciśmy, chrzypeliśmy i ryczeliśmy, używając wszelkiego rodzaju tłumików poczynając od *wa-wa* aż po *in-hat*, a niektóre z nich po prostu wyrabialiśmy sami. Ale i wtedy protest był sprawą drugorzędną. Myśmy tę muzykę kochali, ten jazz będący w rzeczywistości swingiem, nawpół białym dzieckiem Chicago i Nowego Orleanu, przy którym nasi niegrający uczestnicy tańczyli w górskich wioskach, daleko od czujnej *Schutzpolizei*. A tańczenie było wówczas zabronione w Trzeciej Rzeszy, która nosiła żalobę po poległych w bitwie pod Stalingradem.

Objawienie jakiego doznaliśmy należy do tych, jakie zdarzają się tylko w młodości; zanim jeszcze duszy nie pokryje twarda skorupa zbyt wielkiej doświadczenia. W wyobraźni, zupełnie wyraźnie słyszę dźwięk saksofonu na starej, straszliwie porysowanej płytce firmy Brunswick, obracającej się na patafonte z korbką, z prawie niezwykłym napisem *I've Got a Guy, Chick Webb and His Orchestra with Vocal Chorus*. Dzik i słodko swingujące saksofony, lentwy i niezmany głos nieznannej śpiewaczki, który wprawiał nas w trans chociaż nie mieliśmy pojęcia, że jest to głos siedemnastoletniej wówczas Elli Fitzgerald. Ale przestanie jej głosu, wołanie saksofonów, krótkie, tkające i tżawe saksofonowe solo pomiędzy dwoma śpiewanymi chorusami, to wszystko do nas dotarło. A nie potrafiło zmusić do milczenia naszych serc.

Na przekór Hitlerowi i Goebbelsowi, słodka trucizna judeonegroidalnej muzyki – bo takim przymiotnikiem określali naziści jazz – nie tylko przetrwała, ale i zwyciężyła nawet na krótko w samym sercu piekła, w terezińskim getcie. *The Ghetto Swingers...* zaczęła się fotografia, amatorskie zdjęcie, zrobione za murami tego miasta, w tym krótkim tygodniu kiedy pozwolono im grać, aby mogli ich zobaczyć przedstawiciele szwedzkiego Czerwonego Krzyża, którzy musieli popatrzeć na potiomkinowską wioskę nazistów. Na tym zdjęciu są wszyscy, z wyjątkiem jednego skazanego na śmierć; w białych koszulach z czarnymi krawatami, a piston puzonu skierowany ukosem do nieba udaje, albo naprawdę przeżywa radość z rytmu, z muzyki a może odrobinę beznadziejnego poczucia ucieczki².

I w słynnym Buchenwaldzie istniał zespół swingowy, składający się w większości z czeskich i francuskich więźniów. A ponieważ czasy były nie tylko okrutne, lecz również absurdałne. Ludzie dostawali się za druty waršwie z powodu uprawiania tej muzyki. W obozie koncentracyjnym w pobliżu Wiener Neustadt siedział Gustaw Vicherek, gitarzysta, który śpiewał na wolności *chorus* Armstronga z *Tiger Rag*, a tym samym (według nazistowskiego sędziego) „sprofanował kulturę muzyczną”³. Gdzie indziej w Niemczech podobny los spotkał innych swingerów, a jakś niedługo goauleiter wydał nieprawdopodobny (czy naprawdę nieprawdopodobny w tym naszym świecie?) zbiór zasad obowiązujących wszystkie orkiestry taneczne znajdujące się w zasięgu jego władzy. Zgrzytając zębami czytałem je w dzienniku „Kurier filmowy”, a w 15 lat później sparisfrazowałem (przyпускаjąc, że wiernie, ponieważ wryły mi się w pamięć), w opowiadaniu pt. „Nie cofnę ani słowa”.

1. W repertuarze zespołów tanecznych i rozrywkowych utwory w rytmie foxtrota (tzw. swing) nie mogą przekraczać 20%.

2. W repertuarze tzw. jazzowego rodzaju pierwszeństwo winno być dawane utworom durowym przed molowym oraz tekstom głoszącym radość życia (*Kraft durch Freude*) przed tekstami żydowsko-ponurej literatury.

3. Również co do tempa należy na pierwszym miejscu wykonywać utwory szybkie a nie powolne, jak np. blues a tempo nie może przekraczać pewnego stopnia allegro zgodne z aryjskim poczuciem dyscypliny i umiaru. W żadnym wypadku nie należy zezwalać na negroidalne ekstrawagancje w tempie (tzw. hot-jazz) ani w utworach solowych (tzw. breaks).

4. Tzw. utwór jazzowy może zawierać najwyżej 10% synkop, na resztę winien się składać muzyczny ruch powiązany w sposób naturalny, bez historycznych rytmicznych przejęć charakterystycznych dla muzyki barbarzyńców, pobudzającej ciemne instynkty obce narodowi niemieckiemu (tzw. niffs).

5. Zabrania się surowo używaniu obcych duchowi niemieckiemu instrumentów np. tzw. cow bells, flex-a-tone, brushes itp.) jak również wszelkiego rodzaju tłumków, które szlachetny ton instrumentów dętych zamieniają w żydowsko-wolno-mularski wrzask (tzw. wa wa, hai hai).

6. Zabrania się wykonywania solo na perkusję (drum breaks) dłuższego niż 1/2 taktu w rytmie na cztery czwarte (z wyjątkiem stylizowanych marszów wojskowych).

7. W tzw. utworach jazzowych zezwala się jedynie na grę na kontrabasie ze

smyczkiem, natomiast gra ręką na strunach jest zabroniona; jest to ze szkodą dla instrumentów i aryjskiego poczucia muzyki. Jeśli ze względu na charakter utworu konieczne jest pizzicato, należy przy tym starać się aby struna nie plaskała o gryf instrumentu.

8. Wyzywające wstawanie w czasie solowego występu jest zakazane

9. Zakazują się również muzykom pokrzykiwania, czyli tzw. scat, w czasie wykonywania utworu.

10. Zaleca się wszystkim zespołom tanecznym i rozrywkowym ograniczanie używania saksofonów o różnym strojeniu a zastępowanie tychże wiolonczelami, altówkami lub odpowiednimi instrumentami ludowymi."

W chwili kiedy ten przedziwny dekalog pojawił się w moim opowiadaniu⁴ w pierwszym czeskosłowackim almanachu jazzowym w roku 1958, cenzorzy należący do zupełnie innej dyktatury zarekwirowali całą nakład. Drukarze uratowali tylko kilka egzemplarzy, z których jeden dostał się do rąk Miloša Formana, w owym czasie młodego absolwenta Akademii Filmowej, poszukującego materiału do swego pierwszego filmu. Po kilku latach pisania i kłótni z cenzurą nasz scenarzysta został oficjalnie zatwierdzony a następnie zakazany przez człowieka panującego wówczas w Czechosłowacji; człowiekiem tym był prezydent Antonín Novotný. W ten sposób skończył się nasz film, zanim jeszcze przystąpiliśmy do jego kręcenia. Dlaczego? Dlatego, że zakazy starego gauleitera zaczęły znów obowiązywać, tym razem w kraju zwycięskiego proletariatu.

Wtedy jednak, w czasach triumfującej swastyki, nie był to tylko jakiś osamotniony Niemiec w buchenwaldzkim swingbandzie, lub tylko kilku zamkniętych swingujących aryjczyków (czyste krewi) – słodka trucizna dosięgła o wiele bardziej pewnych przedstawicieli rasy penów. Mam ich stale w pamięci, w szarobielnych mundurach, przyjechali właśnie z Huiandii z aranżacją *Liza Likes Nobody* Jacka Bultermana. Wzamięniam za to dalszymi im naszą aranżację *Deep Purple*. Następnego dnia odlecieli do Aten, tam gdzie swingowali i kanzaskimi riffami, inne saksofony. Zupełnie jakbym ich widział przed sobą, tych niemieckich żołnierzy śledzących w cennym kącie gospody *Port Arthur* i nienasyconie wsłuchujących się w dźwięk bigbandu Miloslava Zachovnia reprezentującego ten drugi, o wiele lepszy zespół w moim rodzinnym Náchodzie. Bezskutecznie śniłem o tym, że stanę się choć raz jednym z zachovalowych swingersów, lecz niestety, zostałem uznany za zbyt mało zdolnego i skazany na grę ze straszonym *Red Music*.

Jacy byliśmy natwini, pełni miłości i podziwu. A ponieważ di Goebbels zdęcydował, że wyjąca judeonegroidalna muzyka wynaleziona przez amerykańskich kapitalistów nie może być grana w Trzeciej Rzeszy, wymyślaliśmy różne fałszywe tytuły dla legendarnych kompozycji tak, aby ludzie jednak mogli je usłyszeć. Grałszy szybkiego foxtrota - jeden z tych szalonych utworów nazwanych „Spłoszył się nasz byk”, który niczym nie różnił się od „Tiger Ragu”; grałmyśli słow zatytułowany „Wieczorna pieśń”, a nazistowscy cenzorzy na szczęście nigdy nie słyszeli murzyńskiego głosu śpiewającego *When the deep purple falls over sleepy garden walls...* A szczyt naszej bezczelności, „Pieśń o Rzeszotowej wsi”, w rzeczywistości *St Louis Blues* zabrzmiała pewnego nieszczęśliwego dnia w roku 1943 we wschodnich Czechach, śpiewana przez miejscową śpiewaczkę ze słowami, zreczonie skompono-

wanymi tak, aby pasowały do nowego tytułu sławnej kompozycji W.C. Händego: „Rzeszotowa wieś jest domem mym... Pójdę tam... do swych aryżczyków...” Mieliśmy szczęście, że miejscowi naziszi nigdy nie widzieli chaplinowskiego „Dyktatora” i nigdy w życiu nie słyszeli miejscowych tępaków piejących o „Ary-ary-aryżczykach”. Nawet my nie złążyliśmy tej piosenki. Nasza pieśń o rzeszotowej wsi była po prostu spontaniczną reakcją na rasizm.

Jak większość naszych utworów i ten był kompozycją pewnego pana podpisującego się Jiffi Patočka. Pomiedzy popularnymi kompozytorami tych czasów napróżno byście szukali tego nazwiska, było ono bowiem płodem naszej fantazji. Bogaty repertuar tego mitycznego gentlemana obejmował również kompozycje niczym nie różniącą się od *The Casa Loma Stomp*. Byliśmy tak nieświadomieni, że nie mieliśmy pojęcia, że w dalekim Toronto istnieje zamek noszący tę nazwę. Wierzyliśmy, że Casa Loma jest amerykańskim szefem orkiestry, jednym z tej wspaniałej grupy, która miała wśród siebie Jimmy Lunceforda, Chicka Webba, Andy Kirka, księcia Ellingtona (Ellington dostał się do stanu szlacheckiego dzięki czeskiej tłumaczce, która zetknęła się z jego nazwiskiem jedynie w powieści Levisa, doszła więc do przekonania, że musi należeć do zbiegłej brytyjskiej arystokracji zarabiając na życie jako kapelmistrz w Cutton Stubie (Counta Basie, Louis Armstronga, Tommy Dorsey, Benny Goodmana, Giena Miliera - możecie wyliczać ile chcecie, zaliśmy ich wszystkich. A przy tym nie wiedzieliśmy nic. Ilez do godzin straciliśmy łamiąc sobie głowy nad tytułami pieśni, których nie rozumieliśmy: *Stuttin' with Some Barbecue* -- definija w naszym kieszonkowym słowniku nie nie wyjaśniała. Co to może u licha znaczyć? „Uroczyście kroczycie z kawałkiem zwierzęcego trupa upieczonego w całości na roznie”? Nie wiedzieliśmy nic, ale muzykę zaliśmy. Dotatywała do nas głównie na falach eteru radia Sztokholm, ponieważ była to jedyna radiostacja nadająca jazz, której naziszi nie zagłuszali. Do szwedzkiego stylu należały cztery saksofony i jedna trąbka plus perkusja - oprócz bigbandowego swingu chyba pierwszy styl jazzowy, który poznaliśmy. I o dziwo, jeden film, również szwedzkiej proweniencji umknął uwadze, pomiedzy różnymi nazistowskimi propagandowymi filmami w rodzaju „Pandur Trencks” lub „Ohm Krugers” szkolnych dozorców czuwających nad czystością aryjskiej kultury. W tłumaczeniu tytuł tego filmu brzmiał „Cała szkoła tańczy”. Ale oryginalny tytuł podobał się nam bardziej chociaż nie zaliśmy szwedzkiego: *Swing it, magistern, swing it*. Było to naprawdę szczyt sztuki filmowej na terenie Trzeciej Rzeszy. Wszyscy byliśmy zakochani w swingującej szwedzkiej śpiewarce Alice Babs Nielsson, a to dowodzi, że chociaż w naszych wiadomościach pełno było luk, mieliśmy przynajmniej uszy dla jazzu. O wiele później dziewczyna ta nagrała kilka długogrających płyt z Ellingtonem. Ale ten film - widziałem go przynajmniej dziesięć razy. Jednej niedzieli spędziłem całe popołudnie i wieczór w kinie; obejrzałem seans dla dzieci, popołudniówkę, wieczorny seans, a było mi żal, że nie istnieje coś w rodzaju północnej uszy nazwanej *Swing it, magistern, swing it*.

Swing it, magistern, swing it stał się nieodłączną częścią repertuaru granego ku wielkiej radości swingowych *aficionados* na koncertach w odległych miasteczkach wschodnich Czech. Ale i pomiedzy naszymi czeskimi współczesnymi znaleźli się

wrogowie jazzu i swingu. Bardziej umiarkowani byli „sokołowie”, dla których dywan był obcą, nowoczesną deformacją jazzu. Ci ograniczali się tylko do wygwyżdwaniania nas na koncertach. Radykałowic, tzw. „polkowcy”, czyli zwolennicy polki, obchodzili się z nami znacznie gorzej. Rzucali na scenę ogryzki, zgniłe jajka i najrozmaitsze świństwa, tak że legendarne koncerty w legendarnych miejscowościach na końcu świata kończyły się często bójką pomiędzy swingowcami i polkowcami. W tej sytuacji zespół musiał spływać tylnymi drzwiami ratując instrumenty (w czasie wojny nie do zdobycia), uciekając przed sprawiedliwym gniewem zwolenników prawdziwej czeskiej muzyki – polki, której o zgrozo, najchętniej słuchali w wykonaniu harmonisty.

Ale nawet polkowcy nigdy nie odważyli się rzucić zgniłych jajek na naszą Elę. Ponieważ mieliśmy własną boginię, królową swingu, dziewczynę z rytmem w krwi, naszą własną Elię. Naturalnie, była biała, nazywała się Inka Zemankowa. Wstawiła się tym, że śpiewała po czesku z amerykańskim akcentem, włącznie z teksaskimi nosówkami, które są tak obce czeskiemu językowi. Mój Boże, jak myślimy uwielbiali to bezczeszczenie naszego miłego języka, czuliśmy bowiem, że wszystkie języki są jakby martwe o ile się ich przynajmniej trochę nie zdeformuje. Główną piosenką z repertuaru Inki był wolny swing pt. „Lubię śpiewać hot”. Nie była to kompozycja tajemniczego pana Patočki, ale oryginalny czeski utwór. Tekst mówi o swingującej dziewczynie, wędrującej po Broadwayu podczas gdy Hatiem w oddali synkopuje melodie. Pieśń zawierała również kilka taktów skatu a kończyła się oświadczeniem śpiewaczki, że „śpiewa sobie hot”. To ostatnie słowo wzbudziło czujność mienieckich cenzorów, a na ich rozkaz musiała Inka zastąpić je innym jednozłabowym słowem „z nut”; była to cudownie absurdalna poprawka, bo chociaż rymowało się z „hot” oznaczało zupełnie coś odwrotnego niż śpiewanie „hot”.

Daleko od Hatiemu, od Chicago, od Nowego Orleanu nie poinformowani i niewinni służyli bóstwu, które naprawdę nie zna granic. W Pradze istniała grupka wydająca podziemne pismo nazywające się O.K. (nie był to skrót od „ol korekt”, ale „krążąca korespondencja”). Ta podziemna publikacja (naprawdę podziemna, za jej posiadanie groził obóz), wystukiwana na maszynie chyba w dwudziestu małych czytelnych kopiach, była jedynym źródłem naszych prawdziwych informacji. Na terenie Protektoratu rozwoziły to pismo czarujące „krystynki”, podlotki tamtych czasów. Widzę je przed sobą, jak w spódnicach do kołan tańczą, czyli „nurkują”, w gospodach po głuchych wsiach, w których jeden z *aficionados* stał zawsze na straży przed wejściem, ostrzegając przed niemiecką policją. A kiedy zbliżał się jakichś *schupo*, strażnik dawał sygnał, a „krystynki” i „bazańci” zasiadali wokół stołów ze szklankami delonej lemonady pobożnie wsłuchani w wiedeńskie walczyki, na które natychmiast przestawiała się orkiestra. Kiedy niebezpieczeństwo mijało, wszyscy wyskakowali, eksploдовали rify, a w gospodzie znów królował swing.

Potem wielka wojna się skończyła. W tym samym kinie, w którym kiedyś siedziałem przez trzy seanse pod rząd na filmie *Swing it, magister, swing it*, siedziałem teraz przez trzy seanse patrząc na nędzną kopię „Słonecznej serenady”, z rosyjskim napisem. Hollywoodzka treść mnie nie interesowała, ale hipnotyzo-

zował mnie Glen Miller. Kopia filmu dostała się do mojego rodzinnego miasteczka wraz z Armią Czerwoną, zniszczona częstym wyświetlaniem na froncie; uszkodzony dźwiękowy zapis dodawał (wyliczone już przez Goebbelsa), okropności do *In the Mood* i do *Chattanooga Choo Choo*. Ale pomimo tych straszliwych młatem cudowne uczucie, że nadszedł nadchodzi złoty wiek jazzu.

Pomyłka. Wystarczyły trzy lata a jazz znów był w podziemiu. Nowi, mali Goebbelowie zaczęli działać na polu, które stary diabeł im uwolnił. Obecnie byli zaopatrzeni w sowieckie biblie, a przede wszystkim faszyzującą „Muzykę nędzy duchowej” jakiegoś W.Gorodńskiego i „Dojarową kakofonię” i Nestewa. Słownik tych inkwizytorów niewiele się różnił od słownika kulawego doktora z tym, że byli jeszcze bardziej - o ile to w ogóle było możliwe - dumni ze swej ignorancji. Jazz i jazzem inspirowaną muzykę charakteryzowali za pomocą bogatego repertuaru hańbiących przymiotników typu „zwyródniały”, „idekadenci”, „podły”, „kłamliwy” itd. Porównywali naszą muzykę do gardłowego skomlenia wielbłądziego, do małpiej czkawki, a chociaż według nich jazz był muzyką ludożerców, to jednocześnie wynaleźli ją kapitaliści po to, aby ogłuszyć uszy zmasakrowanego świata ryczącymi epileptycznymi utworami⁵. Niestety, ci orwellowscy mistrzowie szybko znaleźli w Czechach wielu uczniów, którzy - jak to już u uczniów bywa - szli jeszcze dalej, głosząc krzykliwe, że celem jazzu jest zniszczenie muzyki ludowej, wymazanie jej z duszy naszego ludu. A wreszcie ci agresywni teoretycy zorganizowali koncert „wzorowego” jazzu złożonego z kompozycji stworzonych na zamówienie Wydziału Kultury. Był to straszliwy koszmarny. Karel Vlach, największy z czeskich pionierów swingu siedział w pierwszym rzędzie, naprzemian błądł i czerwieniał. a w dachu prawdopodobnie powtórzył modlitwę do Siana Kentona! Obok niego siedzieli święta trójka sowieckich doradców z Aramem Chaczaturjanem na czele (właśnie z nim, kolegą Prokofiewa i Szostakowicza), pograżona w ponurym milczeniu, a obok nich zdziadziały kierownik zespołu chorałowego postępujący się słuchawkami. Ale nawet to wyjątkowo muzyczne straszliwo nie zadowoliło sowieckich ekspertów. Krytykowali skład instrumentalny, charakteryzując wykonaną muzykę jako „muzykę ginącej klasy”. Na koniec wstał stary dyrygent: „Weźmy na przykład trąbkę - praw! Taki optymistyczny instrument! A co z nim zrobili ci dżezziści? Pełną coś tam, a człowiekowi pękają uszy od tych ryków, jak z dżungli!”

Vlach nie wytrzymał, i rzucił kilka bluźnierczych uwag typu: „jest mi nie dacie nic lepszego od Siana Kentona, będę nadal grać Kentona”. A chyba naprawdę grał go w tym cyрку, do którego wraz z całą orkiestrą posłali go w niedługim czasie. Partia ogłosiła powstanie „oficjalnej”, wzorowej orkiestry jazzowej, a w młodzieżowych zespołach muzycznych starano się gorliwie zastępować zwyródniałe brzmienie (czyli burżuazyjne) saksofony niezwyrodniałymi (czyli proletariackimi), wiolonczelami - zapominając przy tym, że potrzeba co najmniej pięciu lat zanim się człowiek jako tako nauczy grać na wiolonczeli podczas gdy utalentowany młody człowiek opanuje jako tako saksofon już po miesiącu, a przy tym chce grać, grać, grać! Ale ideologiczny sposób myślenia wędruje drogami dalekimi od normalnej rzeczywistości. Znamast Kentona wmawiał w nas Paula Robesonu. Jak straszliwie nienawidziłeś tego czarnego apostoła, który z własnej i nieprzymuszanej

woli śpiewał w Pradze na koncertach pod gołym niebem w czasie kiedy wciągali na szubienicę Mladę Horákovą, jedyną kobietę, którą kiedykolwiek Czesi w Czechostowacji stracili za politykę, a wielcy czescy poeci (za jakiegoś 10 lat wszyscy zrehabilitowani) cierpieli w więzieniach. Możliwe, że byliśmy w stosunku do Paula Robesona niesprawiedliwi. Bez wątplenia działał w dobrej wierze sądząc, że walczy o dobrą sprawę. Ale nam go stale stawiali za wzór jako „postępowego jazzmana”, a myśmy go nienawidzili. Boże bądź miłościw jego niewinnej (miejmy nadzieję) -- duszy.

Biskupi stalinowskiego obskurantyzmu, którym udało się wykląć „muzykę tuzożerców”, spotkali się w latach pięćdziesiątych z jeszcze jednym problemem, który nosił nazwę dixieland. Rodzaj kanibalskiej muzyki z korzeniami zdecydowanie ludowymi, a w wielu wypadkach jednoznacznie proletariackimi (blues), tak że nawet najbardziej orwelowski faszystowski młody człowiek pełne ręce roboty chce to wszystko zakłamać. Najbardziej poinformowani znali poszczególne nagrania dixielandu już w czasie wojny, a po wojnie miała grupka młodych ludzi usłyszeć dixieland Grahama Bella na Festiwalu Młodzieży w Pradze. A ci młodzi ludzie założyli *Czechoslovak Dixieland Band*, a w ślad za nimi rozsypany wórek z nazwami pachnącymi Louisianą: *Czechoslovak Washboard Beaters*, *Prague City Stompers*, *Memphis Dixie* i cały szereg innych. Muzyka wuja Toma stała się jedyną formą jazzu tolerowaną na smutnych zgromadzeniach zwanych młodzieżową estradą, w ramach której wielkomięskie dziewczyny poprzebierane w pseudoludowe stroje występowały (w stylu góralskim) ody na cześć Stalina.

Z zespołem *Czechoslovak Dixieland Band* apostoł dixielandu Emanuël Uggé zorganizował cały szereg występów w terenie. W zagubionych miasteczkach północnowschodnich Czech znów dzięki nim słyszało się głośnie synkopy ujęte w rany nudnych, pseudouczonych komentarzy, w których Doctor Angelicus dixielandu interpretował, specjalnie dla uszu policyjnych szpiegów, najbardziej trywialny i podejrzany utwór z okrzyczanej chicagowskiej tancbudry jako Cierpienia Czarnego Ludu, który oczekuje z utęsknieniem jedynie na towarzysza Stalina i jego obozy wychowawcze posyłające swych wychowanków na tamten świat.

Okazało się jednak, że jeżdżenie z występami dixielandu jest przedsięwzięciem nie całkiem pewnym. Z jednej strony jazz zostawił ślady w świadomości słuchaczy, a z drugiej muzykę, na którą bardziej wyształceni i dlatego mniej ortodoksyjni dozorczy w Pradze rezwalali jako na: „rodzaj murzyńskiego folkloru”; tzw. „zdrowe trzony” tereņu „demaskowały” odkrywając jej prawdziwe oblicze. Dla nich była to – cytujemy list Powiatowej Rady Narodowej w Hranicach do organizatorów występów dla Rady Zekładowej Hranickiej Cementowni – „próbą przeszarcowania zachodniego dekadentyzmu do myśli naszych robotników... Poziom muzyczny zespół jest taki, że nie wniósł nic pod kątem socjalistycznego realizmu, a, przeciwnie, wolne improwizacje, które ten zespół szczególnie uprawia wnoszą muzyczną pornografię... W 80% zespół gra kosmopolityczną zachodnią muzykę o ekstrawaganckim charakterze, która zadziałała na obecnych na sali żołnierzy tak, że jeden z nich wbiegł na estradę i zaczął stepować. Po zwróceniu uwagi przez przedstawicieli organizacji młodzieżowej zespół zareagował tak, że zagrał szlagier „Szkoła miłości” oraz „Chatki pod górami”, ale pozostałą część wieczoru poświę-

cono znów zachodniej muzyce. Po przeprowadzeniu urzędowego śledztwa stwierdzono, że zespół ten nie wkłósł nic nowego od strony kulturalnej, a przeciwnie, pozostawił plamę na działalności Związku Czeskiej Młodzieży Socjalistycznej w Hranicach...; a chociaż zespół ten występuje pod szyldem tej organizacji to jednak ani jeden z członków nie należy do związku młodzieży. Stwierdzono urzędowo, że szczególnie występów odbywające się w restauracji „Skrzydło” gromadziły młodzież należącą do miejscowej burżuazji; jednocześnie wzrosła ilość moralnych przestępstw, a szczególnie wzmogła się prostytucja.¹⁶

O zgrozo! Żołnierz czechosłowackiej armii ludowej stepujący przy dźwiękach jakiegoś kawałka Nicca La Rocco! Po wielu latach przypomniałem sobie tego „zhanemizowanego” żołnierzyka, kiedy w artykule Wasilija Aksjonowa (autor epokowej powieści pt. „Bilet dziurkowany gwiazdami”. Ale któż o niej wie na Zachodzie? A kto wie, czy liberalizujące oddziaływanie na współczesną prozę rosyjską tej powieści, napisanej slangiem moskiewskiej młodzieży, nie było większe od „Doktora Żiwago”) przeczytałem o błędnym, który w ostatnich latach ery Stalina isniał gdzieś na Syberii i grał *St Louis Blues, When the Saints..., Riverside Blues*. Jeszcze jeden rozdział legendy o apostołach, którzy często stawali się męczennikami.

Również Inka, nasza uwielbiana królowa swingu, stała się męczennicą. Po wojnie przestała występować, poświęcając się całkowicie studium śpiewu. Po pięciu latach doszła do wniosku, że nadszedł czas na „come back”. Agencja organizująca koncerty zaangażowała ją na popołudniowy niedzielny koncert w wielkiej praskiej sali „Lucerna”. Zaśpiewała jedną piosenkę tuż przed przerwą, a po niej miała wystąpić z drugą. Była to stara swingowa piosenka, Ince zostało stare poczucie rytmu, ale jej możliwości głosowe podwoiły się w ciągu tych lat. Po wykonaniu utworu została nagrodzona burzą oklasków, zaśpiewała więc jeszcze raz, tym razem jednak cicho jeden chorus. Brawa nie miały końca. „Kiedy zataczając się dotarłam za kulisy – opowiadała mi po latach – pomyślałam sobie: Udało ci się! Ale stał tam taki typ, wie Pan, taki w niebieskiej koszuli, wydaje mi się, że nazywali siebie „Niebieska straż”, czy coś w tym rodzaju. Chumny jak noc zaczął na mnie krzyczeć, że mam zejść mu z oczu, poprostu wynosić się. Taka prowokacja – krzyczał. Ręczę za to, że publicznie już pani ani nie piśnie! I rzeczywiście. Nawet mi nie pozwolono zaśpiewać drugiej piosenki po przewie.”¹⁷ – W tym momencie przypomniałem sobie Vichera i jego chór w „Tiger-Lagu” podczas okupacji.

Jednak czas przyniósł wydarzenia, które zachwiały nieograniczoną władzą zdrowych trzonów i młodzieżowych szturmowców w niebieskich koszulach; obojętnie również przestały ich muzyczne teorie. Zaczęliśmy więc zastanawiać się w jaki sposób uzyskać pozwolenie na występy *Czechoslovak Dixieland Band* w Pradze. Nieoczekiwana pomoc nadeszła z USA. Amerykański basista Herbert Ward zwrócił się do Czechosłowacji o azyl polityczny, a tym czynnikiem jak to oznajmiła nasza partyjna prasa – „zadał nowy poważny cios amerykańskim imperialistom”. W artykule twierdziło się ponadto, że Ward grywał z Armstrongiem. Natychmiast z Ludkiem Svabem, gitarzystą *Praskiego Dixielandu* (bo taką nazwę teraz nosiliśmy) – odszukaliśmy Warda w praskim hotelu „Gryf” na Winogradach i przekonaliśmy go, aby przyjął na siebie rolę, o której prawdziwym znaczeniu nie

miął zielonego pojęcia, a którą w staltnowskim slangu nazywało się protektorem lub patronatem. Faktycznie wykorzystaliśmy go bez litości. Jak najszybciej zorganizowaliśmy koncert jazzowy pod nazwą „Naprawdę blues” (tytuł ukradziony z Mezzrowa), a w programie wydrukowaliśmy super-antyan amerykańską proklamację Herberta. *Praski Dixieland* akompaniował Wardowi przy wykonaniu jego własnego bluesa na temat tego, jak to 'jest, kiedy się ma stałe za plecami policyjnych szpicliów (szczególnie pikantny blues w państwie, w którym każdy bardzo dobrze o tym wie). Żonę Herba, sex-bombę Jacqueline, oddaliśmy w oryginalną suknię „robe-sac” wypożyczoną od pewnej praskiej dany, która w młodości używała sobie w Paryżu, i z wielką satysfakcją obserwowaliśmy jak na scenie Czerwonego Domu na Porici tańczy się ekscentrycznego i dekadentckiego charlestona. A ponieważ straszliwie wyrzeszczany blues Warda miał antyan amerykański tekst, a skóra Jacqueline nie była tak zupełnie biała, czyniuki nie ośmielili się protestować, a my odnieśliśmy kolosalny sukces. „Naprawdę blues” jednak zakończył swą karierę, i to z przyczyn o charakterze czysto amerykańskim: Herb i Jacqueline chcieli więcej pieniędzy, a producent skrępowany normami nie był w stanie spełnić ich życzeń i w ten sposób nasza *revue* przedwcześnie zgasła. Po latach Herbert i Jacqueline udali się w podróż, którą odbyło już wielu amerykańskich emigrantów: do domu, do Stanów, tam gdzie słowa amerykańskiego pisarza „do domu nie możesz wrócić” nie obowiązują. Ale obowiązują w innych krajach, które wysyłają swoich własnych pisarzy na wygnanie, do obozów, a nawet i na śmierć.

„Naprawdę blues” był końcem początku. Jazz powoli zaczął przypominać Mississipi z licznymi źródłami i dopływami. Partia znalazła sobie inne obiekty ataków: Elvise Presleya, małe rock'n' rollowe grupy z elektrycznymi gitarami domowego wyrobu, nowe ślękie nazwy kojarzące się z oddalonymi miejscami — *Hell's Devils*, *Backside Slappers*, *Rocking Horses* — nowe okrzyki z podziemi. W końcu lat pięćdziesiątych arosztowano grupę młodych ludzi, ponieważ w wynajętej sali w Manesie przysłuchiwali się nagranej na taśmę amerykańskiej dekadentkiej muzyce oraz oddawali się ekscentrycznemu tańczeniu rock'n rolla. Niektórzy z nich następnie zostali skazani a w czasie ich procesu unosił się nad nimi duch Vicherka.

A ponieważ całe masy młodych ludzi zaczęły naśladować różne gwiazdy, jazz — (czy to eksperymentalny czy „mainstreamowy”) przestał być uważany za niebezpieczny, tak że lata sześćdziesiąte stały się latami Międzynarodowych Festiwa-
li Jazzowych organizowanych pod patronatem rządowym. W wielkiej sali „Lucerna” słychać było muzykę Dona Cherry, Modern Jazz Quartetu, Teda Corsona... Okłaskiwaliśmy ich, chociaż w większości nie była to muzyka, którą znaliśmy i kochali. Byliśmy jak starzy wierni weterani. Szeroki, miodowy dźwięk saksofonu gdzieś się zagubił. Albo była to muzyka ezoteryczna, albo myślny się postarzeli. Jazz to nie tylko muzyka. To miłość młodych lat, która zostaje na zawsze, wszczepiona do duszy, niezmienna, podczas gdy żywa muzyka zmienia się; te wечно wołające „saksofony Luncelforda”...

Wtedy właśnie napisałem „Saksofon basowy”. Pisałem o wierności, o jedyniej prawdziwej sztuce, oprócz której nie ma już nic, o tym czemu człowiek powinien pozostać wiernym aż do śmierci, o tym co trzeba robić aż do samozniszczenia

nawet gdyby to miała być tylko mała cząstka tej sztuki i obiekt różnorodnych nagrań. Dla mnie literatura była zawsze grą na saksofonie, śpiewem o młodości, chociaż ta młodość jest nieodwracalnie poza nami, śpiewem o ojczyźnie, kiedy schizofrenia naszych czasów zagnała człowieka aż za ocean, do kraju – który chociaż przyjazny i gościnny – nigdy nie stanie się w pełni krajem jego serca, ponieważ do jego brzegów przytłynał zbyt późno.

Kiedy pojawiły się stalowe rumaki sowieckie, odjechałem.

Jazz ciągle wiezie niepewną egzystencję w samym sercu europejskiego politycznego szaleństwa, choć pole bitwy przesunęło się już gdzieś na wschód. Ale ciągle jest to ta sama stara, znana historia: nad wschodnią Europą krąży widmo rocku, przeciwko któremu połączyły się wszystkie możliwe mocarstwa starego świata – Breżniew i Husak, wschodniemieccy obskurałci i czescy szpicle. Nowe, ważne słowa wychynęły z podziemi podobne do starych „krystynek” i „bażantów” z ery nazistowskiej; teraz są „Manički” (określenie młodych z długimi włosami), „andraši” (słowo zrodzone z czeskiego wymawiania amerykańskiego „underground”) – dla oznaczenia *aficionados* rocku obojga płci. Anonimowi organizatorzy organizują Woodstocki w tych samych zagubionych miasteczkach wschodnich Czech, spotkania często brutalnie rozgrywane przez policję, kończące się aresztowaniami, przesłuchiwaniem, prześladowaniem; sama radość życia w policyjnym państwie.

A legenda żyje dalej... szereg nazw. *The Ghetto Swingers*, bezimienny band z Buchenwaldu, bigband stalinowskiej Syberii, nieznanymi postawami jazzu w hitlerowskich mundurach krążący po Europie ze swoimi aranżacjami. *The Leningrad Seven* – anonimowi *aficionados*, którzy w Moskwie lat sześćdziesiątych przetłumaczyli dla rosyjskiego samizdatu z czeskiego tłumaczenia oryginalnych amerykańskich materiałów teoretyczną antologię pt. „Twarz jazzu”. A inni spiskowcy i inne grupy, jeszcze może bardziej tajemnicze, wygrywają – kto wie – może w Chinach Mao-tse-tunga. Do nich trzeba dołączyć *Plastic People of Universe* i DG 307, dwie podziemne grupy muzyków rockowych i awangardowych poetów. Ich przedstawiciele, w chwili kiedy to piszę, zostali skazani w Pradze na więzienie za „organizowanie publicznych awantur”. Ten odrażający słownik piekła, słownik Goebbelsa, słownik morderców.

Moja historia chyli się ku końcowi: „*Das Spiel ist ganz und gar verloren. Und dennoch wird es weitergehen...*”⁶. Stara muzyka umiera, ale ma tyle siły, zdolnych do życia odgałęzień, które oczywiście będą starali się zniszczyć. Odszedł Duke, odszedł Satchmo, Count Basie ledwo przeżył zawał serca, Little Jimmy Rushing odszedł drogą wszystkich cię...

„... anybody asks you
who it was sang this song,
tell them it was...
he's been here, and's gone.”⁷

To jest epitafium małego *Five-by-Five*. Takiego epitafium życzyłbym sobie dla swych książek.

Toronto, 1977

Tłumaczyła z czeskiego Elżbieta Lederer

PRZYPISY

- ¹ Týden rozhlasu (Tydzień radia). Praha, 7 marca 1942.
- ² Tylko jeden z zespołu *The Ghetto Swingers*, Erik Vogel, przeżył Terezin.
- ³ L. Džruška, I. Poledňák. Československý jazz (Czechosłowacki jazz). Praha 1967.
- ⁴ „Nie cofnę słowa” (Słowo nevezmu zpět) ukazało się w rezultacie w roku 1966 pod tytułem „Eine kleine jazz-musik” w zbiorze „Świecznik siedmioramienny”. Szczegóły dotyczące intryg związanych z opowiadaniem „Eine kleine Jazz-musik” znajdzie czytelnik w mojej książce pot. „All the Bright Young Men and Women”, Peter Martin Associates. Toronto 1971.
- ⁵ Przegląd muzyczny (Hudební rozhledy) III nr 17, 1950–51, str. 23.
- ⁶ I. Džruška, I. Poledňák, op. cit. poz. 102.
- ⁷ A propos: młodzieżowice, którego improwizacja Iraki tak bardzo rozwścieczyła, znajduje się obecnie w Szwajcarii jako emigrant polityczny.
- ⁸ „Gra jest całkowicie przegrana. A pomimo to będzie się grać dalej. – Urywek z wiersza Erica Kästnera.
- ⁹ ... kiedy was ktoś zapyta kim był ten, który śpiewał tę piosenkę, powiedzcie mu: Był to trafiał Jimmy Rushing, był tu, a już go nie ma.
– Strofa z bluesa Jimmy Rushinga, Counta Basie i Lestera Younga „Baby Don't Tell On Me”.

25 LAT 25 LAT 25 LAT 25 LAT 25 LAT 25 LAT 25 LAT 25 LAT 25 LAT

KSIĄŻKI

nowe, wyczerpane i antykwaryczne

Księgarnia Polska

E Neustein POBox 29443 Tel Aviv Israel

Kupujemy dublety biblioteczne, książki rzadkie
i zbiory biblioteczne w jęz. polskim i rosyjskim

Na życzenie wysyłamy katalogi

25 LAT 25 LAT 25 LAT 25 LAT 25 LAT 25 LAT 25 LAT 25 LAT 25 LAT

Jerzy Horzelski

DWA OBLICZA RZECZYWISTOŚCI

Wyraźna granica między utworem beletrystycznym, rozprawą naukową, a pracą popularyzatorską może zacierać się w dziedzinie wiedzy historycznej, czy przyrodniczej tego rodzaju, dla którego w języku polskim nie mamy jeszcze bliższego określenia, a który amerykański termin nazywa „life sciences”. We wszystkich innych dziedzinach wiedzy, nie wyłączając filozofii, tylko „zawodowy” naukowiec — to jest człowiek, który odbył „terminatorstwo” w zakładzie uniwersyteckim u akademickich fachowców i opanował metody oraz technikę badań naukowych w danej dziedzinie — może spodziewać się, że dyskutowane przez niego teorie, czy konstruowane hipotezy, będą traktowane poważnie. Każdy inny, to jest naukowiec-amator, może najwyżej spotykać się z pobłażliwością, jeśli odważy się wykroczyć poza zakres popularyzacji, nawet gdyby był fachowcem uczonym w innej gałęzi wiedzy lub techniki, albo zawodowym praktykiem w dziedzinie sztuki lekarskiej czy prawniczej, a tym bardziej jeżeli jest tylko literatem lub dziennikarzem.

Dlatego tak trudno scharakteryzować twórczość Artura Koestlera, która obejmuje zarówno utwory powieściowe, jak popularyzatorskie, oraz prace traktowane przez niego jako teorie naukowe. Wszystkie one — z nielicznymi wyjątkami — niezależnie od formalnego tematu i podejścia, rozwijają ten sam zasadniczy wątek treściowy, który gdyby należało określić jednym zdaniem, powiedzielibyśmy że obejmuje zagadnienia genetycznych cech psychologii człowieka kształtujących jego społeczną rzeczywistość i wyznaczających jego przeznaczenie.

Trzeba zresztą dodać, że termin „rzeczywistość” jest tu użyty w znaczeniu poszerzonym, a raczej uzupełnionym wszystkimi pierwiastkami semantycznymi z jakich się wywodzi. Tak więc znaczenie tego terminu obejmuje „rzecz — przedmiot” tak samo jak „rzekać — mówić, rozumować, sądzić”. Wszystkie te znaczenia zawarte są w rzeczywistości do której odnoszą się motywy przewodnie twórczości Koestlera.

Zainteresowania Koestlera, a przede wszystkim podejście z jakim przystępuje do ich definiowania i formułowania wynikających stąd zagadnień, jak również sposób ich rozwiązywania, są w jakiejś mierze funkcjonalnie uzależnione od wa-

runków w których rozwijała się jego osobowość. I odwrotnie; procesy rozwojowe jego osobowości wywierały pewien wpływ na wydarzenia w środowisku społecznym, w którym żył i które, oczywista, znalazły wyraz w jego działalności pisarskiej.

Urodzony w Budapeszcie, w okresie kiedy był on drugim co do znaczenia miastem w Imperium Austro-Węgier, większą część dzieciństwa spędził w Wiedniu, gdzie okres szkolny przeżył w czasie Wielkiej Wojny i rozpadu Imperium. Inmatrykutował się w uniwersytecie wiedeńskim w dniu kiedy Węgry, jako niezależne już państwo, zostały przyjęte do Ligi Narodów w Genewie (1922 rok). W tym okresie burzliwych procesów politycznych w Europie i na Bliskim Wschodzie, Wiedeń który z wielkiej metropolii został zdegradowany do rangi stolicy małego państwa, drobnej części dawnych Austro-Węgier, równocześnie był jedną z najważniejszych stolic intelektualnych Europy i pepinięią niezwyklej grupy geniuszów i talentów. W tym wyjątkowym klimacie intelektualnym, w którym pracowali i tworzyli przedstawiciele starszego pokolenia i gdzie kształtowały się i dojrzewały nowe talenty, znajdowali się i promieniowali równocześnie tacy wspaniali uczeni jak Bühler (twórca ruchu, który rozwinął się w szkołę Gestalt-Psychologie; Adler i Freud, założyciele dwóch rywalizujących kierunków psychoterapii; fizycy tego kalibru i znaczenia jak Mach, Oswald, Boltzmann, Einstein i Schrödinger; przyrodnicy i filozofowie, jak Polanyi, Lorenz, Gomperz (ojciec i syn), Wittgenstein, Carnap, Arndt, Popper, Schlick, Gödel i Tarski, aby wymienić tylko najgłośniejsze nazwiska o międzynarodowej sławie. W zakresie muzyki ferment intelektualny tworzyli Strauss (Ryszard), Mahler, Schönberg, Berg i Webern, a w literaturze pięknej wybijali się Musil, Hofmannsthal, Rilke, Schnitzler, Zweig (Stefan), Kafka i Werfel. Istotnie, w żadnym ośrodku kulturalnym świata nie można by w jednym okresie czasu znaleźć podobnego skupiska talentów tej miary. Ich rozproszenie przez hitlerowskich barbarzyńców wzbogaciło intelektualnie i kulturalnie każdy z krajów, który udzielił gościny tym uchodźcom. Do dziś wielu z nich i ich uczniów stanowi ozdobę licznych uniwersytetów w Europie i Ameryce.

W okresie drugiego roku studiów uniwersyteckich, połączonych z intensywną działalnością w grupach społeczno-dyskusyjnych, Koestler uległ wpływowi radykalnych prądów socjalistycznych i przyłączył się do grupy Żabotyńskiego, niegdyś pisarza rosyjskiego, a wówczas gorliwego sjonisty-marksisty, i wraz z tą grupą wyjechał do Palestyny, oderwanej już od byłego Imperium Otomańskiego i decyzją Ligi Narodów oddanej pod mandat Anglii. Tu uczestniczył w procesach kształtowania się ośrodków i ruchów, które miały stać się, z jednej strony zarodkiem kolektywistycznej gospodarki rolnej w postaci kibuców, a z drugiej, inspiracją przyszłych izraelskich grup terrorystycznych. W okresie pobytu w Palestynie rozwinęła się praktyka i zainteresowania dziennikarskie Koestlera, a jednocześnie zacieśniły się jego związki z ruchem marksistowskim, tak że po powrocie do Europy w 1931 r. był już członkiem partii komunistycznej. W połączeniu z jego talentem dziennikarskim, już w następnym roku uczyniło go to redaktorem działu zagranicznego w berlińskim dzienniku *B.Z. am Mittag*, oraz podróżującym korespondentem politycznym i społecznym z wyraźną predylekcją do problematyki naukowej. Zaczął się dla niego okres intensywnych podróży dziennikarskich po różnych krajach, nie wyłączając Arktyki (balonem), oraz szczegółowego zwiedzania Rosji

bolszewickiej w okresie nasilenia stałnowskiego terronu i katastrofalnogo głodu na Ukrainie. Może właśnie ten okrutny obraz zasiał w jego podświadomości pierwsze ziarna zwątpienia w racje i wartości ustroju komunistycznego, ale wciąż jeszcze nie przedostały się one do świadomości, jak sam to stwierdza w swych późniejszych wspomnieniach. Rozwija w nich psychologiczną teorię stanu zaślepienia jaki charakteryzuje „wierzących wyznawców” jakiegokolwiek z doktrynalnych systemów ideologicznych. Stają się oni przez to niezdolni do rozurnienia i widzenia otaczającej ich rzeczywistości inaczej niż przez kolorowe okulary doktryny.

Kulminacyjnym okresem jego działalności dziennikarskiej była praca korespondenta wojennego w czasie hiszpańskiej wojny domowej, gdzie jako przedstawiciel paru pism niemieckich, oraz angielskiej *News Chronicle* był po stronie republikanów akredytowanym korespondentem przy sztabie „międzynarodowej brygady” gdzie byli też instruktorzy i „ochotnicy” z Rosji sowieckiej.

Wraz z oddziałem bojowym, któremu towarzyszył w akcji, Koestler dostał się do niewoli, schwytany przez falangistów i doraźnie skazany na śmierć jako cudzoziemski intruz i komunistyczny szpieg. Dzięki energicznej interwencji dziennikarzy i władz angielskich uniknął egzekucji i po wypuszczeniu z „cell śmierci” wyjechał do Francji. Tu porzucił dziennikarstwo, zerwał z komunizmem i rozpoczęła działalność literacką.

Druga z jego powieści *Ciemność w południe* (poprzedzająca ją o rok pierwsza powieść nosi tytuł *Gładiatorzy*) stała się w r. 1940 jedną z najgłośniejszych i najszerszej czytanych psychologicznych analiz osobowości człowieka uwikłanego w tryby partyjnych komunistycznych „czystek” i procesów politycznych w Moskwie, oraz wnikliwych opisów degeneracji rewolucji rosyjskiej. Tłumaczona na wiele języków, powieść ta utrwaliła sławę i karierę pisarską Koestlera.

Gdy Francja przystąpiła do wojny, władze francuskie internowały Koestlera jako „uciążliwego cudzoziemca”. Udało mu się jedniak uciec przed wejściem wojsk hitlerowskich i przedostać się do Anglii, gdzie wziął udział w wojnie w szeregach armii angielskiej. Po otrzymaniu obywatelstwa brytyjskiego Koestler osiedlił się w Anglii i podjął intensywną działalność literacką pisząc od tej chwili wyłącznie po angielsku. W krótkim okresie paru lat wydaje kolejno trzy dalsze powieści (*Arrival and Departure*, *Thieves in the Night*, oraz *The Age of Longing*), cztery tomy wspomnień autobiograficznych (*Dialogue with Death*, *Scum of the Earth*, *Arrow in the Blue* i *The Invisible Writing*), oraz sześć tomów esejów (*The Yogi and the Comisar*, *Insight and Outlook*, *Promise and Fulfilment*, *The Trail of the Dinosaur*, *Reflections on Hanging*, oraz *The Lotus and the Robot*), nie wspominając o okazjonalnych artykułach i współdziałaniu w pracach zbiorowych.

W pięćdziesiątym roku życia Koestler zajął się niemal wyłącznie tematyką naukową (czy, ściślej mówiąc, jednym obszernym tematem). W latach 1955–58 opracowuje obszerny, z górą 600-stronicowy tom *The Scapewalkers* („Lunacy”) opatrzonego podtytułem: *Dzieje przemian wizji wszechświata*. Przedstawione są tu kolejno w szkieletowym zarysie dzieje rozwoju pojęć kosmologicznych od filozofów starożytności – pitagorejczyków, Heraklita, Arystotelesa i Ptolemeusza – oraz wczesnego średniowiecza w Europie. Pojem następuje omówienie dziejów Kopernika i jego systemu słonecznego, dzieje Keplera i jego znaczenie naukowe, wreszcie tom kończy

krótki zarys systemu Newtona. Temat traktowany jest nie jako historia astronomii, lecz kosmologii, oraz ujęty jest od strony zagadnienia „psychologicznego procesu odkryć jako najwęższej manifestacji twórczych zdolności człowieka”. Równocześnie ukazuje się tu paradoksalna cecha tego procesu, którą samych twórców rewolucyjnych odkryć naukowych oślepia podświadomym przywiązaniem do przesądów – „złudnych opinii” jak je nazywał Platon – filozoficznych, metafizycznych, a nawet politycznych uprzedzeń i stronniczości. „Dzieje teorii kosmologicznych”, píše Koestler w przedmowie, „można bez przesady nazwać dziejami zbiorowej obsesji i schizofrenii. Sposób w jaki niektóre z najważniejszych odkryć były dokonywane bardziej przypomina spacer lunatyka niż działanie komputera”. Celem Koestlera nie jest usuwanie tych postaci z piedestałów, ani też pomniejszanie wartości ich złoebczy naukowych, lecz zgłębianie tajemnic funkcjonowania ich twórczych mózgów.

Po tym tomie, stanowiącym pierwszą część trylogii, Koestler píše 750 stronicowe dzieło pt. *Akt twórczy* („The Act of Creation”). Są to właściwie dwie książki; jedna, rozwijająca teorię aktu tworzenia, złożonego z procesów świadomych i podświadomych, którego wynikiem może być tak samo odkrycie naukowe, jak i dzieło artystycznego „natchnienia”; druga część stanowi rozprawę, czy też monografię z zakresu biologii, mającą wykazać jak pewne podstawowe zasady działają w zakresie całej hierarchii organicznej: od zapłodnionej komórki jajowej, aż po umysł twórczej jednostki. Cały ten dział można uznać za rozwinięcie też przedstawionych piętnaście lat wcześniej w tomie *Insight and Outlook*. Procesy myślowe przebiegają w umyśle w taki sam sposób we wszystkich dziedzinach, w matematyce, logice, nauce i przyrodznawstwie, tak samo jak w sztuce, literaturze – „poważnej” czy humorystycznej. Reguła takich przebiegów, które Koestler nazywa „matrycami” reprezentuje zwyczajowe reakcje na powszednie zagadnienia. Myśli rozwija je automatycznie przez łączenie za pomocą asocjacji elementów pochodzących z tej samej „matrycy”. Niekiedy jednak automatyczność asocjacji może ulegać „zablokowaniu”. Wtedy umysł może nagle rozpoznać podobieństwo danego elementu do elementów innej, odległej „matrycy” i w ten sposób tworzy między nimi związek, który autor nazywa „bisocjacją”, a który może okazać się zabawnym, ośmiewającym, lub natchnionym, zależnie od charakteru wiążących się w ten sposób „matryc”. Z przyczyn swojej natury, bisocjacje pozostają poza rutyną zwykłego myślenia, powstają w chwilach przytłumionego, czy „rozinytego” ogniska uwagi, zamglonej świadomości, jak w marzeniach na jawie, snach, czy stanach medytacji transcendentnych. Koestler gromadzi tu liczne przykłady zarówno z twórczości artystycznej, jak naukowej, wszystkie oparte na bisocjacjach. Na tym tie rozwija swoją psychologiczną teorię myślenia twórczego, w której podkreśla istnienie i znaczenie czynnika irracjonalnego – podświadomości – gdzie procesy asocjacyjne przebiegają inaczej niż w świadomości. Przy bisocjacji następuje niezwykle zderzenie idei, nie dające się wyznaczyć mechanicznie. Następuje jakby nagle oświecenie ujrzanym przez świadomość niespodziewanym związkiem dwóch elementów pojęciowych. Poeci nazywają to natchnieniem. Na określenie tego zjawiska Koestler przyjmuje termin ukuty przez „gestaltystów”, mianowicie „reakcja AHA”.

Rozszerzając tą terminologię przez różniczkowanie zjawiska niezwykłych kon-

DWA OBLICZA RZECZYWISTOŚCI

taktów między elementami pojęciowymi, autor powiada że emocje związane z doznaniem piękna, mogące wywoływać napływ łez do oczu i skurcz krtani, będzie nazywać reakcją AH. Wreszcie śmiech, jaki powstaje z odprężenia emocjonalnego, wywołanego splotem niezwykłych elementów pojęciowych – nazwać można reakcją HAH.

W świadomości proces myślenia biegnie torem powiązań logicznych, w podświadomości, podstawą bispcjacji jest analogia. Myślenie twórcze wyrasta na podłożu procesów psychicznych które są pozalogiczne, a nawet pozalingwistyczne. Na poziomie świadomości ich symboliczna postać pojawia się częściej w formie metaforycznej niż logicznej. Koestler rozróżnia przy tym wiele poziomów świadomości i dochodzi do wniosku że akt twórczy, obejmujący szeroki ich zakres (poziomów świadomości), może czy nawet musi zawierać czynniki rewolucyjne i destrukcyjne. Przypomina to nie tylko pewne idee Hegla, lecz bardziej jeszcze Platona.

Trylogię zamyka *Duch w maszynie* („The Ghost in the Machine”). Rozpoczyna się od ataku na współczesną, tradycyjną naukę psychologii, którą Koestler nazywa „ortodoksyjną”. Najgwałtowniejsze ciosy otrzymuje tu teoria stymulacji i reakcji – nowoczesny asocjacionizm – jakim jest behawioryzm. Ostrość tego ataku być może wiąże się z faktem, że choć behawioryzm nie stanowi już dziś czelnego kierunku psychologii, jest on ważnym czynnikiem w praktyce pedagogicznej, oraz pełni naczelną rolę w filozofii marksistowskiej i nauce w Rosji sowieckiej.

Asocjacionizm „gestaltystów” jest również poddany krytyce, a na tak oczyszczone pole wprowadza autor teorię holonów, czyli teorię hierarchicznej struktury psychicznych i fizjologicznych czynników osobowości człowieka i nie tylko człowieka. Teoria holonów stosuje się do całej natury żywej. „Gdzie jest życie, musi ono być zorganizowane hierarchicznie”, stwierdza Koestler, i w szeregu przypowieści oraz przykładów stara się wykazać, że w każdym zakresie, każda hierarchia zbudowana jest z pierwiastków – nazwanych holonami – które mają charakter „janusowy”. Z jednej strony posiadają postać całości zbudowanej z pierwiastków, w stosunku do siebie elementarnych, i mają określony zakres samodzielnego bytu i działania, a z drugiej, stanowią elementarną cząstkę integralnej całości wyższego rzędu. Na każdym poziomie hierarchicznej drabiny holon działa według stałych reguł, które jednak dopuszczają pewną elastyczność zachowania się, zależną od poziomu hierarchii. Im ten poziom jest wyższy, tym większa jest swoboda holonu i schematy jego działania są mniej sztywne i trudniejsze do przewidzenia.

Autor rozwija przykłady hierarchicznego ustroju holonów w fizjologii organizmów, od jednokomórkowców do kręgowców, w psychologii człowieka, w mowie ludzkiej, w mechanizmie myślenia, w budowie społeczności od klanów po narody. Trudno nie dostrzec tu ech odwiecznej linii rozmownania biologicznego naturalizmu, ciągnącej się w dziejach od Platona po Spencera a także naszego Erazma Majewskiego.

Drugim tematem tej książki jest przeprowadzenie tezy, że ewolucja nie jest wynikiem przypadkowej i chaotycznej mutacji genów, utrwalojonej przez dobę naturalny i przeżywanie jednostek najlepiej dostosowanych do zajmowanej niszy ekologicznej. Jest ona skutkiem ograniczeń zakresu przemian każdego genetycznego holonu, wynikających z fizycznych warunków świata materialnego, warunków, które

zacieśniają możliwości rozwoju do pewnej tylko liczby alternatyw, równocześnie wzmagając potencjał holonu do optymalnego wykorzystania istniejących możliwości.

W wyniku tej sytuacji rozwój ewolucyjny bynajmniej nie zawsze prowadzi do udoskonalenia pierwowzoru. Istnieje wielka liczba przykładów błędów popełnionych przez ewolucję, błędów które kierują rozwój holonu w ślepią uliczkę specjalizacji doprowadzonej niekiedy do groteski. Uliczkę z której nie ma powrotu i która musi prowadzić do zagłady gatunku. Drzewo genealogiczne rozwija się tylko dlatego, że z gałęzi idących w ślepią uliczkę oddzielają się szczepy przybierające odmienny kierunek ewolucyjny, który omija pułapkę i wnosi holon na dalszy stopień rozwoju.

Omawiając ewolucję mózgu człowieka autor przedstawia schemat rozwoju trzech głównych ganglionów, z których dwa pierwsze stanowią część archaiczną, wytworzoną już w epoce płazów. Trzeci ganglion, rozwinięty u ssaków, u człowieka osiągnął formę gigantyczną i doszedł do tak ogromnej zdolności funkcjonalnej, że wciąż jeszcze nie umiemy go w pełni używać. Cała historia nauki i filozofii jest powolnym procesem odkrywania tego jak wykorzystywać potencjalne możliwości naszej kory mózgowej. Przytem mózg jest w swej neokorowej części nie tylko hipertroficzny. Brak jest w nim także dostatecznej łączności czy koordynacji między działaniem kory mózgowej i funkcjami archaicznych części mózgu, którym Koestler przypisuje generowanie stanów emocjonalnych i pozaświadomych procesów myślowych. Ten brak koordynacji jest wynikiem tego samego błędu genetycznego, który wprowadzał różne linie ewolucyjne w ślepią uliczkę. Bezpośrednim wynikiem tego błędu jest cały system aberacji umysłowej dotykającej osobowość człowieka od najwcześniejszego zarania historii aż po dzień dzisiejszy. Jest to schizofreniczne podłoże wszelkich maniactw i paranoidalnych obsesji, które zaczynając od epoki neandertalskiej, poprzez całe dzieje gatunku ludzkiego znaczą jego historię w arabeski obłędów, szaleństw i zbrodni. Od najdawniejszych, archeologicznych dowodów istnienia krwawych ofiar — rytuałnych zabójstw — po masowe morderstwa dogmatyzmów i militarystów.

Błąd genetyczny mózgu ludzkiego jest przyczyną nieustannych i powszechnych konfliktów społecznych i wojennych — ciągłego procesu samozniszczenia, który przy obecnym rozwoju potencjału technologicznego może doprowadzić do aktu samobójczego całego gatunku. Ratunek przed taką katastrofą widzi Koestler w potencjalnych możliwościach kory mózgowej, która zdolna jest natchnąć wiedzę medyczną do odkrycia środka chemicznego, zdolnego do wywołania „adaptacyjnej mutacji”, która wyrównałaby fatalny rozdźwięk między nieskoordynowanymi holonami mózgu. Dopiero wówczas nastąpi transformacja homo maniacus w homo sapiens.

Po ukończeniu tego opus magnum Koestler wydał trzy tomy prac popularyzacyjno-naukowych, których tematy mają mniej lub więcej luźny związek z zakresem jego teorii psychologicznych i ewolucyjnych. Pierwsza książka, *Sprawa ropuchy połoznej* („The Case of the Midwife Toad”) przedstawia tragiczne dzieje austriackiego naturalisty, dra Paula Kammerera, którego wieloletnie doświadczenia laboratoryjne miały udowodnić istnienie dziedziczności cech nabytych. Inaczej mówiąc, miałyby świadczyć na rzecz tezy Lamarcka, w przeciwieństwie do luxley-

owskiej postaci teorii ewolucji. Niestety, dowody zebrane wieloletnim wysiłkiem nosiły mniej lub więcej nieprzekonywujący charakter i nie mogły być uznane za rozstrzygające; także jeden z najważniejszych dowodów, okaz ropuchy-położnej z dziedzicznymi cechami nabytymi okazał się być sfałszowany. Choć nie stwierdzono, czy fałszerstwo było dokonane przez Kammerera, czy też przez jego laboranta, skandal stąd wynikły zniszczył reputację uczonca i spowodował jego samobójstwo.

Druga książka, *Źródła koincydencji* („The Roots of Coincidences”) dotyczy zagadnień parapsychologii. Celowo pomijając materiał anegdotyczny, Koestler zebrał tu opisy eksperymentów laboratoryjnych z zakresu psychologii, fizjologii i fizyki, których wyniki mogą być tłumaczone jako sprzeczne z zasadą przyczynowości i determinizmu, oraz wykazują, że „materialność” materii jest iluzją. W wyniku tego przeglądu autor wysuwa postulat uznania akademickiego równoprawienia badań parapsychologicznych, zajmujących się zjawiskami spostrzegania pozazmysłowego (tzw. ESP) a więc procesów takich jak telepatia, jasnovidzenie, kinestezja, hipnoza itp., które Koestler sumarycznie określa terminem „zbiegi okoliczności” albo „koincydencje”, twierdząc, że studia tego zakresu rzeczywistości, w przeciwieństwie do behawiorystycznych obserwacji zachowania się szczurów, mogą otworzyć nowe i szersze perspektywy rozumienia istoty holonów o janusowym obliczu. Niestety, książka ta dostarcza zbyt wiele propagandowego materiału dla wszelkiego rodzaju „wierzących wyznawców”, badaczy „zjawisk psychicznych”, grup teozoficzno-okultystycznych itp., co trzeba uważać za ujemny efekt działalności popularyzacyjnej Koestlera na tym polu. Tutaj bowiem zanika już granica pomiędzy badaniem zjawisk fizycznych i psychicznych a wytworzeniem takich czy innych systemów „objawień”.

Trzeci tom, *Trzynaste plemię* („The Thirteenth Tribe”), z podtytułem „Imperium Chazarów i jego spuścizna”, gromadzi liczne dane kronikarskie i przyczynki historyczne dotyczące państwa Chazarów. W okresie swej wielkości obejmowało ono północne zbocza Kaukazu i tereny na północ od morza Czarnego i Kaspijskiego, od dorzecza rzeki Emba po ujście Dunaju, stanowiąc potęgę polityczną, która powstrzymała i złamała rozpęd Arabów sunających poprzez Kaukaz na podbój Europy od wschodu, podczas gdy drugi ich odłam posuwał się poprzez półwysep Iberyjski od zachodu. Około dziewiątego stulecia naszej ery, władcy i naród Chazarów przyjęli religię muzułmańską. Rozpad Imperium Chazarów spowodowany został przez powtarzające się klęski wojenne w walkach z Burtasami i Bulgarami, którzy przebijali się ze swych nadwołżańskich siedzib na teren Bałkanów oraz Rosjanami, organizowanymi i prowadzonymi wzdłuż rzek przez Wikingów, w połączeniu z katastrofalną epidemią „czarnej śmierci” - dżumy, tej samej która zdziesiątkowała ludność zachodniej Europy. Resztki Chazarów ratowały się emigracją w kierunkach zachodnich, Koestler zestawia dowody wykazujące, że mieszkający na terenie Rusi, Litwy, Polski, Czech, Węgier i dorzecza Dunaju, Żydzi są w ogromnej większości pochodzenia chazarzkiego a nie semickiego.

Równocześnie z popularyzacyjną działalnością piśmienną Koestler podejmował działalność organizacyjno-naukową. Chcąc nadać praktyczne konsekwencje wnioskowi sformułowanemu w tomie *Duch w maszynie*, doprowadził w 1968 r. do zorganizowania

naukowego zjazdu-symposium w Alpbach, pod hasłem „Przeciw redukcjonizmowi”, który miał przedyskutować i ustalić metody przeciwdziałania skutkom „genetycznego błędu w rozwoju ludzkości” i zapobiec klęsce „ślepej uliczki ewolucyjnej”. W symposium wzięli udział wybitni uczeni europejscy i amerykańscy z dziedziny biologii, psychologii i filozofii z takimi osobistościami jak L. von Bertalanffy, V.E. Frankl, F.A. Hayek, J. Piaget, C.H. Waddington. Mimo to wyniki symposium zawiody nadzieję inicjatora. Naukowe, a tym bardziej praktyczne skutki – poza paroma kontrowersyjnymi artykułami i rozprawkami – okazały się więcej niż nikłe.

Przebieg i dzieje owego symposium stały się tematem nowej powieści Koestlera, pierwszej po dziewiętnastoletniej przerwie. Jest to *The Call-Girls* z podtytułem „Tragikomedya z Prologiem i Epilogiem”. (Dwuznaczny tytuł określający dziewczęta lekkich obyczajów zjawiające się u klienta na wezwanie telefoniczne, zastosowany jest tu metaforycznie do osobistości ze świata akademickiego, trwonących czas i energię na bezpłodne zjazdy i konferencje „naukowe”). Powieść przedstawia fikcyjne osobistości, ale dość wiernie odtwarza tematy dyskusji na zjeździe w Alpbach, choć szczerze uzupełnione motywami fantazji w stylu „science-fiction”.

W ostatnich latach Koestler wydał jeszcze dwie książki. W r. 1978 tom pt. *Janus. Podsumowanie* („Janus. A Summing up”), gdzie na 350 stronach streszcza swoje wywody i poglądy na temat psychologii i ewolucji człowieka rozwijane w wiału poprzednich pracach. Mocniej podkreśla teraz niektóre z dawnych myśli. Trójdzielny mózg człowieka i skutki tego podziału w psychologii jeszcze bardziej przypominają platoński podział duszy ludzkiej na trzy części: rozumu, energii i instynktu zwierzęcego. Rozwija też dalej zagadnienie lamarkizmu i sprawę wrogości „ortodoksyjnego” neo-darwinizmu wobec każdego kto ośmiela się kwestionować teorię dziedziczenia cech nabytych. Nie wspomina jednak nic o sprawie jednego z ostatnich głośnych lamarkistów, tj. Łysience, ani też o tym, że według opinii Poppera, jednego z najwybitniejszych współczesnych filozofów nauki, teoria darwinowska nie może być uważana za teorię naukową. Jest ona metafizycznym programem badań naukowych. Koestler coraz pesymistyczniej patrzy na rzeczywistość. We wstępie do tej książki pisze że: „najbardziej uderzającą wskazówką patologii mózgu ludzkiego jest kontrast między niebываłymi osiągnięciami technicznymi, a równie niebываłym brakiem kompetencji w kierowaniu wydarzeniami społecznymi... Prometeusz sięga po gwiazdy mając obłąkany uśmiech na twarzy i trzymając w dłoni symbol totemu”.

Ostatnią dotychczas wydaną książką jest opublikowany w roku 1980, blisko 700-stronicowy tom *Cegły do Wieży Babel* („Bricks to Babel”). Składają się z dwóch części: księga I – polityka, księga II – nauka i filozofia; obejmują one zestawienie wyciągów z poprzednich prac autora wraz z obszernym materiałem autobiograficznym i komentarzami. Koestler rzuca tu spojrzenie wstecz na swoją 75-letnią wędrówkę poprzez szlak wydarzeń, przemyśleń i osiągnięć. W komentarzach tych miesza bystre obserwacje, uderzające trafnością sformułowania i elementy pesymizmu z wieloma pierwiastkami prawdziwego humoru.

Na zakończenie można sformułować opinię Koestlera wyrażoną w *Ceglach do Wieży Babel*, że „nikt nie może być świętym przez 24 godziny na dobę”; „nie można ciągle zachowywać oblicza mędrca na przestrzeni 24 tomów utworów beletrystycznych, polemicznych, popularyzacyjnych, naukowych, satyrycznych i wspomnieniowych”.

Arthur Koestler

WIEŻA KONTROLNA

Nie podano mi daty egzekucji ani sposobu w jaki zostaną stracony. Nie jestem pewien czy to okrucieństwo czy też łitość sprawiły, że odmówiono mi tych informacji. Niepewność, powiada przysłowie, jest gorsza niż śmierć. Niepewność pozostawia jednak szczelinę w murze przez którą prorymk nadziei, choć wątły, może przeniknąć ciemności.

To więzienie (czy miejsce zatrzymania - obojętnie jak to się zwie) przypomina lotnisko. Rozciąga się pod neonowym niebem niczym ogromny labirynt; wejścia i wyjścia nie są znane nikomu. Nie zna ich również liczny personel krążący po lotnisku w różnych mundurach. Jest go wszędzie pełno; jedni biegną w ślepych przestrzelach, inni tkwią przy swoich stanowiskach. głośni na zadawane im pytania lub odpowiadający obojętnym wzruszeniem ramion czy też sarkastyczną radą żeby zwrócić się z pytaniem do Wieży Kontrolnej.

Ale nie chcą - a może nie potrafią - wskazać drogi do Wieży. Trudno oprzeć się wrażeniu, że ludzie ci, choć są odpowiedzialni za pasażerów czy też więźniów, sami nie wiedzą wiele więcej niż ich podopieczni.

System głośników, czynny dzień i noc, wdziera się nawet w nasze widzenia senną, ale nie służy żadną informacją. Wywołuje ludzi z nazwiska, poleca im udać się do Sali Odlotów, nie mówi jednak po co mają się zgłosić ani dokąd mają odlecieć. Głos z głośnika brzmi jak wyrzut lub napomnienie, ale najgorsza jest długa pauza przed wywołaniem następnego nazwiska.

W związku z tym wymyśliłiśmy sobie wiele zabaw i rozrywek. Nasze pomysły przypominają nieco odkrycia skazańców w Conciergerie i innych więzieniach francuskich w okresie rewolucyjnego terronu, kiedy to księża, arystokraci, włóczęgdy, zbrodniarze, rojaliści i prostytutki rzuceni w ogromne podziemne lochy, czekali na wózki, które miały odstawić ich na miejsce stracenia.

Niektórzy musieli czekać tygodniami, miesiącami nawet, aż wywołano ich imiona; ale, mon Dieu, wiedzieli oni przecież jak się rozzerwać! Duchowni i prosty-

tutki spełniali swe obowiązki zawodowe, spory filozofów kończyły się bójkami, arystokraci ginęli z gestem w pojedynkach, poeci recytowali swe wiersze i organizowali dowcipne szarady; widzowie mieli odgadnąć, że gilotyna to „Liberta”, rząd marionetek bez głów to „Egalité”, a kat ściskający dłoń ofiary to właśnie „Fraternité”.

Tamci ludzie naprawdę umieli korzystać z chwili; nam zaś oczywiście większość czasu upływa na swarach i bójkach. Ale jednak paru gorliwym ogrodnikom udało się wyhodować rośliny skalne w szparach cementowej podłogi; nasze apteki wydają witaminy zapewniające długowieczność, mamy też sporo Muzeów, Salonów Piękności i Koafiurzystów Fryzur Łonowych.

Najwyższą formą rozrywki są plotki i snuce domysłów; z braku wiarygodnych informacji roi się od nich wszędzie. Największe wzięcie mają powtarzające się ciągle i rozchodzące się w mig, pogłoski o amnestii. Czasem mówi się o amnestii powszechnej dla całej więziennej społeczności, kiedy indziej jest to ulaskawienie jednostek, wybranych ponieważ ich gorąca skrucha, sprytny akt pokory, lub wreszcie pochlebstwo wywarły dobre wrażenie na władzach z Wieży Kontrolnej. Jak dotąd, ani jedna z tych pogłosek nie została potwierdzona, żadna jednak nie została zdementowana. Od chwili, kiedy wywołano kogoś przez głośnik, nigdy nie udało się ustalić jego dalszych losów.

Po Wieży Kontrolnej, Wieża Obserwacyjna jest drugim z kolei tematem plotek i domysłów. Wieża wieńczy kopuła z kulistym oknem przypominającym soczewkę olbrzymiego teleskopu. Wieża Obserwacyjna jest otwarta dla wszystkich; wolno wejść, wnieść oczy ku Oknu Obserwacyjnemu i patrzeć aż stężeje kark. Wtedy należy uciec się do usług salonu masażu.

Znaczenie tego, co można zobaczyć w Wieży Obserwacyjnej stało się przedmiotem bezustannych polemik. Kontrowersje są tak gwałtowne, że dochodzi czasem do krwawych walk. Widok z Wieży jest, trzeba przyznać, niebywały; wszyscy go podziwiamy choć niewiele zeń rozumiemy; przelatują komety, ciągnąc za sobą przejrzyste ogony, jak głębinowe ryby... może są to jednak wystannicy z jakichś innych lotnisk w przestrzeni kosmicznej? Słońca, pozornie w bezruchu, wybuchają nagle białym oślepiającym ogniem... może są to jednak wybuchy atomów pękających w mózgu super-organizmu, w którym zawarta jest cała nasza galaktyka? Czasami udaje się pochwytać widok wiekowych planet leniwie obracających się w swych orbitach; są to pewno siedliska stworzeń obdarzonych boską mądrością. Inne z nich to może szybujące rzeźnie, czy też pojazdy kosmiczne z wymarłą załogą, błąkające się wśród gwiazd.

Jak już wspominałem, zupełnie nie rozumiemy sensu i znaczenia wszystkich tych niebywałych zjawisk. Podzieliły nas one na kilka zwalczających się wzajemnie obozów. Największy z nich utrzymuje, że wszystko co jest nam dane zobaczyć przez Okno Obserwacyjne, jest rzeczywiste. Zgodnie z tym nazwali się Realistami. Istnieje jednak formacja rywalizująca z nimi, której zdaniem wszystkie zjawiska w Wieży są wieloznaczne, a proste zaufanie do ich pozornego wyglądu odbiera im sens i znaczenie. Cóż znaczą, pytają oni, wszystkie te kosmiczne katastrofy i tańce atomów? Kiedy i jak zaczęła się ta fantasmagoria i kiedy się skończy? Co było przed nią i co będzie po niej? A przede wszystkim, dlaczego jesteśmy zamknięci

WIEŻA KONTROLNA

na tym lotnisku-więzieniu, gdzie niewidzialni kaci czyhają na nas ukryci za głościami.

Pytających zakrzykują jednak inni, którzy twierdzą, że tylko głupcy zadają podobne pytania, mądrzy bowiem wiedzą, że nie ma żadnych odpowiedzi. Albo też że odpowiedzi znane są tylko Dygnitarzom z Wieży Kontrolnej, którzy, na nieszczęście, mówią językiem którego nie potrafimy zrozumieć. Jest jeszcze inne ugrupowanie: twarze jego zwoleńników promieniają samozadowoleniem, ich uśmiechy są uśmiechami wyższości. Twierdzą oni, że tak zwane Okno Obserwacyjne nie jest wcale oknem, lecz przemysłowym aparatem podobnym do planetarium, którego celem jest oszukanie nas i wprowadzenie w błąd: rzekome ciała niebieskie poruszają się na niewidocznych kołach, a zjawiska zachodzące wewnątrz niespokojnych atomów są sztuczkami pchłego cyrku czy też baletem wirującego groszku. Nie, mówią oni, uśmiechając się wszechwiedząco, my nie damy się nabrać, wszystko co nam pokazują w Oknie Obserwacyjnym jest iluzją, oszustwem albo hipnotyczną lafucynacją; w rzeczywistości nie ma niczego za Oknem i nie ma nic we wnętrzu atomu. Uśmiech Buddy przeradza się w grymas kota z Alicji w Krainie Czarów. W niedawnej bitwie to właśnie ugrupowanie zabiło kilkuset Realistów, którzy nie chcieli przyznać że nie istnieją.

Mimo wszystko, Wieża Kontrolna pozostaje jednak głównym przedmiotem plotek, domysłów i spekulacji. O ile zdołałem stwierdzić, żaden pasażer nie dostał się nigdy do jej wnętrza ani nawet nie odkrył jak trafić do Wieży poprzez labirynt sklepów, biur, kas biletowych, świątyń, instytucji rozrywkowych i innych budynków. Idąc przez pokątne korytarze, wędzłując lub zjeżdżając ruchomymi schodami, mijamy czasem znaki, ozdobione starannie wyrysowaną czerwoną strzałką i napisem: „Do Wieży Kontrolnej”. Jeśli jednak pójść za strzałką, dochodzi się do innego, identycznego niemal znaku z równie starannie narysowaną strzałką, zwróconą w kierunku odwrotnym. Mimo tego, całe tłumy śpieszą od jednej do drugiej strzałki, zawracają i zderzają się z grupą idącą w odwrotnym kierunku. Niezrządki zderzenia prowadzą do paniki, bijatyki i tumultu w którym bywają straszone dzieci. Trzeba jednak przyznać, że bez tych awantur, nuda życia na lotnisku byłaby nie do wytrzymania.

Sama niedostępność Wieży jest oczywiście silną podmiętą do domysłów dotyczących jej dokładnego położenia, charakteru i wyglądu Dygnitarzy, którzy ją zamieszkują oraz zasad, praw i przepisów jeśli takowe istnieją, którymi ci nasi władcy kierują się w wykonywaniu władzy. Nie muszę dodawać, że teorie oparte na domysłach, stanowią pewów do bezstannych sporów prowadzonych z moimczasą pasją. Jedna ze szkół twierdzi, że Wieża Kontrolna w ogóle nie istnieje, a jeśli istnieje to stoi pusta, ze zmumifikowanymi ciałami pomarłych (z nudów) Dygnitarzy, którzy zaprojektowali i wybudowali lotnisko-labirynt i wyposażyli je we wszystkie nowoczesne ulepszenia i zaawansowane urządzenia po to tylko, żeby stwierdzić, że Wieża przestała być potrzebna. Pozostał więc im jedynie dyskretny żgon. Niewielka tylko mniejszość wśród nas przyjmuje tę hipotezę, choćby dlatego że perspektywa lotniska z pustą Wieżą Kontrolną zwiędzałaby nasze poczucie samotności.

Według mojej hipotezy, nasze lotnisko było kiedyś miejscem szczęśliwym, rządonym przez dobrothwych mędrców. Tak mało było aż do Katastrofy, kiedy to

pojazd kosmiczny wiozący grupę obłąkanych, przymusowo wylądował na naszym lotnisku. Podobny był to latujący szpital wariatów, zaplanowany dla celów Terapii Głęboko-Przestrzennej. Po wylądowaniu, szaleńcy wymordowali wszystkich (z wyjątkiem jednego) mędrców z Wieży Kontrolnej, opanowali Wieżę i rządzą do dziś.

Jedyny ocalały mędrzec ma podobno po dziś dzień błądzić po lotnisku w różnych przebraniach, raz to udając urzędnika kontroli paszportowej, raz barmana, to znów pedikurzystę rozdającego wyrotowe ulotki, w których próbuje demaskować obłąkanych uzurpatorów z Wieży Kontrolnej. Pokazano mi nawet w wielkim sekrecie taką ulotkę, ale wydawała mi się nieprzekonywująca: pełna ortograficznych błędów i nienawiści do Dygnitarzy tak fanatycznej jakby autor sam nie był przy zdrowych zmysłach.

Mimo rozczarowania ulotką (i innymi, opartymi na podobnie, według mnie, fantastycznych przesłankach) im dłużej przebywałem na lotnisku tym jaśniej zdawałem sobie sprawę z istnienia wśród moich współpasażerów organizacji, a może tylko spontanicznego ruchu, o celach wyrotowych. Jakkolwiek różnią się ich poglądy na inne sprawy, na przykład na znaczenie zjawisk widocznych w Oknie Obserwacyjnym, inteligentniejsi wśród więźniów są zgodni, że dygnitarze rządzący Wieżą Kontrolną są albo niepoczytalni, albo są to roboty z wbudowanym błędem technicznym. Praktycznie rzecz biorąc, obie hipotezy prowadzą do tych samych wniosków.

Pewien fizyk, z którym dopóki nie zniknął mi z oczu, utrzymywałem przyjaźielskie stosunki, zwierzył mi się ze swej własnej teorii dotyczącej umysłowych, czy też mechanicznych defektów naszych władców. Ponieważ teoria ta opierała się na skomplikowanych równaniach matematycznych, pozwalałem sobie przedłożyć wersję uproszczoną, poświęcając ścisłość na rzecz jasności.

Prawa symetrii i równości należą do podstawowych zasad fizyki. Odbiciem tego jest Pierwsze Przykazanie Szacownego Bractwa Rękawiczników: „Zrobisz tyle samo rękawic ma dłoń lewą, ile na prawą, tak aby nikt spośród klientów nie był zmuszony do odcięcia jednej z dłoni”.

Wszehświat, jak wiemy, podlega temu samemu prawu symetrii. Prawa rękawiczka jest iustrzonym odbiciem rękawiczki lewej, a zatem musi istnieć ta sama liczba lewych i prawych rękawic, w każdym stabilnym systemie pozytywny ładunek elektryczny równowagi ładunek negatywny, siła przyciągania musi być równą sile odpychania. Wisznu nie mógł istnieć bez Szwy, Niszczyciela i jak stwierdza Newtona Trzecie Prawo Dynamiki: „każdemu działaniu odpowiada równie mu i przeciwnie skierowane przeciwdziałanie czyli działania wzajemne są zawsze równe i skierowane przeciwie”.

Nasi teologowie i filozofowie szli śladami Sir Issac'a już na długo przed jego przyjściem na świat, za każdym razem kiedy rozbljali sobie nosy o problem zła. „Trudno zaprzeczyć” zwykli pocieszać ofiary losu że bez poznania zła nie byłoby poznania dobra, nie doświadczymy bólu nie mogliśmy się radować, nie wiedząc co to gorycz, nie rozpoznaliśmy słodyczy miodu, a przed pójsciem do łóżka z odróżającą muszkara, nie umielibyśmy ocenić piękności Botricełwskiej dziewicy... i tak dalej...”

W tym punkcie swego wykładu mój przyjaciel fizyk skłonny był przyznać się do pewnych wątpliwości dotyczących prawomocności powoływania się na Trzecie Prawo Newtona po to, aby usprawiedliwić istnienie zła, cierpienia i śmierci. Przyznał jednak, że jako naukowiec nie rozporządzał lepszym wytłumaczeniem niż nasi filozofowie i doktorzy teologii. Przy tym, prawa równości i symetrii zapewniły przynajmniej to, że całkowita suma zła we wszechświecie nie jest większa niż suma dobra, a całkowita waga cierpienia nie przeważa radości na przeciwnej szali.

W tym jednak właśnie punkcie, według mego przyjaciela, sprawy poszły niewłaściwą drogą. Z jakichś nieznanych bliżej powodów władcy Wieży Kontrolnej odstąpił od Pierwszego Przykazania Bractwa Rękawiczników i zaczęli grać z Prawem Równości. Na tym właśnie polegała legendarna Katastrofa której odgłosy, jak echo, odzywają się do dziś dnia w folklorze lotniska choć zachowały się o niej mgliste tylko wspomnienia.

Możliwe, że zaczęło się to od względnie nieszkodliwego wypaczenia: któryś z Dygnitarzy zdecydował dokuczyć szczególnie głupawemu pasażerowi, podobnemu może do tej dobrze znanej osobistości z Uz, tak opisanej w innej popularnej legendzie: „Człowiek prawy, sprawiedliwy, bogoboyny i zła się wystrzegający”, który jednak, całkowicie wbrew Prawu Równości, został „porażony trądem złośliwym od palca do wierzchu głowy”. Figle tego rodzaju były pewno najpierw wyjątkami z reguły, wygląda jednak na to, że w końcu ta podniecająca zabawa uczyniła z Dygnitarzy nałogowców.

Niepomni byli na to, że nałóg, jak galopująca inflacja, wzmaga się sam przez się. Naruszenie powszechnej równowagi między szczęściem a cierpieniem, naruszenie równania, hedonistycznego, jest nieodwracalne: znika symetria dwóch stron równania, jedna strona wzrasta z ogromną szybkością, podczas gdy druga kurczy się w tej samej mierze... Tu mój przyjaciel zatrzymał się. Rozpacz małowała się w jego oczach jakby ujrzał przerażającą wizję. Przypomniał mi po chwili, że siódmy znak Zodiaku to Waga, symboli prawa i sprawiedliwości.

„Wyboracz sobie” mówił dalej „że ten znak jest w rzeczywistości widzialną częścią gigantycznej wagi. Na jednej szali położy wszystkie katedry świata, a na drugiej jeden przysnic oświęcimski i patrz co się stanie. Iu trzeba magicznych fletów żeby zrównoważyć bezustanny jazgot wojennych bębnow? Iie megaton szczęścia trzeba aby uczynić z tego oszalałego lotniska miejsce nadające się dla podróżnych? Prawa Równości przestały obowiązywać -- jeśli obowiązywały kiedykolwiek. Już niedługo to lotnisko opustoszeje, opuszczone przez ostatniego z Dygnitarzy, kiedy w ostatnim komputerze przepała się bezpiecznik. Chyba że...”

Nie dane mi było dowiedzieć się, co to „chyba że” miało znaczyć. Przerwał nani głos z głośnika, wywołujący przyjaciela do Sali Ddłotów. Jak już wspominałem, straciłem go odłąd z oczu.

Przełożyła Krystyna Bronkowska

Samuel Beckett

KATASTROFA

dla Václava Hávěla

Ostatnia sztuka Samuela Becketta, została napisana w hołdzie dla Václava Hávěla, czeskiego pisarza, od kilku lat przebywającego w więzieniu. Beckett napisał ją w odpowiedzi na apel międzynarodowej organizacji obrony intelektualistów, która zwróciła się w tej sprawie do wielu iznanych dramaturgów światowych. Napisane przez nich teksty, zostały wystawione podczas specjalnego wieczoru, na Festiwalu w Avignonie.

Polski przekład „Katastrofy” stwarza pewien trudny do rozwiązania problem. Otóż cały sens tej miniaturowej sztuki zasadza się na możliwości podwójnej interpretacji słowa „catastrophe”, które w języku francuskim określa nie tylko klęskę czy nieszczęśliwy wypadek, ale zachowało również swe greckie znaczenie – kłimnacyjnego punktu spektaklu teatralnego. W polskim to znaczenie niestety nie funkcjonuje, aczkolwiek „Słownik języka polskiego” podaje je jako jedno z możliwych. W sytuacji tak szczególnego użycia wyrazu, niesposób znaleźć jego słowo zastępcze, które spełniłoby podobną podwójną funkcję, zdecydowaliśmy się jednak, mimo tej utwórności tłumaczenia, na opublikowanie tekstu z powyższym wyjaśnieniem.

Reżyser (R)

Jego asystentka (A)

Protagonista (P)

Luc, oświetleniowiec, poza sceną (L)

Próba. Dopracowuje się właśnie ostatni obraz. Scena bez dekoracji. A i L przed chwilą ustawili światła. R dopiero co przyszedł.

- R** – *W fotelu, po lewej stronie proscenium. Ubrany w futrzany płaszcz i elegancki beret. Wiek i wygląd obojętne.*
- A** – *obok niego na stojąco. Ubrana w białą bluzkę. Z gołą głową. Ołówek za uchem. Wiek i wygląd obojętne.*
- P** – *Stoi pośrodku sceny na czarnym sześcianie o wysokość 40 cm. Na głowie ma czarny kapelusz z szerokim rondem. Ubrany w czarny płaszcz sięgający kostek. Gołe stopy. Głowa zwieszona w dół. Ręce w kieszeniach. Wiek i wygląd obojętne.*

- R i A przyglądają się P. Długa pauza.
- A (w końcu) Podobna ci się?
- R Połowicznie. (Pauza) Po co ta podstawka?
- A Żeby z parteru było widać jego stopy.
Pauza.
- R Po co kapelusz?
- A Żeby lepiej zasłonić twarz.
Pauza.
- R Po co ten płaszcz?
- A Żeby wszystko było jednolicie czarne.
- R Co ma pod spodem? (A rusza w kierunku P.) Powiedz. (A zatrzymuje się.)
- A Piżamę.
- R W jakim kolorze?
- A Popiołu.
- R Wymuje cygaro.
- R Przypał mi. (A powraca, przypała mu cygaro, nieruchomieje. R pali) Jak wygląda jego głowa?
- A Widziałeś ją.
- R Zapominam. (A rusza w kierunku P.) Powiedz.
A zatrzymuje się.
- A Bezwłosa. Zostało kilka kępek.
- R W jakim kolorze?
- A Popiołu.
Pauza.
- R Dlaczego ma ręce w kieszeniach?
- A Żeby wszystko było jednolicie czarne.
- R Niepotrzebnie.
- A Zapisuję. (Wyciąga notes, zdejmując ołówek zza ucha, zapisuje.) Ręce na wierzchu. (Chowa notes z powrotem do kieszeni, ołówek zakłada za ucho.)
- R Jak one wyglądają? (A nie rozumie. Rozdrażniony.) Ręce, jak one wyglądają?
- A Widziałeś je.
- R Zapominam.
- A Artretyzm.
- R Co?
- A Ar-ire-tyzm.
- R Ach, artretyzm... (Pauza.) To znaczy szponiaste? (Pauza. Rozdrażniony.)
Pytam cię czy są szponiaste?
- A Można tak powiedzieć.
- R Dwa szpony.
- A Chyba że zewrze pięści.
- R Nie trzeba.
- A Zapisuję. (Wyciąga notes, zdejmując ołówek zza ucha, zapisuje.) Dłonie roz-
warté. (Chowa notes z powrotem do kieszeni, ołówek zakłada za ucho.)
- R Przypał mi. (A powraca, przypała mu ponownie cygaro, nieruchomieje. R pali.)

No, dobrze. Zobaczymy jak to wszystko wygląda. *(A nie rozumie. Rozdrażniony.)* No na co czekasz? Zdejmij to z niego! *(Spogląda na zegarek.)* Pośpiesz się, mam zebranie.

A podchodzi do P, zdejmując z niego płaszcz. P obojętny, nie stawia oporu. A cofa się z płaszczem na rękę. P w starej szarej piżamie, stoi z głową opuszczoną do dołu i zaciśniętymi pięściami.

A Wollsz bez? *(Pauza.)* On drży.

R Niespecjalnie. Kapelusz.

A podchodzi, zdejmując kapelusz, cofa się z kapeluszem w rękę. Pauza.

A Ciemiej w porządku?

R Trzeba będzie pobielić.

A Zapisuję. *(Upuszcza na ziemię płaszcz i kapelusz, wyciąga notes, zdejmując ołówek zza ucha, zapisuje.)* Pobielić czaszkę. *(Chowa notes z powrotem do kieszeni, ołówek zakłada za ucho.)*

R Dłonie. *(A nie rozumie. Rozdrażniony.)* Rozewrzeć. No na co czekasz? *(A podchodzi, rozwiiera pięści, cofa się.)* I pobielić.

A Zapisuję. *(Wyciąga notes, zdejmując ołówek zza ucha, zapisuje.)* Pobielić dłonie.

Chowa notes z powrotem do kieszeni, ołówek zakłada za ucho.

R Coś tu jest nie tak. *(Przerażony.)* Co u diabła jest nie tak?

A *(nieśmiało.)* A gdyby tak... a gdyby tak je... złączyć?

R Właściwie skoro posunęliśmy się już tak daleko...

(A podchodzi, łączy ręce, cofa się.) Wyżej. *(A podchodzi, unosi złączone ręce na wysokość pasa, cofa się.)* Jeszcze. *(A podchodzi, unosi złączone ręce na wysokość pierś, cofa się.)* Tak lepiej. Powoli osiągamy to o co chodzi. Przy-
pał mi.

A powraca, przypala mu ponownie cygareto, nieruchomieje. R Pał. Oboje przyglądają się P.

A On drży.

R W samą porę.

Pauza.

A *(nieśmiało.)* A może mały... mały knebel?

R *(oburzony.)* Co za pomysł? Ta mania wyjaśniania wszystkiego. Mały knebel! Stawiania kropek nad i! Mały knebel! Co za pomysł!

A Jesteś pawien że nic nie powie?

R Nic. Nawet nie piśnie. *(Spogląda na zegarek.)* Akurat zdążyliśmy. Popatrzę na to z sali.

Wychodzi. Już go nie zobaczymy. A opada na fotel, następnie podrywa się nagle, wyjmując szmatkę, wyciera energicznie siedzenie i oparcie, odrzuca szmatkę, siada. Pauza.

R *(z offu, gderliwie.)* Nie widzę palców u nóg. *(Rozdrażniony.)* Siedzę w pierwszym rzędzie i nie widzę palców u nóg.

A *(wstając)* Zapisuję. *(Wyciąga notes, zdejmując ołówek zza ucha, zapisuje.)* Podwyższyć podstawkę.

Chowa notes z powrotem do kieszeni, ołówek zakłada za ucho.

- R *(tym samym tonem.)* Widać twarz.
- A Zapisuję.
Wyciąga notes, zdejmując ołówek zza ucha, chce zapisać.
- R Opuść głowę. *(A nie rozumie. Rozdrażniony.)* No na co czekasz? Opuść mu głowę. *(A chowa notes z powrotem do kieszeni, ołówek zakłada za ucho, podchodzi do P, pochyliła mu bardziej głowę, cofa się.)* Jeszcze odrobinę. *(A podchodzi, pochyla głowę jeszcze bardziej.)* Stop! *(A cofa się.)* Doskonale. *(Pauza.)* Brakuje nagości.
- A Zapisuję.
Wyciąga notes, chce zdjąć ołówek zza ucha.
- R Na co czekasz, idź! *(A chowa notes z powrotem do kieszeni, podchodzi do P, zatrzymuje się niezdecydowana.)* Odstoń mu pierś. *(A rozpiną od góry piżamę, rozchyli poły, cofa się.)* Nogi. Gołonie. *(A podchodzi, podwija powyżej tydki jedną nogawkę spodni, cofa się.)* Drugą. *(A robi to samo z drugą nogawką, cofa się.)* Wyżej. Kolana. *(A podchodzi, podwija obie nogawki powyżej kolan, cofa się.)* I pobielić.
- A Zapisuję. *(Wyciąga notes, zdejmując ołówek zza ucha, zapisuje.)* Pobielić ciało. *(Chowa notes z powrotem do kieszeni, ołówek zakłada za ucho.)*
- R Powoli osiągamy to o co chodzi. Czy jest Luc?
- A *(woła.)* Luc! *(Pauza. Głośniej.)* Luc!
- L *(z offu, z daleka.)* Już idę. *(Pauza. Bliżej.)* Coś jeszcze nie gra?
- A *(do R.)* Luc już jest.
- R Niech wygasi tło. *(A przekazuje polecenie w terminologii technicznej. Tło wygasa. Tylko P pozostaje oświetlony. A w ciemności.)* Wszystko oprócz głowy. *(A przekazuje polecenie w terminologii technicznej. Ciało P pogrąży się powoli w ciemność. Tylko głowa pozostaje oświetlona. Długa pauza.)* Pięknie. *Pauza.*
- A *(nieśmiało.)* Czy nie mógłby ... podnieść głowy ... na chwilę, żeby można było zobaczyć twarz... tylko przez chwilę?
- R *(oburzony.)* Co za pomysł! Czego to nie trzeba się nasłuchać! Podnieść głowę! Tobie się wydaje, że gdzie ty jesteś? W Patagonii? Podnieść głowę! Co za pomysł! *(Pauza.)* No dobrze. Oto nasza katastrofa. Powtórzmy jeszcze raz i ja uciekam.
- A *(do Luca.)* Powtórzmy jeszcze raz i potem on ucieka.
Światło powraca stopniowo na ciało P, ustala się na poprzednim poziomie. Stopniowo rozświetla się tło.
- R Stop! *(Tło ustala się na określonym poziomie. Pauza.)* Uwaga .. hop! *(Tło powoli wygasa. Pauza. Ciało P stopniowo pogrąży się w ciemność. Tylko głowa pozostaje oświetlona. Długa pauza.)* Wspaniale! Rzuci ich na kolana. Jakbym to już słyszał.
Pauza. Odległy grzmot oklasków. P podnosi głowę, patrzy na salę. Oklaski słabną, potem milkną. Cisza.
Długa pauza.
Ciemność.

Jan Kott

IONESCO ALBO ŚMIERĆ W CIĄŻY

I Wszyscy wiemy, że umrzemy. Ale Ionesco nawet wtedy, kiedy sięga łaconie po kartę w restauracji, wie, że umrze. Wie, że umiera nawet wtedy, kiedy je. I wie, że o tym wszystkie jego sobowtóry, wszyscy Berengerowie w jego komediach. We wszystkich, co pisze Ionesco, śmierć jest ciągle obecna, i to obecna jako umieranie: własne i cudze, powszechne i nieprzerwane.

„Kiedy dzwony wołają na pogrzeb, przejmuję mnie dziwny lęk, rodzaj fascynacji. Znamy tu wszystkich, którzy umierają”. To jedna z najwcześniejszych notatek z „Rozproszonych obrazów dzieciństwa” w *Okruchach dziennika*. I o parę stron dalej: „Kiedy miałem cztery albo pięć lat, zdałem sobie sprawę, że będę coraz starszy i starszy i że muszę umrzeć. Kiedy miałem osiem albo dziewięć lat, powiedziałem do samego siebie, że moja matka pewnego dnia umrze, i ta myśl mnie przeraziła.” I raz jeszcze o parę stron dalej: „...a jedyną rzecz, jaką wiem, to że śmierć czeka na moją matkę, na moją rodzinę, na mnie samego”.

I znowu we wspomnieniach spisanych w wiele lat później o skwerze de Vaugirard obok którego mieszkał Ionesco za czasów swojego paryskiego dzieciństwa: „Kiedy ten obraz ulicy ożywa w mojej pamięci, kiedy myślę, że prawie wszyscy ci ludzie są już dzisiaj umarli, wszystko wydaje mi się cieniem, powolnym zanikaniem. Drzę, kręci mi się w głowie. A więc tak, to jest świat: pustynia albo cienie nieboszczyków.” Albo te dwie linijki z *Okruchów dziennika*, które mogłyby kończyć długi monolog Berengera w ostatnim spotkaniu z Mordercą nie do wyjęcia: „To do Śmierci, ponad wszystko, mówię z takim przerażeniem 'Dlaczego?'. Tylko jedna Śmierć może i chce zamknąć mi usta”.

W *Tueur sans gages* mówi sobowtór Ionesco: „Musimy wszyscy umrzeć, to jedyna alienacja, która jest poważna.” W *Okruchach dziennika*: „Życie ludzkie, ludzka dola, jest nie do zniesienia.” I dalej: „Nie mogę pojąć, jak to jest możliwe, że przez setki i setki lat ludzie pogodzili się z życiem i śmiercią na warunkach nie do przyjęcia; pogodzili się z egzystencją, którą nawiedza strach przed śmiercią... Zastawione na nas zostało coś w rodzaju zblorowej pułapki i nawet się przeciwko niej poważnie nie buntujemy.”

Można by te cytaty jeszcze wielokrotnie pomnożyć. Są nużące przez swoją mo-

IONESCO ALBO ŚMIERĆ W CIAŻY

notonę; śmierć jest umieraniem, nie ma na nią lekarstwa i nie można się z tym pogodzić. Jakby nie było nic więcej do powiedzenia. Tematem dysertacji doktorskiej, jaką Ionesco miał zgłosić na Sorbonie, miał być „Grzech i Śmierć w poezji po Baudelaire”. Ionesco nigdy jej nie napisał. Ionesco porażony śmiercią został autorem komedii.

Przez komedię w najprostszym rozumieniu tego teatralnego gatunku rozumieć spektakl, jaki wywołuje śmiech. „Nie ma nic trudniejszego – pisał Moliere – od rozśmieszenia *les honnetes gens*”. Ionesco jest jednym z najświetniejszych, a może nawet i najświetniejszym wśród nam współczesnych autorem sztuk, które rozśmieszają. Rozśmieszają mnie, rozśmieszają nas, rozśmieszają „zucnych” widzów. Siłą komiczną *Lysej śpiewaczki*, *Lekcji* i *Amadeusza* można porównać tylko do wczesnych filmów Chaplina. Wywoływały i wywołują nadal śmiech głośny.

Jaki to jest śmiech? I z czego? „Kiedy mówię – pisze Ionesco w *Okruchach dziennika* – czy życie warte jest, aby na nie umrzeć, używam ciągle słów. Ale są one przynajmniej komiczne.” A więc umieranie może być śmieszne, kiedy się o nim mówi, kiedy się je przedstawia. „Nigdy nie mogłem zrozumieć – pisze Ionesco w *Notatkach i kontrnotatkach* – różnicy, jaką się ciągle utrzymuje, między komicznym i tragicznym. Komizm będący intuicją absurdu wydaje mi się bardziej beznadziejny od tragizmu. Komizm nie daje żadnego wyjścia... komizm jest tragiczny, a tragedia człowieka warta śmiechu.”

Tragiczność daje metafizyczną pociechę. Tragiczność bez metafizyki, powszechne umieranie, którego nic nie usprawiedliwia, absurd beznadziejny jest komiczny. „Wart śmiechu” – pisze Ionesco. Ale gdzie? Na scenie. „Śmieszny tragizm” jest gatunkiem teatralnym. W 1960 pisał: „Kiedy dawni autorzy mieszają komizm z tragizmem, bohaterowie ich ostatecznie nie są śmieszni: tragiczność bierze górę. Ja robię coś przeciwnego: moje postacie są naprzód komiczne, stają się na chwilę tragiczne, kończą komicznie albo tragicomicznie.”

Tragikomedią albo „tragiko-komedią” – słowo i gatunek teatralny – wymyślił bóg transformacji, Merkury. „Nie usunę nawet jednego przecinka – mówi w Prologu do Plautowskiego *Amfitriona* – i zmienię wam tragedię w komedię.” *Lysej śpiewaczki* nazwał Ionesco „Anty-sztuką”, *Lekcję* – „Dramatem komicznym”. *Krzesta* – „Farsą Tragiczną”. Nicolas tłumaczy Policjantowi w *Ofiarach obowiązku*: „Dość już dramatu i komedii: tragedia przemienia się w komedię, komiczne jest tragiczne i życie jest uciechą... jest uciechą.”

„Tragikomediam” byłaby tu mylącym terminem. „Ucieszenie życie”, które zapowiada Nicolas Policjantowi, jest „tragiczną farsą”. Gdyby posłużyć się terminami arystotelesowskimi, groził towarzyszyć ma śmiech zamiast litości i współczucia. Bohaterowie tragiczni muszą naprzód po błazeńsku odegrać swoje role, aby potem to błazeńskie małpiarstwo sytuacji tragicznych ukazało nagle przez chwilę swoją dawną groźbę, którą jednak pokona śmiech, aby „życie stało się uciészne”.

Ionesco i w swoich rozważaniach i w sztukach, od *Krzesta*, *Kubusia* i *Amadeusza* po *Mordercę nie do wynajęcia* i *Króla umiera*, zamieniał śmieszność tragiczną w tragiczną śmieszność. W tej podwójnej wymianie teatralnych znaków i podwójnym odwróceniu kolejności tragicznego i śmiesznego wydaje się być zawarta formuła błazeńskości tragicznej. Najświetniejszą i być może najdawniejszą charakteryst-

tykę tego dramatycznego rodzaju podał mistrz Piotr Pigwa w *Śnie nocy letniej*, kiedy zwołał swoich aktorów na pierwszą próbę: „Do licha, nasza sztuka zowie się 'Najżałośniejsza komedia i najokrutniejsza śmierć Pyrama i Tyzbe'” (przełożył K.I.Gańczyńskiego).

Ten długi tytuł możemy jeszcze tak odczytać: „Najokrutniejsza śmierć Pyrama i Tyzbe” jest „komedią”, ale jest to komedia „najżałośniejsza”. Sztuczka odegrana przez rzemieślników ateńskich jest błazeńską parodią *Romea i Julii*, która nazwana została w jednym *quarto* „Najwspanialszą i najżałośniejszą tragedią”. Najokrutniejsza śmierć Romea i Julii i najokrutniejsza śmierć Berengera w *Mordercy nie do wynajęcia* i w *Ceremoniach* przemieniona została w komedię, ale są to komedie „najżałośniejsze”. „Weźcie tragedię – pisat Ionesco w *Notatkach* – przyspieszcie ruch, będziecie mieli sztukę komiczną... tragi-komiczną.” I jeszcze dobitniej: „Na tekście burleski – gra dramatyczna. Na tekście dramatycznym – gra błazeńska”.

Pierwsze wystawienia sztuk Ionesco w latach pięćdziesiątych budziły jednocześnie zachwyt i opór, porażenie i przerażenie swoją zadziwiającą nowością. Ale tą najbardziej zadziwiającą nowością „tragicznych fars” Ionesco był nawrót do najstarszej i długo najżywoźniejszej tradycji teatru komedycznego i do karnawalowego rytuału, w którym świat postawiony zostaje na głowie, żebrak zostaje obwołany królem, statek szalonych reprezentuje ludzką kondycję, błazny odprawiają ceremonie religijne i świeckie, śmierć w pochodzie masek kroczy przez ulice miast, umieranie zrównane zostaje z płodzeniem i „życie staje się uciészne”.

2 „Zaledwie mrok zdążył zapasć na wąskie, otoczone wysokimi murami ulice, kiedy światła zaczęły migotać w oknach i na straganach; wszędzie zaczęły biegać ogienki i cała ulica zajaśniała od zapalonych świec... Jakby każdy uważał za swój obowiązek wyjść na miasto ze świeczką w rękę. Ulubione przekleństwo Rzymian: *'Sia ammazzato'* rozlegało się na każdym kroku. *'Sia ammazzato chi non porta moccolo'*: 'Śmierć temu, co nie nosi świecy'. Powtarzają to każdemu, kogo spotkasz i starasz się zdmuchnąć jego świecę...”

Tak zaczyna się opis karnawału w Rzymie w roku 1788 w *Podróży do Włoch* Goethego. „Im głośniejsze krzyki *Sia ammazzato*, tym bardziej słowa te tracą swoje złowieszczę znaczenie i zapominasz, że jesteś w Rzymie, gdzie w każdym innym czasie poza karnawalem i z byle jakiej okazji przekleństwo to może się łatwo spełnić. Jak i w innych językach, kiedy często wyzwiśka i wulgarne słowa są wyrazem podziwu albo uciechy, tak i tego wieczoru prawdziwie *Sia ammazzato* jest zupełnie zapomniane i jest tylko pozdrowieniem, okrzykiem radosnym, dodatkiem do wszystkich żartów i komplementów... Młodzi i starzy, biedni, bogaci napastują się w tym radosnym podnieceniu. Wskakują na stopnie powozów i każdy świecznik albo papierowa latarnia jest przedmiotem ataku. Chłopak zdmuchuje świecę własnego ojca, krzycząc: *'Sia ammazzato il Signore Padre!* Na próżno starzec biega go za jego bezcelne zachowanie; chłopiec wle, że tego wieczoru wszystko wolno i przeklina swojego ojca coraz gwałtowniej.”

Pisał Ionesco w *Notatkach*: „Tylko jeden śmiech nie respektuje żadnego tabu... tylko poczucie komizmu ma w sobie siłę, która pozwala nam znieść tragedię egyp-

tencji." Jak przedtem u Ionesco „intuicja absurdu” tak i ta „tragedia egzystencji” są dżugiem splecionym modnej filozofii lat pięćdziesiątych. Ale prawdziwą „intuicją” Ionesco był nawrót do karnawałowego święta, w którym jak w dawnych Saturnaliach nasz współczesny Karnawał był obecny, ale maskom Śmierci towarzyszyły maski z Fallusami i w tym odwróceniu wszystkich znaków obrzęd żałobny przeistaczał się w obrzęd weselny.

„Maski i przebierańcy -- pisze dalej Goethe -- chodzą po ulicach Rzymu pod jasnym niebem w biały dzień. Każdego nieboszczyka odprowadzają do grobu religijne bractwa w kapturach. Mnisi w najróżnorodniejszych kostiumach przyzwyczajają oko do dziwacznych figur. Karnawał wydaje się tutaj trwać przez okrągły rok...” Amatorska grupa teatralna Nowego Orleanu pogrzeb wybrała niedawno jako temat baletu. Zawodzenia w rytmach bluesa stają się coraz bardziej ekstatyczne. Głosy wznoszą się do coraz wyższych tonów, jakby podnosiły się do góry razem z trumną coraz wyżej unoszoną na rękach. Z długich czarnych spódnic wychodzą nogi, jakby miały swoje własne życie. Jeszcze chwila i trumna kołuje falście w powietrzu jak roztaficerzone biodra i łona.

Nowy Orlean jest jednym z niewielu miejsc, w którym tradycje starego karnawału w pojednaniu seksu ze śmiercią zachowały swoją przejinującą symbolikę. Na bocznych ulicach, kontynuuje dalej Goethe swój opis rzymskiego karnawału, „pojawiają się młodzi chłopcy przebrani za kobiety, z których jedna wydaje się być w daleko posuniętej ciąży... Dostaje nagle gwałtownych bóli. Podsuwają jej krzesło i inne kobiety grają role położnych. Jęczy jakby w męce rodzenia i w następnej chwili ku wielkiej ucieśce widzów wydaje na świat jakiś stwór”

W najstarszych tradycjach Saturnalii tą „rodzącą kobietą” była Śmierć. „W słynnej kolekcji terrakot Kercha -- pisze Bachtin w *Rabeluis i jego świat* -- znajdują się figurynki staruch w ciąży. Co dziwniejsze, wszystkie te stare wiedźmy śmieją się... To śmierć w ciąży, śmierć, która rodzi. W ciałach tych starych bab nie ma nic ze spokoju, wszystko jest jak gdyby niedokończony i się ze sobą kłóci. Łączą w sobie starcze, rozkładające się i zdeformowane ciało z ciałem nowego życia, które jest poczęte, ale jeszcze nie uformowane.”

Stara kobieta, która wysiaduje, ciało, jak pisze Bachtin, „w podwójnym i przeciwstawnym sobie procesie obumierania i poczęcia”, śmierć w ciąży, te znaki Saturnaliów i Karnawału uosobniają trwałość i ciągłość życia, są całkowitym zaprzeczeniem okrutnej wizji ciągłości umierania u Becketta: „... jednego dnia urodziłam się, jednego dnia umrzełam, w tym samym dniu, w tej samej sekundzie... Rodzą siedząc okrakiem na grobie...”

Rodząca śmierć karnawałowej farsy nie jest młodą kobietą w ciąży z nową śmiercią, ale starą babą w ciąży z nowym płodem. Ciało, które zamiera, poczyna. Grozie towarzyszy śmiech. W karnawałowej symbolice jest to to samo ciało:

„Jedną z podstawowych tendencji w tym gruteskowym obrazie ciała -- pisze Bachtin -- jest ukazanie dwóch ciał w jednym: tego, które rodzi i umiera i tego, które się poczyna i wychodzi na świat. To jest właśnie ciało w ciąży i w akcie rodzenia albo przynajmniej ciało gotowe do zapłodnienia i poczęcia... W przeciwieństwie do współczesnych kanonów ciało to przedstawiane jest w bezpośredniej bliskości do narodzin i śmierci, do łona i grobu... Jednostka ukazana jest w stadium,

kiedy odbija się w nowej matrycy. Umiera i jest jeszcze nie gotowe. Ciało stoi na progu między grobem i kołyską... To ciało nie dokończone i otwarte, umierające, rodzące i rodzone, nie jest rozdzielone od świata, ale z nim przemieszane; z całym światem, ze zwierzętami, z przedmiotami. Jest obrazem kosmosu, uosabia całą materialną cielesność świata i jego wszystkich elementów. Jest inkarnacją, *ucieleśnieniem* życia w jego dolnym *stratum*, w jego najniższych przejawach, pochitanianiem i rodzeniem, cielesnością grobu i macicy, polem, które jest zasiane i na którym wschodzą nowe kiełki."

Ten opis karnawałowej wyobraźni i karnawałowej mądrości, który Bachtinowi posłużył do wprowadzenia w świat Rabelego, jest również zupełnie nieoczekiwanym i zadziwiającym w swojej trafności wprowadzeniem w świat *Kubusia, czyli Uległości i Przyszłości w jaju* Ionesco. Pozornie jest w nich powielony stary wzór komedii obyczajowej o dwóch rodzinach, nieśmiałym chłopcu, brzydkiej pannie, swacie, zaręczynach, ślubie i wyczekiwaniu na potomka. Ale ta „komedia naturalistyczna” zmienia się w karnawałową farsę i niemal w zwierzęcy foiwark. Wszystkie postacie są albo Kuby, albo Roberty, o tych samych twarzo-maskach. Wszyscy są ciałami niedokończonymi, rozkładającymi się i poczynającymi. Identyczność nawet cielesna zatracą się w pomieszaniu tych niewydarzonych ciał, ciał otwartych i rozmnożonych członków jak trzy nosy Roberty II i jej dziewięciopalczasta ręka.

KUBUŚ

Bogata jesteś, ożenię się z tobą... (Obejmuje ją bardzo niezręcznie. Całuje nosy Roberty II, jeden po drugim, podczas gdy wchodzi gęstego, bez słowa, Kuba Ojciec, Kuba Matka, Kubusia, Dziadkowie, Robert Ojciec i Robert Matka. Kolebią się w groteskowym, przykrym tańcu, tworząc rozlazłe koło, w którego środku tkwią, niezdarne objęci, Kubuś i Roberta II. Robert Ojciec wybija powoli, bezgłośnie takt rękami. Robert Matka, z rękami założonymi na karku, obraca się w kółko, uśmiechając się głupio. Kuba Matka ma twarz nieruchomą, ale wrusza groteskowo ramionami. Kubuś Ojciec podciąga spodnie, chodząc na piętach, Kubusia kiwa głową. Wszyscy kucają, tańcząc dalej... Ciemność gęstnieje. Na scenie – aktorzy, obracając się jeszcze, wydają dziwaczne mruknięcia, osobliwe jęki; postępują i kraczą. Jest coraz ciemniej. Widać jeszcze obie rodziny na scenie. Słychać ich zwierzęce poryki... Po chwili szare światło. Wszyscy zniknęli prócz Roberty, leżącej albo raczej przykucniętej, zagrzebanej pod własną suknią. Widać tylko jej bladą twarz z trzema nosami, wdzierającą się do widzów i jej dziewięć palców, zwijających się jak gady.

(przekład Jana Błońskiego)

W *Przyszłości w jaju* ten foiwark zwierzęcy zamienia się w kurnik. Roberta II znosi jaja. Jedno po drugim. Jest jajonośna. Rozmnażanie się w jajach nie ma granic i wszystkie jaja są takie same. W jajach jest przyszłość. Wylęgają się z nich Kubo/Roberty nie do rozróżnienia. Wszystkie takie same. Ale i w tym karnawałowym kurniku nieograniczonej płodności, zatraty osobowości i redukcji życia do jaja – śmierć jest obecna. Zanim jeszcze młoda żona zacznie znosić jaja do koszyka, Kuba Dziadek umiera. „Umiera”, to znaczy wchodzi do pustej ramy. Wyjdzie zresztą

na chwilę, żeby sobie trochę pospiewać - ku oburzeniu całej rodziny.

KUBA BABKA

Nie będziesz przecież teraz śpiewać. Jesteś martwy. Jesteś w żałobie.

KUBA DZIADEK

NIE... NIE... to nic nie szkodzi... Ja chcę śpiewać.

KUBA OJCIEC (do Dziadka)

Jeżeli nie uszanujesz własnej żałoby, kto ją uszanuje...

przekład Jana Błońskiego

Śmiech dla Freuda jest łapówką, jaką przyjmuje (i rozgrzesza się) cenzoł moralności za ujawnienie w żarcie drożnych chęci i zakazanych pożądań. Ale najbardziej „zakazana”, najostrzej tłumiona i spychana na samo dno świadomego jest groza śmierci i strach, że umrzemy. Wszyscy. Łapówką za jej ujawnienie jest śmiech. Archaična Śmierć brzemienna śmieje się. Karnawałowe narodziny niewydarzonego potwora z mężczyzny przebranego za kobietę i karnawałowe korowody śmierci budzą radosny śmiech. Groza ostatecznego zamienia się w uciśniony spektakl.

„Śmierć i agonía śmierci - pisze Bachtin - ciąży i poród są ze sobą intymnie i sekretnie splecione. Z drugiej strony wyobrażenia ich są ściśle związane ze śmiechem. Kiedy śmierć i narodziny ukazane są w ich komicznym wygięciu, skatalogiczne obrazy w najróżniejszych formach niemal zawsze towarzyszą zabawnym utworom stworzonym przez śmiech, aby zająć miejsce grozy, która została pokonana.”

Goethe z zadziwiającą przenikliwością dostrzegł w karnawale ten sam spłot wyobrażeń śmierci, seksu i narodzin odgrywanych na ulicach Rzymu w blażańskiej pantomimie. „W tych wszystkich nieposkronionych szaleństwach - pisze w swojej *Podróży do Włoch* - ukazane są najbardziej istotne sceny ludzkiego życia: wulgarny Pucineflo rozłącza przed naszymi oczami rozkosze miłości, którym zawdzięczamy nasze istnienie; Baubo profanuje na placu tajemnice narodzin i macie ryżnictwa, a zapalone wszędzie świece przypominają nam rytuał odprowadzenia do grobu.”

Pucineflo, który z dell'Arte zszedł na ulice, miał zawsze na oczach i czole czarną skórzaną maskę z wielkim zakrzywionym nosem. Maskę miał jak Arlekin, ale inny strój: biały, ogromny, ścięty u góry stożkowaty cylinder, białe spodnie i kaftan, garb na plecach i wypchany brzuch. Wielką „tragiczną farsą” jest cykl stu lawowanych rysunków Domenica Tiepoło zarytułowany przekornie i ironicznie *Divertimento per li Raguzzi*. Jest to wesoła i smutna, gorzka i drwiąca opowieść w stu scenach, od narodzin Pucinefla z indyjskiego jaja do jego wygnania z osiemnastowiecznej Wenecji.

Na karcie tytułowej tych *Rozrywek dla dżumty* stary Pucineflo ogląda w zamysleniu grób dla niego przygotowany, na którym leży jego blażański kapelus. Na ramieniu trzyma kukiełkę pięknej Wenecjanki, która uśmiecha się zalotnie, główkę ma odwróconą od grobu, w rękę ma wachlarzyk i buja swobodnie nóżkami wysuniętymi spod spódnicy. Być może symbolika tego rysunku ukazuje śmierć karnawału, kiedy nadchodził Wielki Post, a może jest to i burleskowa parodia pasyjnego widowiska, w którym Chrystus powstaje z grobu.

Pulcinello umiera, ale nigdy na zawsze. Na rysunku Piera Leone Ghezzi z początku XVIII wieku Pulcinello podnosi się niespodziewanie ze śmiertelnej pościeli ku przerażeniu otaczającej go chłopskiej rodziny. Na jednym z rysunków w *Divertimento* Tiepoli kościotrup Pulcinella w tym samym wielkim białym cylindrze wstaje z rokokowego grobu. Sana śmierć ma błazeńską czapę Pulcinelli.

W tym cyklu rysunków ulice Wenecji zaludnione są Pulcinellami. Pulcinelle pod murkami winnie dobierają się do dziewczyn, tańczą na wiejskich zabawach, polują na kuropatwy, jeżdżą w cytku na słonach, z zaciekawieniem przypatrują się wielebniom jak Pulcinelle garbatym, nawet od chłopów pobierają czynsze. Pulcinelle są nie tylko mężczyźni. Pulcinelle są i kobiety w tych samych maskach z zakrzywionym nosem. Pulcinelle mają żony Pulcinelle, i mają dzieci-Pulcineliątka, garbate i z czarnymi nosami od urodzenia.

Ale Pulcinello na rysunkach Tiepolo, i być może także w jakiejś zagubionej opowieści, jest nie tylko aktorem i bohaterem weneckiej komedii obyczajowej i karawajowej pantomimy. Pulcinello zamknięty zostaje do więzienia, gdzie odwiedza go inne Pulcinelle. Jak w scenach przedstawiających okrucieństwa napoleońskich podbojów u Calota i Goyi, i wśród tych *Rozrywek dla dziatwy* Tiepoli są obrazy rozstrzelania i wieszania. Pulcinello z przewiązanymi opaską oczami, ale dalej w masce z czarnym nosem, przywiązany jest do egzekucyjnego słupa. Inny Pulcinello już leży na ziemi rozstrzelany. Ale piłton egzekucyjny, który mierzy do Pulcinella z karabinów, składa się także z Pulcinellów w białych błazeńskich cylindrach. Pulcinello na innym rysunku bez białego cylindra, ale dalej w masce z czarnym nosem, wisi powieszony. Pod szubienicą stoi tłum Pulcinellów. Kat na koniu w białym cylindrze jest także Pulcinella. Pulcinello jest wieszany i wieszający, rozstrzeliwany i rozstrzelujący. Wojny i rewolucje są także tragiczną farsą, której aktorami/ofiarami są Pulcinelle. *Everyman* jest Pulcinellą i Pulcinello jest *Każdym*.

Wszyscy Berengerowie w sztukach Ionesco, w ostatnich – mający już tylko imiona, są sobowtórami Ionesco i jednocześnie są *Każdym*. W dwóch małych salkach, w podziemiu Frick Collection w New Yorku, gdzie wystawiono zimą 1980 roku po raz pierwszy *Rozrywki dla dziatwy* Tiepolo, zobaczyłem nagłe wielki teatr Ionesco.

Być może Profesor, który w *Lekcji* gwałci i morduje czternastą ze swoich kolejnych uczennic, powinien nosić czarną maskę Pulcinelli z zakrzywionym nosem i jego biały stożkowaty cylinder. Być może i Uczennica, która potrafi mnożyć wszystkie liczby w pamięci, ale nie potrafi odejmować, i którą nagłe rozbiłały zęby, powinna być nie tylko w błuzeczce i krótkiej spódniczce pensjonarki, ale także mieć maseczkę z czarnym zakrzywionym nosem.

Być może Stary i Stara w *Krzęstach* powinni nosić maski Pulcinellów, a już nie ma na pewno Mówca, który po samobójstwie Starych przychodzi obwieścić pustym krzesłom na scenie swoje ostateczne Poślanie, mógłby być Pulcinellą z garbem i grubym brzuchem. W białym kaftanie Poliszyneli, Panchów i Pierrotów; i wielkim cylindrze Pulcinellów rysowałby litery na czarnej tablicy i machał rękami jak głuchoniemy. W *Amadeuszu albo Jak się go pozbyć* wielkie nogi trupa coraz dalej i dalej wsuwają się do jadalni Amadeusza i Magdaleny. Trup jest być może zamordowanym kochankiem albo może Przyszłością. Ale jest także Śmiercią. Ale Śmierć

jest tylko nogami wielkiej Lukły i jak w karnawałowych wyobrażeniach jest „zabawnym potworem stworzonym przez śmiech, aby zająć miejsce grozy, która została pokonana”.

„Jaki kredyt mogę dać temu światu – pisał Ionesco w *Notatkach i kontrnotatkach* – w którym nic nie ma solidnego, który ciągle ucieka. Widzę Camusa, widzę Atlana i nagle już ich wleceć nie widzę. To jest niepoważne. Mam niemal ochotę się roześmiać. Mówiąc krótko, król Salomon już ten temat wyczerpał. I raz jeszcze: 'Król Salomon jest moim mistrzem.' I znowu: 'Król Salomon prowadzi nasz pochod i Hiob, Hiob współczesny Beckettowi.' Hiob i Beckett – przyrównanie jest oczywiste, ale jakie jest miejsce Salomona w tym szeregu? „Jestem najbardziej szalony z ludzi” – mówi Salomon u Eklezjasty. I to właśnie zdanie z Pisma z zachwytem cytuje Szaleństwo w *Pochwale głupoty* Erazyna.

W średniowiecznych facecjach i w średniowiecznych i wczesno-renesansowych moralitetach wielokrotnie występuje król Salomon. Mądrość jego jest zawsze błazeńska. Myślę, że tylko jeden Ionesco mógłby napisać tragiczną farsę – „dyskurs Salomona z Hiobem o śmierci”. Byłby to „Dialog umarłych”, w którym znowu odczytałby się śmiech Lukiana.

Śmierć, która przychodzi do Berengera albo raczej po Berengera w epilogu *Mordercy nie do wynajęcia* nie mówi ani słowa. Nie jest to już archaiczna Śmierć w ciąży, ani uczesna karnawałowa Śmierć, która rodzi nowy stwór, żeby pokonać groźbę. Nieprzekupna, nieodwołalna, nie znająca litości i miłosierdzia, za nic mająca wszystkie ludzkie honory i godności. Kiedy piętnastowieczny Everyman próbuje ją przekupić, odpowiada z oburzeniem:

Być tak nie może, człeku, żadną miarą
 Bogactwa wszelkie, złoto, srebro – marność!
 Niczym król dla mnie, papież albo cysarz.
 Wielkie prezenta łączo mogę dostać.
 Zechcę, a wszystkie święta będzie moim.
 Ależ uczciwa jest w moim rzemiośle.
 Nie licz na zwłokę, człeku...

(124 - 130)

W *Mordercy nie do wynajęcia* Śmierć milczy, ale ten średniowieczny dialog ze Śmiercią prowadzi sam Berenger: „Proszę pana, pan jest biedny, może pan chce pieniędzy? Mogę panu znaleźć pracę, dobrą posadę... Nie? Pan nie jest biedny? Pan jest bogaty? Aach, dobrze, pan nie jest ani biedny, ani bogaty! (*chichotanie Mordercy*).

Śmierć/Morderca według wskazówek scenicznych Ionesco ma być „cheriawa, mała, źle ogolona, ślepa na jedno oko, drugie ma błysk stal”. Wszystkie teksty średniowieczne mówią o brzydocie Śmierci. Ale w teatrze ludowym, w sycylijskiej *Opera dei Puppì* i w polskiej szopce Śmierć/kościotrup jest zawsze jednocześnie śmieszna. We włoskim teatrze marionetek długo drewnianą kością odpilowuje grzesznikom głowy, które potem łoczą się ze sceny do wldowni ku uciechu widzów. W polskiej ludowej szopce król Herod ma często głowę z brukwi, którą Śmierć ścina jak chłopka na polu. Śmierć u Ionesco tylko chichocze. Może i ta chichocząca

Śmierć, która topi swoje ofiary w sadzawce, *tueur sans gages* w Promiennym Mieście, gdzie nieustannie żniwu śmierci towarzyszą *cris de Paris* — mamrotania dozorczyń, śpiewki włóczęgów, zawodzenia przekupniów i straganiarek — mogłaby nosić maskę arlekinów z zakrzywionym nosem albo mieć białą umączoną twarz Pierrota. *Morderca nie do wynajęcia* jest także tragiczną farsą odegraną na ulicach nłasta.

„... umierzeni — powtarza Ionesco — To okropne i to nie jest poważne.” *Król umiera albo Ceremonie* są komedią o umieraniu. Jedyłą współczesną komedią o umieraniu i jedyłą komedią, w której bohater i główny aktor *umiera* od pierwszej sceny, zanim umrze w ostatniej. Gdyby Berenger umierał w *prawdziwym* łożku, oplakiwany przez *prawdziwą* żonę i *prawdziwą* kochankę, leczony i oprowadzany przez *prawdziwych* doktorów, gdyby *prawdziwa* pielęgniarka poprawiała mu *prawdziwe* poduszki, wątplę, czy na tej sztuce bylibyśmy w stanie wysiedzieć do jej końca. Ale Berenger, który umiera w komedii Ionesco, jest Królem.

„Król — pisał Stanisław Jerzy Lec w swoich *Myślach nieuczestnych* — jest nagł. Ale pod jakimż wspaniałym szatami!” Berenger umiera we wspaniałych szatach królewskich. Berenger jest Królem, królem z bajki, królem w pałacu, który dzieci układają z kart, Królem migdałowym, królem z karnawałowej przebieranki.

Berenger nie umiera. Umiera Król w otoczeniu Królowej Małgorzaty, która jest jego pierwszą małżonką i Królowej Marii, jego drugiej małżonki; lekarz, który się nim zajmuje, „jest zarazem chirurgiem, katem, bakteriologiem, astrologiem”. Berenger jest przebrany za króla, aby mógł umrzeć tylko jako król.

Król umiera albo Ceremonie. Przebranie żebraka za króla i bezczeszczenie przebranego jest jedną z najstarszych i najtrwalszych uciech karnawałowych. Być może w tej jarmarcznej ceremonii koronacji żebraka, żeby go potem osmagać i wypędzić, są jakieś ślady dawnego rytuału, jak przypuszczał Frazer, w którym sobowtór króla został raz do roku zabijany, żeby król po śmierci swego sobowtóra znowu „ożył”. W karnawałowej drwinie śmierć jest niepoważna. Mieszkańcy Wyspy Wiatrów w utopii Rabelego umierają pierdząc i dusze ich opuszczają ciała jako ten nieprzystojny gaz *via rectum*. W satyrze Seneki *Ludus morte Claudii* cesarz umiera w momencie defekacji.

Król umiera albo Ceremonie. W tej jedynej komedii o umieraniu, ceremonie umierania są karnawałowe. „... umrzemy. To okropne, ale to nie jest poważne.” Berenger jest sobowtorem Ionesco. Król Berenger umiera, żeby Ionesco mógł nie umrzeć.

3 *Łysą śpiewaczkę* i *Lekcję* wdziałem po raz pierwszy na ich warszawskiej premierze. Był to chyba rok 1956. Potem, za każdym razem, kiedy byłem w Paryżu, zachodziłem wieczorami do teatryku na rue de la Huchette. Zawsze grano tam *Lekcję* i *Łysą śpiewaczkę*. Ostatni raz byłem tam w roku 1965. Nie byłem pewien, czy Uczennicę gra ta sama aktorka? Wydała mi się bardziej dziecinna. Po spektaklu byłem u Ionesców: Zapisalem wspomnienie tego wieczoru w swoim dzienniku i potem wydrukowałem w *Aloesie*.

— Oczywiście, że Uczennicę dalej gra ta sama aktorka — powiedział Eugene. „*Lekcję*” będą grali jeszcze pięćdziesiąt lat albo siedemdziesiąt. Kiedyś Uczennica

umrze, naprawdę, nie na scenie. Pójdzie do nieba, święty Piotr groźnie spyta: „Coś ty robiła w życiu, moje dziecko?” – „Co robiłam? Miałam osiemnaście lat, kiedy zagrałam Uczennicę w sztuce pana Ionesco w teatrze na rue de la Huchette. Potem się zaręczyłam, grałam dalej Uczennicę, potem wyszłam za mąż, grałam dalej Uczennicę, potem byłam w ciąży, na trzy miesiące przestałam grać Uczennicę, potem urodziłam córkę, grałam dalej Uczennicę, potem się rozwiodłam, grałam dalej Uczennicę, potem znowu wyszłam za mąż, dalej grałam Uczennicę, potem byłam w ciąży, na trzy miesiące przestałam grać Uczennicę, potem urodziłam syna, dalej grałam Uczennicę, potem się rozwiodłam, dalej grałam Uczennicę, potem moja córka miała bliźniaki, musiałam wyjechać z Paryża na dwa tygodnie, potem znowu grałam Uczennicę.” – „Pan Ionesco – powie święty Piotr – już się nie może pani doczekać, jest na próbie „Lekcji”.

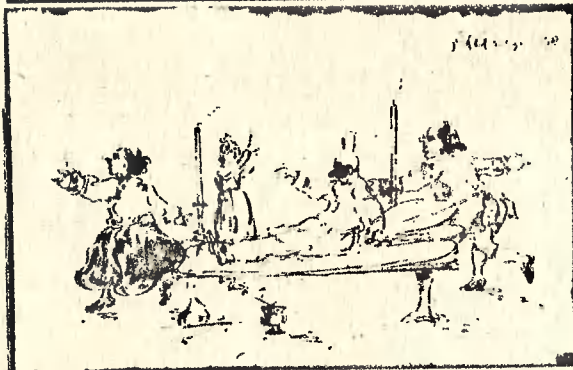
Ionesco popatrzył na mnie, zrobił się nagle bardzo smutny i powiedział zdławionym szeptem. -- To nieprawda, ja nie umię.

Kamienny Potok, maj 1981.

Wszystkie cytaty, o ile nie zaznaczono inaczej, w przekładzie autora szkicu.

„Ten nie-Arystotelesowski teatr ukazuje nam problem, którego Arystoteles nie przewidywał: litości i trwogi, dla których śmierć jest catharsis.” J.S. Doubrovsky, „Ionesco and the Comic Absurdity”, *Yale French Studies*, no 23 (lato 1959), str. 9.

Domenico Tiepolo's Pulcinella Drawings, Essay and Catalogue by Marcia F. Vetrotto, Indiana University Art Museum 1979.



Piero Leone Ghezzi Pulcinello wstaje z trumny.



Domenico Tiepolo Divertimento per li ragazzi (karta tytułowa)



Domenico Tiepolo Egzekucja

Josif Brodski

24 GRUDNIA 1971 ROKU

V.S.

W Wigilię każdy do żłobu się pchałby:
w delikatesach ścisk, błoto i zaduch.
Z powodu puszki kakaowej chałwy
organizuje obłędnie lady
tłum objuczony, grożąc samosądem:
każdy sam sobie królem i wielbłądem.

Torby, pakunki, worki, siatki, tutki,
czapki, krawaty, przekrzywione na bok.
Wszędzie woń dorsza, cynamonu, wódki,
świec, mandarynek, igliwia i jabłek.
Przez chaos twarzy i śnieżną zawieję
nie da się dojrzeć ścieżki do Betlejem.

Roznosiciele ubożuchnych darów
śpieszą się, skaczą do tramwajów w biegu;
w wyrwy podwórek wsiąka zwołna naród,
choć wie, że nie ma w stajence niczego;
nie ma bydlatek, żłobu, ni tej Pani,
nad której głową nimb złoty się pali.

Pustka. Lecz sama myśl o niej sprowadza
światelko znikąd. I światłość się jarzy.
Im potężniejsza jest Heroda władza,
tym większa pewność, że cud się wydarzy.
W tej zależności, trwałej niewzruszenie,
ma swój mechanizm Boże Narodzenie.

To właśnie Jego niechybne nadejście
świętują wszyscy, zestawiając razem
stoły. Choć gwiazdy w ciemnościach nikt jeszcze
nie wypatruje, widać już wyraźnie,
że zaność jakaś wśród ludzi rozbłyska,
jak rozniecone pasterzy ogniska.

Sypie śnieg; twarze jak płamki w zamieci.
Dymią fanfary koninów. Król Herod
pije. Kobiety ukrywają dzieci.
Kto zaś nadchodzi – dowiesz się dopiero:
nikt jeszcze nie wie, i gdy się to zdarzy,
może nie pozna nikt przybysza twarzy.

Lecz gdy w drzwiach twoich, otwartych w połowie,
z mgły i przeciągu i mroku gęstego
postać wyłania się, w chluscie na głowie,
wtedy i Dziecię, i Ducha Świętego
całym swym wnętrzem otulasz jak gniazdem;
spoglądasz w niebo — i widzisz ją: gwiazdę.

1972

przełożył Stanisław Barańczak

Wiersz zdjęty w całości przez cenzurę PRL z wigilijnego numeru
„Tygodnika Powszechnego” w 1980 roku.

Stanisław Barańczak

WPLYW JOSIFA BRODSKIEGO NA LITERATURĘ POLSKĄ

Zdaję sobie sprawę, że tytuł mojego wystąpienia jest, z dwojga złego, albo nieprecyzyjny, albo paradoksalny. Pojęcie „wpływu” zakłada pewien konkretny skutek stosunków, zaistniałych pomiędzy pisarzami, szkołami literackimi, czy literaturami; oznacza jakiś namacalny fakt życia literackiego, fakt dający się wykryć, potwierdzić i zanalizować. Typowa praca komparatystyczna zajmująca się „wpływem X na Y” traktuje o literackiej przeszłości – natomiast sam przedmiot mojego referatu zmusza mnie do wkroczenia w niepewną i nie budzącą zaufania domenę przyszłości literatury. Zamiast posługiwać się poręcznym terminem „wpływ”, powinienem być raczej wybrać określenie w rodzaju „przypuszczalne efekty obecności poezji Josifa Brodskiego w polskim życiu literackim” – zwrot niestety zbyt przy ciężki, aby używać go stale. Innymi słowy, osobliwość mojego wystąpienia polega na tym, że zamiast czasu przeszłego zmuszony będę posługiwać się czasem przyszłym czy może nawet trybem warunkowym – formami gramatycznymi, które przystoją bardziej krytykowi literackiemu niż historykowi literatury.

Powody, które mnie do tego skłaniają, są oczywiste. Poezja Brodskiego to żywy składnik najnowszej fazy literatury współczesnej i brak, jak dotąd, dostatecznego dystansu czasowego, aby móc ocenić skutki jej obecności – w formie tłumaczeń, rzecz jasna – w polskim życiu literackim. Obecność ta jest raczej procesem niż ustanowionym już faktem. Z drugiej strony, jest również czymś rzeczywistym i ważnym: nie chciałbym tu wyglądać na megalomana narodowego, ale o ile wiem, polscy tłumacze mają w krajach Bloku Wschodniego pierwszeństwo chronologiczne w odkrywaniu i popularyzowaniu dzieła Brodskiego. Pierwsze przekłady jego wierszy pojawiły się w polskich pismach literackich już w r. 1963; w 1979 dość obszerny ich wybór w formie książkowej (w przekładzie mówiącego te słowa) opublikowało niecenzurowane wydawnictwo „NOWA” i publikacja ta okazała się

sukcesem wydawniczym (około 5 tysięcy egzemplarzy sprzedano w ciągu paru tygodni: w przygotowaniu było poszerzone wznowienie, niestety jednak wydarzenia Grudnia 1981 wstrzymały je na nieokreślony – choć pewien jestem, że nie niekończący – czas).

Narastanie popularności Brodskiego w Polsce nie da się jednak przedstawić jako niezakłócony niczym proces. Historię recepcji jego twórczości można by, jak sądzę, podzielić z grubsza na trzy fazy. We wczesnych latach sześćdziesiątych zainteresowanie Brodskim stanowiło, jak może się wydawać z dzisiejszego punktu widzenia, zaledwie część składową ogólniejszej tendencji niektórych pisarzy i tłumaczy do popierania najmłodszej kultury rosyjskiej, która wyszła na powierzchnię w wyniku chruszczowowskiej „odwilży”. Po procesie leńingradzkim – stosunkowo głośnym w polskich kręgach literackich – tłumaczenie i publikowanie Brodskiego stało się aktem niemalże symbolicznym. Przekłady Andrzeja Drawicza lub Eugenii Siemaszkiewicz (później również Seweryna Pollaka i Wiktora Woroszyńskiego) w tajemniczość część publiczności rozumiała: zazwyczaj jako próbę obrony młodego poety i akt solidarności z nim. Oryginalność stylu Brodskiego była wprawdzie oczywista, niemniej jego polski debiut posiadał wyraźny polityczny podtekst. Ciekawe przy tym, że tłumacze nie natykali się jeszcze wtedy na jakies istotniejsze przeszkody ze strony polskiej cenzury: trudno byłoby to udowodnić, wydaje mi się jednak, że w latach sześćdziesiątych nie spotykało się jeszcze zakazów, zmierzających do wyeliminowania nazwiska Brodskiego z łanów polskiej prasy. Przypomina mi się z moich osobistych doświadczeń, że jeszcze w roku 1970 byłem w stanie opublikować swój przekład „Wielkiej elegii” w październikowym numerze pewnego miesięcznika literackiego, poświęconym skądinąd uczczeniu rocznicy Rewolucji 1917 roku.

Podobne do tej niespodzianki urwały się raptownie po roku 1972. Moment emigracji Brodskiego otwiera nową fazę obecności – w tym wypadku raczej nieobecności – w polskim życiu literackim. Można się domyślać – i tym razem nie ma na to dowodów – że cenzorom wydano najwidoczniej nowe rozkazy, gdyż cenzorskie ołówki zaczęły wykreślać z pism literackich nawet przekłady tak niewinnie metafizycznych wierszy Brodskiego jak np. „Mótył”. Podczas owej drugiej fazy zaledwie paru pismom w Polsce udało się ogłosić tłumaczenia niektórych wczesnych wierszy Brodskiego.

Początek fazy trzeciej wiązał się w gruncie rzeczy był możliwy dzięki jawisku, które w polskim życiu literackim stanowiło całkowitą nowość: mam na myśli stworzenie niezależnego, niecenzurowanego ruchu wydawniczego. Jeśli nie liczyć publikacji emigracyjnych, była to jedyna możliwa droga dotarcia z twórczością Brodskiego do polskiego czytelnika w późnych latach siedemdziesiątych. Jego wiersze zaczęły się pojawiać w niecenzurowanych pismach, zwłaszcza w kwartalniku literackim „Zapis”; wspomniany już przede mną wybór w formie książkowej, „Wiersze i poematy”, ukazał się w 1979 nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej „NOWA”. Sądzę, że wszystko to stanowiło przełom w recepcji Brodskiego w Polsce – pod dwoma przynajmniej względami. Po pierwsze, tłumacz lub krytyk współpracujący z niecenzurowaną prasą mógł odąd nie odczuwać zahamowań przy wybieraniu tego czy owego „niecenzuralnego” wiersza rosyjskiego poety jako

obiekty tłumaczenia czy krytycznego komentarza. Po drugie, również w sensie chronologicznym dorobek Brodskiego można było odąd przedstawić w wersji polskiej w sposób bardziej zgodny z rzeczywistością: pamiętajmy, że do końca lat siedemdziesiątych znane były jedynie niektóre z jego wcześniejszych wierszy, natomiast publikacja książkowa zawierała już także liczne utwory z tomów „Koniec прекрасной эпохи” i „Czas’ речи”. Oba te fakty wzięte łącznie wskazują, że w późnych latach siedemdziesiątych obraz Brodskiego w oczach polskiej publiczności czytelniczej stał się znacznie bardziej pełny i aktualny. Dodam jeszcze, że zmiany polityczne wynikłe po Sierpniu 1980 przyczyniły się do kolejnej niespodzianki: wiersze Brodskiego zaczęły się nareszcie ukazywać – po wieloletniej przerwie – w oficjalnych polskich pismach literackich (przynajmniej w jednym: „Literatura na świecie”) ogłosiła w całości cykl „Część mowy” w moim przekładzie. Dziś, rzecz jasna, ten ostatni etap historii recepcji Brodskiego w Polsce stał się również, niestety, fragmentem przeszłości (można tylko mieć nadzieję, że nie bez powrotnej).

Powróć do podstawowego pytania: jaki wpływ może mieć twórczość Brodskiego na współczesną poezję polską? Zamiast odpowiadać wprost, spróbujmy usłyszeć siebie, co właściwie w wierszach autora „Części mowy”, widzianych oczyma polskiego czytelnika, jest tak uderzająco nowe i inne. Konieczna tu będzie krótka wycieczka w literacką przeszłość. W XX wieku można zauważyć co najmniej dwa okresy, w których poezja rosyjska wywierała silny wpływ na pewne tendencje w literaturze polskiej. Okres pierwszy miał swój początek w latach 1917–1918, kiedy z jednej strony polscy futuryści koptowali i naśladowali Siewierjanina i Majakowskiego, z drugiej zaś skamandryci i zwolennicy Skamandra poświęcali wiele uwagi „odkrywaniu” (szczególnie poprzez przekłady Juliana Tuwima) rosyjskich symbolistów oraz Jostenina i znowu Majakowskiego. Okazja druga nadarzyła się wraz ze wzrostem „realizmu socjalistycznego”, narzuconego literaturze w pierwszych latach Polski powojennej; tutaj raz jeszcze Majakowski – lecz tym razem Majakowski z „Włodzimierza Iljicza Lenina”, a nie z „Obłoku w spodniach” – stał się przedmiotem kłutu i naśladownictwa. Znamienne, że począwszy od roku 1956 wpływ poezji rosyjskiej w Polsce w zasadzie się kończy (rosnąca popularność Mandelsztama odbiła się w poezji polskiej raczej jako temat niż jako wpływ: mam na myśli kilka wierszy polskich o Mandelsztamie lub poświęconych jego pamięci). Co więcej, dwudziestowieczna tradycja poetycka Rosji w powszechnym mniemaniu ustępuje osiągnięciom naszych rodzimych awangard – co jest zdecydowanie niesprawiedliwe w odniesieniu do okresu przedwojennego, ale wydaje się usprawiedliwione, gdy porównujemy nowatorów okresu powojennego, takich jak Herbert, Szymborska czy Białoszewski, z konserwatywnym i jałowością artystyczną takiego np. Jewtuszenki. Są oczywiście wyjątki: tak na przykład Gennadij Ajgi jest poeta wielokrotnie w Polsce tłumaczonym i powszechnie komplementowanym za oryginalność i śmiałość wyobraźni; ogólnie jednak rzecz biorąc, poeci polscy ostatniego dwudziestopięcioletnia w swoim własnym mniemaniu wyprzedzili znacznie swoich rosyjskich kolegów.

Jest to, jak się wydaje, nie tyle nawet kwestia pewnego psychologicznego odwetu (nie tylko każdy naród, ale i każda kultura musi mieć kogoś „gorszego” od

siebie, aby w ten sposób uwydatnić własne osiągnięcia), ile raczej wtórny rezultat faktu, iż od lat dwudziestych poezja polska pozostaje pod potężnym ciśnieniem awangardowego dogmatu nieustannego postępu. Zgodnie z tym dogmatem – wypracowanym teoretycznie zwłaszcza przez Tadeusza Pełpera i Juliana Przybosa – ciągle zrywanie z tradycją stanowi podstawowy obowiązek artysty: każdy wiersz powinien kreować „nową sytuację liryczną” (określenie Przybosa), co oznacza, że w praktyce każdy wiersz musi wynajdywać swoje własne reguły strukturalne. Ten, a także inne dogmaty (choćby zasada ścisłego rozdziału między rodzajami lirycznymi a epickimi) sparaliżowały rozwój poezji na przeciąg kilku dekad: oprócz pojedynczej postaci Czesława Miłosza nie było w gruncie rzeczy szkoły poetyckiej, która umiałaby skutecznie im się przeciwstawić.

W tym momencie pojawia się Brodski: poeta z Związku Sowieckiego, ale w żadnym wypadku nie poeta sowiecki; przeciwnie, poeta przez swoją ironiczną niezależność bliski postawom, które przeważały w literaturze polskiej lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Zarazem zaś poeta, który świadomie wybrał model twórczości całkowicie przeciwstawny awangardowemu dogmatom w zakresie stosunku do tradycji. Inaczej mówiąc, poezja Brodskiego może być widziana jako pociągający przykład wyjścia z podstawowego dylematu: jak być poetą nowoczesnym a jednak nie zrywać z tradycją, jak utrzymywać bliskie związki ze śródziemnomorską przeszłością kulturalną a jednak być nowatorem wyrażającym ducha własnej epoki. Aby to ująć jak najprościej: poezja Brodskiego potrafi być takim właśnie atrakcyjnym przykładem, ponieważ demonstruje przekonywująco, iż nowoczesność oznacza dzisiaj, paradoksalnie, anty-awangardowość. Zrywając z awangardowymi przesądami, Brodski nie cofa się ku temu czy innemu rodzajowi poetyckiego konserwatyizmu, lecz właśnie posuwa się naprzód, w stronę zwiększonej wolności poetyckiej. Atakując np. dogmat uświęcający konieczność ciągłego zrywania z tradycją, może z całą swobodą odwoływać się do tej ostatniej ileć co wydaje mu się to stosowne (za pośrednictwem aluzji literackich, ukrytych cytatów, parafraz itd.). Atakując – również w sensie praktycznym – dogmat niezbędego rozdziału pomiędzy monologiem lirycznym a epicką narracją, może swobodnie mieszać gatunki, posługiwać się narracyjną anegdotą lub opisem ileć co przedstawiana rzeczywistość tego wymaga, wskrzeszać gatunek „długiego poematu”, który wydawał się już na zawsze wyklęty przez teoretyków awangardy. Ogólnie rzecz biorąc, Brodski podsuwa polskiemu poecie możliwość odrzucenia utopijnego zdłużenia o ciągłości postępu; zamiast wynajdywać nowe reguły strukturalne dla każdego wiersza, wybiera raczej nowe zastosowania sprawdzonych już chwytów, mnożąc je i igrając nimi aż do wyzyn wirtuozerii (rozmałość form rymów i układów stroficznych wydaje się pod tym względem szczególnie pouczająca).

Czy wobec tego Brodski jest klasycystą? Oto pytanie nader drażliwe, jako że właśnie w polskiej poezji lat siedemdziesiątych problem klasycyzmu stał się nieoczekiwanym przedmiotem zażartych dyskusji. Sprawa polega na tym, że w gruncie rzeczy istnieją w poezji polskiej dwie szkoły „klasycystyczne”, zwykle mylone ze sobą nawzajem ale w istocie mające niewiele wspólnego. Jedną z tych dwu szkół, reprezentowaną najlepiej przez poetę i teoretyka Jarosława Marka Rynkiewicza, można by określić jako „klasycyzm zgody”: wynika on z przestanki, iż cała kuit-

turalna przeszłość Europy stanowi nasze niepodzielne dziedzictwo. W konsekwencji, w tego rodzaju koncepcji nie istnieje pojęcie anachronizmu: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość współistnieją ze sobą w jednym ahisterycznym królestwie kultury. Logicznie rzecz biorąc, jedyną możliwą metodą artystyczną tej szkoły powinna być – i bardzo często jest – metoda imitacji.

W przeciwieństwie do owej szkoły, druga – reprezentowana przede wszystkim przez Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta – dałaby się określić jako „klasycyzm sceptyczny”. Jest to również „poezja kultury”, poświadczająca rolę naszego kulturalnego dziedzictwa, jednocześnie jednak podkreśla ona paradoksalnie całkowitą niezbieżność dwudziestowiecznych doświadczeń ludzkości ze wszystkim, cokolwiek ta ostatnia doświadczyła wcześniej. W rozumieniu tej szkoły poetyckiej humanistyczna tradycja ubiegłych stuleci jest dla nas ważna i przywoływać ją należy, gdyż to daje nam stabilny system wartości; z drugiej strony, ów system wartości należy bezustannie konfrontować ze świadomością współczesną. Ta właśnie konfrontacja wytwarza główną metodę artystycznego „klasycyzmu sceptycznego” – ironię.

Wydaje się najzupełniej oczywiste, że jeśli nawet Brodski jest klasycystą (co do mnie, uważałbym go raczej za dwudziestowiecznego poetę barokowego), reprezentuje ironiczny punkt widzenia „klasycyzmu sceptycznego”. To właśnie nadaje mu tak wielką wartość w oczach poety polskiego, który czyta Brodskiego i odbiera jego poezję jako kolejny – ale wysoce oryginalny – głos w debacie na temat roli kultury w świecie współczesnym. Brodski proponuje nową wizję poety jako jednostki, która nie potrafi być obojętna, ale nie chce być niewolnikiem żadnej wąskiej ideologii; która czuje przywiązanie do tradycji europejskiej, ale jest w stanie uświadomić sobie jej bezradność w dzisiejszym zagrażającym świecie; która objawia elastyczność w wyborze formy, ale gdy ją już wybierze, z niezwykłą precyzją dotrzymuje wierności jej wewnętrznym zasadom. Czy wszystko to jest istotnie tak bardzo nowe na tle polskiej poezji współczesnej? Myślę, że twórczość Brodskiego, dostępna w przekładach, może być pod każdym z wymienionych względów porównywana przez czytelnika polskiego z jedną tylko rzeczą: z poezją Czesława Miłosza. Nie jest rzeczą przypadku, że gwałtowny wzrost popularności tego ostatniego w późnych latach siedemdziesiątych zbiegł się z wybitnie przychylnym przyjęciem poezji Brodskiego na podziemnym polskim rynku literackim. Wpływ obydwu poetów może być różny co do skali, jest jednak podobny co do charakteru.

Alicja Iwańska

MIASTO „W”

Zdziczały
ale czasem
wybiegają z puszczy.
Ile ich?
Nie wiem, nie wiem
i nie będę liczyć.
Czy naprawdę dziczają wszystkie?
Nie, te dwa,
te puszyste
nie umiały dziczyć
i po piasku biegają
po śladach
tamtych ludzi.
Węszą, liżą, zbierają.
A ta pani zielona
też coś zbiera i chowa.
Mówi że chce im oddać,
że dobiegnie,
dowiezie
do nich, do miasta „W”.
Nie dobiegniesz do miasta
bez kompasu
i wiosel.
Do miasta płynąć trzeba
i nie dopłynął
nikt.
Bo już od kontynentu
oderwał się półwysep,
już wyspą
jest półwysep.

O wyspie
nie wie
nikt.
A ci dwunożni
w czapkach?
Czy w czapce
można zdziczyć?
Czy wiedzą?
Czy powiedzą?
Czy zieloną skierują
na wody spokojniejsze
płynące
w stronę wyspy
na której
miasto „W”?

1981

Nakładem PULS Publications



Cena £3.75 + przesyłka

Witold Sułkowski

NOTATNIK AMERYKAŃSKI

Ogromny odrzutowiec „Lufthansy”, który wioził nas do Ameryki, wypełniony był w całości Polakami i Afganami. Ci ostatni przeważnie w wielkich rodzinach z siwym patriarchą w centrum. Kobiety, niektóre wielce urodziwe w przepięknych orientalnych strojach. Poszczególne grupy Afganów widocznie pochodzące z rozmaitych plemion porozumiewają się rosyjsku. Język Wielkiego Brata dominuje w samolocie z uciekinierami spod jego niedźwiedziej łapy.

I ja próbuję porozmawiać z siedzącym za mną młodym wojownikiem. Nie wiem, który z nas gorzej mówi po rosyjsku. Tak, słyszał o „Solidarności”, a i ja wiem coś niecoś o wojnie w jego kraju. Trochę opowiada o przedzieraniu się naciśkanego ze wszystkich stron oddziału obciążonego kobietami, dziećmi i starcami do Pakistanu. Potem ja opisuję mu polską sierpień i grudzień. Muszę być szczególnie komunikatywny, bo w pewnym momencie pyta: „a jak radzicie sobie z helikopterami?” Od nowa zaczynam opowieść o dziwnej wojnie, na której rzadko świszczą kule, a często łomocą pały. Zrozumiał z tego tyle, że u nas śmigłowców nie stosują. – Szczęśliwo – zazdrości. Stara to prawda, że do szczęścia niewiele człowiekowi potrzeba.

Na tle wyrazistych Afganów Polacy są prawie niewidoczni. Znać po nich silne staranie, by uchodzić za turystów – może Niemców, może Francuzów albo innych Holendrów. Myny, jakby całe życie nic, tylko byli obsługiwani przez przystojne stewardessy. Styl pana na delegacji, który postanowił spędzić „niezapomniane momenty” w knajpie pierwszej kategorii i rznie stałego bywalca. Dopiero na nowojorskim lotnisku, gdy każdemu z nas przyklejają do kłapy papierek z napisem „refugee” (uchodźca), abyśmy nie zginęli, wyjdzie szydło z worka i okaże się, kto jest kto.

Z bezbarwnej masy rodaków wyławiam kilku wyróżniających się znaczkami „Solidarności”. Rozmowy mniej wlejęj takie: w Hawle potwornie – blija, Nowy Łupków – przez całą Polskę na wtdzenia, męka dla rodzin, w Wierchowicie – wielkie pałowanie, w Łowiczu to, w Załężu tamto. Gryps; kipsisz, klawisz, atanda. Słowa ongiś egzotyczne, dziś bardziej pospolite w kraju niż słowo – buty, czy słowo – masło. I wreszcie, któryś z kolegów z okazji opowieści o jakiejś przepychance

z klawiszami przy obchodach kolejnej „miesięcznicy” trzynastego grudnia: „zagroziłi, że jak nie zejdzlemy ze spacerniska to sprowadzą helikopter.” Więc jednak Nowa, ulepszona wersja gołąbka pokoju na polskim niebie, na razie in potentia.

Tę dla naszych pogaduszek jest niemy film o perypetiach miłosnych jakiegoś senatora, Niemy, bo aby słyszeć dialog trzeba kupić słuchawki za dwa i pół dolara. Póki co, nowy świat wabi nas bezdźwięcznie rybimi ustami senatora i jego ele-ganckiej lecz wielce zatroskanej rodziny.

Na lotnisku szybko segregowanie naszego stada przez sprawnych, bezosobowych urzędników imigracyjnych. Ci do Chicago, tamci do Kalifornii, inni do Detroit. My i jedna rodzina afgańska lecimy do Waszyngtonu. Gromadka uchodźców rozpusza się w ogromie Ameryki.

Takich odrzutowców ląduje tu kilka dziennie. *Boat people* z Wietnamu, Laosu i Kampuczy. Kubańczycy. Spodziewana fala Rumunów. Ludzie z Nikaragui, Etiopczycy. Wnosimy w tutejszy świat wiedzę o wszystkich odmianach najlepszego z ustrojów, który może stać się przyszłością całej ludzkości. Czy nasza wiedza i nasza wola walki przydadzą się na coś tutejszemu społeczeństwu?

Co jest w Ameryce? Wszystko. Rzeczywiście, dla przybysza znad Wisły rozinność tego świata, jego bogactwo materialne są czymś przytłaczającym. Wszystkie zmysły ulegają przejściowemu rozregulowaniu. Stąd widać dopiero nasze ubóstwo. Ale też i naszą zgrzebną przytulność. U nas trochę jak w wiejskiej izbie za piecem — miękko i ciepło. Tyle, że muchy trochę dokuczają, no i policja czasem wyciągnie poniekąd którego za kołnierz na mróz. Tutaj jak w pałacu. Łatwo pośliznąć się na posadzkach, jeszcze łatwiej zabiłdzić w korytarzach.

Ale najwięcej jest w Ameryce wolności. Najbardziej standartowy dialog z takim przybyszem jak ja:

— Czy jesteś szczęśliwy, że znalazłeś się w Stanach Zjednoczonych?

— Tak. (grzecznościowe)

— Och, tak, (z ogromnym przekonaniem) przecież tutaj mamy wolność.

Ponieważ takich rozmówek odbyłem ponad pięćdziesiąt, nabrałem niejakiego podejrzenia. Sprawia to wszystko wrażenie odkołyskowego prania mózgu. Trzeba bowiem sobie powiedzieć, że ludzie tutejsi zazwyczaj trzymają się dość niewolniczo swoich nieatrakcyjnych posad, przestrzegają nudnych i sztywnych kanonów zachowań w życiu rodzinnym i publicznym, a mechanizmy masowej konsumpcji sterują nimi w sposób niemal zupełny. Rzecz w tym, że oni nie widzą własnych uwarunkowań, a przybyszowi z zewnątrz rzucają się one w oczy natychmiast. Jeśli więc my, poddani komunistycznemu i oni obywatele tzw. wolnego świata jesteśmy niewolnami to w czym leży różnica? Odpowiedź musi być dość trywialna. To nie to samo, czy jest się poganiąnym przez kij, czy przez marchewkę.

Widziałem w Waszyngtonie ludzi naprawę wolnych. Obdartych włóczęgów wylegujących się na skwerekach, skwapliwie wymijanych przez spieszących się, zaafektowanych urzędników. Przytuleni do starych gazet, albo papierowych worków służących im za posłanie, czasem samotnie, czasem po kilku przeżywają sny na jawie w swoim naprawę wolnym świecie. Czasami wychylają się z niego prosząc o pa-

plerosa. W Ameryce to naprawdę w y b ó r, a nie żadne tam „uwarunkowanie społeczne”. Że płaci się za to nędzą? A kto powiedział, że wolność jest za darmo? Czy są tu inne rodzaje wolności? Pewno tak, tylko że ten akurat leży na ulicy.

A swoją drogą, owo powszechne, tępe przekonanie o panującej tu wolności jest jak każdy slogan szkodliwy dla postępu społecznego. Utrudnia rozpoznanie własnych zniewoleń i przeciwstawienie się nim. Powiedzmy więc raczej, że Stany Zjednoczone są krajem, gdzie poszukiwanie wolności nie jest zabronione i represjonowane. To i tak wiele.

A ty pielgrzymie polski? Wyszedłeś właśnie spod władzy kija, a nie wmusztrowano cię od dzieciństwa w ideologię marchewki. Jesteś bardziej wolny od większości tubylców. To wcale nieprzyjemne, prawda? To nawet bardzo boli. Chciałoby się gorączkowo dać nura w jakąś bezpieczną klatkę. Ale wytywaj w tym bólu. Jest on święty. Z niego rodzi się niepokój świata.

Kto mówi o inflacji w Polsce? Tak naprawdę jest ona tutaj. Niektóre ceny: paczka papierosów - 300 złotych, kilogramowy kurczak - 500 złotych, jajko - 40 złotych, chleb - 200 złotych, wódka - 800 złotych, mleko - 60 złotych litr. Najniższa stawka za godzinę pracy - 1400 zł., przeciętnie - 3000 zł.

Oredzie biskupów rzymsko-katolickich w sprawie zaprzestania zbrojeń nuklearnych poruszyło opinię publiczną. Jego treść powtarza wszystkie znane argumenty pacyfistów i sprowadza się w gruncie rzeczy do proklamiowania jednostronnego rozbrojenia Stanów Zjednoczonych. Sprawa wałkowana szeroko w telewizji i w prasie spotkała się, trzeba to przyznać, ze zdecydowanym oporem „miłczącej większości”, która nagle masowo przemówiła.

Z wypowiedzi szarego telewizora: „a czy biskupi potrafią, gdy zajdzie potrzeba, pójść w ślady Dawida i ustrzelić Goliata z procy?”

Wiele tu jeszcze zdrowego rozsądku i chęci oporu. Ale mnóstwo też enuncjatyw tego pacyfizmu. Najwięcej oczywiście w kręgach postępowo-intelektualnych, do których tutejsza hierarchia kościoła rzymsko-katolickiego odczuwa nieprzeparty pośląg. Zdaje się, że tylko twarde papieskie „nie” w sprawie przerywania ciąży stoi na przeszkodzie pełnej symbolizacji.

Niedawno w Moskwie ujawniła się kilkuosobowa grupa profesorów - pacyfistów. „Prawda” nazwała ich bandą zbroczonych zwyrodniałców na usługach amerykańskiego imperializmu. To się nazywa język. Można przewidzieć, że po profesorkach nie zostanie nawet mokry piława. W Polsce Świadkowie Jehowy, którym religia zabrania służby z bronią w ręku, byli karani trzema latami więzienia. Potem ponowny pobór do armii, ponowna odmowa i następnie 5 lat pudła w warunkach recydywy. Wreszcie przedmiot sprawy wygasł, bo żadna komisja wojskowa nie zakwalifikuje inwalidy po ośmioletniej obróbce penitencjarnej. Jednak uparci ludkowie wygrali swą wojnę z wojną i teraz mogą odstąpić woju przy kuchni, albo naprawianiu torów.

Tutejszy pacyfizm nic nie kosztuje. Przynosi rozgłos, a niekiedy pieniądze.

Idea jest przepięknie prosta. Oczywiście pokój jest „cacy”, a wojna „be”. Po cóż wiedzieć więcej? Ruch pacyfistyczny fruwa sobie beztrudnie ponad realiami świata. Tymczasem jest w Moskwie sztab, który wlicza ten ruch w swoje wojenne aktywa równie poważnie jak czołgi, samoloty i rakiety. Cała Ameryka zalana jest filmami o Wietnamie w duchu samobiczowania. Nie zdziwiłbym się, gdyby tę produkcję (zresztą niezwykle tandetną myślowo) inspirował dyskretnie odpowiedni wydział KGB. Reagan, który w sprawach obronności kraju zachowuje zdrowy rozsądek, pomawiany jest o prymitywizm. I ja dzielę jego los.

— Jest Pan prymitywnym antykomunistą — słyszałem.

Jestem. A ty głupcze nie wiesz, że to komuniści w mówili ci, iż wszelka polemika z nimi, wszelka krytyka ich teorii i poczynań, winna być subtelna i na poziomie. Oni sami oczywiście zwolnieni są z tego obowiązku. No, bo i po co? Wszyscy ci intelektualisci, zarówno papuczycy jak i krytykanci, to w końcu banda zbroczonych zwyrodniałców mniejsza z tym na czyich usługach.

Na kolejny raz zadane pytanie, czy jestem szczęśliwy, że znalazłem się w Ameryce odpowiadam: „nie, bo nie ma tu wolności”. Rozmówca nienieje, potem mamrocze coś w rodzaju „spieprzaj do swojej Polski”, i odskakuje w drugi kąt sali (rzecz dzieje się na jakimś przyjęciu). Jego oblicze przez dłuższy jeszcze czas wyraża pełną destrukcję wszystkich funkcji mózgowych. Czuję się duchowo przewentylowany jak po udanym seansie psychoterapeutycznym, ale i podle zarazem. Coś, jakbym zalenacka znokautował faceta wyciągającego rękę na powitanie. Nie przewidziałem siły efektu.

W 15-tym „Pulsie” polemika Kadenacego z Korzeniowskim. Kawalek prawdziwej Polski. Pierwsze „Pojedynki”, które naszemu piśmieniu naprawdę się udały. Korzeniowski broni swego prawa do bryknienia w bok, od czadu polskości, od skrepowania zbiorowości, które — trzeba to powiedzieć — jest u nas bardziej dotkliwie niż w jakiegokolwiek innej części globu. Kadenacy stoi na straży wartości wspólnych, czyli po prostu mitu polskiego. Lecz prawdą jest, że mit ten jest naszą jedyną, dotychczas skuteczną bronią. Jeśli nawet „Solidarność” przegra swoją stawkę w planie politycznym, to już w tej chwili widać, że zwyciężyła w planie mitologicznym i tym samym oddaliła perspektywę wchłonięcia nas przez obcą, azjatycką cywilizację o kilka pokoleń. A gdyby wchłonięła się dokonano, następny Korzeniowski musiałby się odbijać od zupełnie innej trampoliny. Szczytami do zdobycia dla pisarza z prowincji imperium byłaby Moskwa i Leningrad. Z drugiej strony Polska ze swoim bagażem powinności stanowi niemałe piekło. Uciec z niego, spojrzeć na siebie i świat i innej zgoda perspektywy, to wręcz obowiązek artystów, którzy czują w sobie dość siły na taki eksperyment z własnym duchem. Inaczej polska mitologia rychło przemieniłaby nasz kraj w skansen, który być może nawet Sowleci dsiłby zwiedzać swym postępowym przyjacielom w świecie, jako przykład opłakanych skutków umysłowych upartego konserwatyzmu.

Na drodze wyzwalania się od Polski najśmielej poczynił sobie Gombrowicz.

Uczył z tego wielki uniwersalny temat. Tadeusz jest jego uczniem. Nie robiłbym mu z tego zarzutu. Szlak, którym kroczy nie jest bynajmniej tłumny. Wielu jest naśladowców formy mistrza, mało kto podejmuje jego zasadnicze idee. Korzeniewski jest tu pionierem.

Postawy, jakie zarysowali Korzeniewski i Kadenacy wykraczają oczywiście poza sprawę literatury. Dotyczą każdego myślącego Polaka, a już w szczególności emigranta. Łatwo nam tutaj zeslizgnąć się w bezmyślne dorobkiewiczowstwo, albo w głupawo-izawą polskość à la „Mazowsze”. Materjalne atrapy rzeczywistego życia. Autorzy proponują prawdziwe, wewnętrzne spojrzenie na problem Polski w każdym z nas.

12-go grudnia mam przemówić w Waszyngtonie na wiecu „solidarnościowym”. Chciałbym wyrazić myśl, że nasza wojna ma znaczenie powszechne. W Polsce przebiega w tej chwili linia frontu w walce o obronę wartości świata zachodniego. Klęska narodu polskiego (mam tu na myśli wyczerpanie jego zdolności samoobronnych) przesunęłaby ów front nad Atlantyk. Mam na to cztery minuty w obcym języku.

Józef Mackiewicz

LEWA WOLNA KONTRA ZWYCIĘSTWO PROWOKACJI

Sztuka tworzona przez artystów-emigrantów tylko w niewielkim stopniu jest sztuką... angażującą się przeciwko sytuacji ideowej i ustrojowej, panującej w Polsce... Z wyjątkiem książek Józefa Mackiewicza, w innych dziełach nie znalazła swego wyrazu żadna, zasadniczo nam wroga postawa.
Rozgłośnia Kraj, Warszawa, 20 lutego 1958

Tezy Mackiewicza wyrażają chęć zatrzymania zegara historii.
Z przemówienia premiera Józefa Cyrankiewicza na Wawelu, „Trybuna Ludu”, 24 listopada 1966

Tematyka [jego] prozy czy esejów i polityczne uwikłania autora nie pozwalają na przedstawienie [jego] książek czytelnikowi w kraju.
Michał Sprusiński, „Polityka”, Warszawa, 28 marca 1981

Zgroza, z jaką wymawiane jest w Polsce nazwisko Józefa Mackiewicza, wyjdzie się przyszłemu pokoleniom śmiechu i niezrozumiałości... Jego antykomunizm uczynił z niego w PRL „non-person”.
Czesław Miłosz, „The History of Polish Literature”

Cena każdej książki £7-95 plus £0-80 opłata pocztowa

K

Kontra 28 Lanacre Avenue London NW9 5FN 01-200 6125

Nakładem PULS Publications



Niepodległość i Socjalizm 1835-1945
Audycje radiowe

**ADAM i LIDIA
CIOŁKOSZOWIE**

Cena 23.00 + przesyłka

АЛФАВИТНЫЙ СПИСОКЪ**КНИГАМЪ****НА ПОЛЬСКОМЪ ЯЗЫКЪ,****ЗАПРЕЩЕННЫМЪ ДЛЯ ПУБЛИКИ И БЕЗУСЛОВНО,**

по представлению Комитета Цензуры Иностранной, утвержденнымъ
Главнымъ Управлениемъ Цензуры и отчасти по совету тому уполномоченнаго
сего Управления, съ 1830-го по Декабрь мѣсяць 1832-го года
включительно.

**ЧИСЛО ЗВАНІЙ КНИГЪ; — ИМЕНА СОЧИНЕНТЕЛЕЙ И ЗАГЛАВІЯ КНИГЪ, СЪ ПОКАЗАНІЕМЪ ЧИСЛА ЧАСТЕЙ,
СТРАНИЦЪ И ФОРМАТА ИЗДАВІЙ. — ТАКЖЕ ГОДОВЪ, ВЪ КОТОРЫЕ КНИГЕ ЗАПРЕЩЕНЫ И НУМЕРОВЪ
ЦЕНСОРСКИХЪ ОБЪ ОБИХЪ ДОНЕСЕНІЙ.**

B

18. **Brodziński.** O narodowości Polaków, czytano na sezyi Towarzystwa Przyj. iól 3. dnia 3 Maja 1831 roku przez Kazimierza *Brodzińskiego*. 22 stronnic in 8°.

Sup. z. n. 1831. N° 779.

19. **Bronikowski.** Grammatyka języka polskiego podług nowego układu przez Xawerego *Bronikowskiego*. Paryż. 1848. — 8 naučnyepoučabnyx a 237 ryčeponau, stronnic in 12°

Sup. beztytułu 1851. N° 1031 (1850).

20. **Brose,** Obraz niniejszego społecznego Europy stanu w całej jego obszerności, oraz myśli do wewnętrzney poprawy. Uzyli odpowiedź na zapytania: Jakimi ludziami i narody bydź powinny? Jakimi są teraz w Europie? Jak do tego, czem bydź powinny, zbliżyć się mogą? Przez Karola *Brose*, Nauczyciela prawa w Getyndze, przekładał z języka niemieckiego Józef *Bychowicz*, były Kapitan W Warszawie. 1816. — XIII i 453 stronnic in 8°.

«Pró done my besł, let abler men do more.»

«Czyniłem podług możności, zdołaięsi niech więcej czynią.»

Sup. z. n. 1810. N° 412.

Brozury *Emanuela Jastrzębzyca*. CM, *bułke Jastrzębzyce*.

21. **Brun.** Dzieła przez Autora *Bruno*. W Wroclawiu. 1852. Tom I. *Bruno*, romans. — *Sonia*, powieść. — *Sofly*, powieść. 181 stron. Tom II. *Paladyn Czorc*, powieść. — *Topir-Gora*, powieść. — *Zawierucha*, powieść. 135 stron. Tom III. *Sniełki* — *Podwauki* — *Dunłki* — *Fantazyje* — *Wiersze różne* — *Chwały i Zale*. VII i 191 strop. in 8°.

Sup. z. n. 1852. N° 316

22. **Byron.** Poezye Lorda *Byrona* tłumaczone: Giur przez Adama *Mickiewicza*, Korsarz przez Edwarda *Odyńca*. Wydanie *Alexandra Jelowickiego*. W Paryżu. 1835. — XVI i 202 stronic in 8°.

Зап. л. н. 1839. № 463.

G

74. **Górnicki.** Mowa podczas żałobnego nabożeństwa za duszę s. p. *Klementyny z Tańskich Hoffmanowej* miana w Kościele OO. Reformatorów w Krakowie dnia 27 Listopada 1845, przez Księdza *Leopolda Górnickiego*. Kraków. 1848. — 16 stronic in 8°.

Зап. л. н. 1851. № 1086 (1850).

75. **Górnicki.** Rozmowa o Elekcji, o wolności, o prawie y obyczajach polskich. Podczas Elekcji Króla Jego Mci *Zygmunta III* czyniona. Pisana przez *Lukasza Górnickiego*, — wydana przez *J. Z. R. K.* — W Warszawie (Bezъ oznaczenia года печатанія). 173 stron. (исчисленныхъ) in 4°.

Зап. безчисленно 1850. № 79.

76. **Gospodarza Jędrzeja** opowiadanie podług starych ksiąg polskich jakato dawniej była Polska i jacy byli starzy Polacy. Pierwsza książeczka. Poznań. 1850. 128 stronic in 12°.

Зап. л. н. 1851. № 1083 (1850).

77. **Goszczyński.** I. Pisma *Seweryna Goszczyńskiego*. — Tom I. Lwów. 1838. — 180 stronic in 8°.

Зап. л. н. 1839. № 351.

Grammatyka ięzyka francuzkiego. См. унже *Pietkiewicz*.

Grammatyka języka polskiego. См. выше *Bronikowski*.

78. Grammatyka Niemiecka dla Polaków, wypracowana przez dwóch nauczycieli Gimnazjum Leszczyńskiego. Wydanie drugie, znacznie poprawione. Leszno i Gniezno. 1843. — 129 stron. in 8°.
Зап. л. н. 1843. № 227.

79. Grzechy powszednie. Obrazek z nowszych czasów, skreślony przez Olezia. Poznań. 1850. — 281 stronice in 8°.

Зап. безыменно 1851. № 141.

80. Gwiazdka na rok 1846 dla młodzi katolickiej. Gniezno i Leszno. — 63 stronice in 8°.
Зап. л. н. 1846. № 518.

81. Gwiazdka na rok 1847 dla młodzi katolickiej. Gniezno i Leszno. — 111 stronice in 8°.
Зап. л. н. 1847. № 612.

P

235. Polska ziemia. (W obrazkach). Część druga. Wydanie drugie pomnożone. Poznań. 1850. — 110 stronice in 8°.

Зап. безыменно 1851. № 625

Polszcze (O), icy dziejach, etc. См. выше *Jekl*. ●

Pomysły o harmonii społeczney. См. выше *Dąbrowsa*.

Poniatowski (Niątę Józef). См. выше *Bogusławski*.

216. **Popliński.** Geografia podług Seltena. Kurs pierwszy dla szkół początkowych, ułożył *J. Popliński*. Edycja drugą, całkiem przerobioną. Poznań. 1848. — 112 stronnic in 8°.

Зап. д. н. 1850. № 135.

237. **Poploch Maskali.** Komedyo-Opera we trzech aktach. Grana przez amatorow w teatrze narodowym na Jochól uzbrajającego się woyska. Dnia 21 Sycznia 1831 roku. W Warszawie. 1831. — 17 stronnic in 8°.

Зап. д. н. 1831. № 689.

238. **Pocelstwo duchowe ku ludziom.** Poznań. 1850. — II i 238 stronnic in 8°. (Почетъ 152-й страницы ошибочно показана 163-я, каковая нумерация продолжается до 170 страницы, затемъ следуетъ 161 стр. и правильная нумерация до конца книги).

Зап. д. н. 1851. № 696.

Pocelstwo od Zygmunta III do Dymitra Iwanowicza. См. ниже *Raczyński*.

Powieści M. Czajkowskiego. См. выше *Czajkowski*.

Powieści kozackie. См. выше *Czajkowski*.

Powieści Wielko-Polskie. См. выше *Berwiński*.

239. **Powinności chrześcijańskie.** czyli katechizm rzymski, nauczający eo powinien każdy Chrześcijanin wi dzić, wie dzieć, czynić aby mógł być zshawienym. Z przydatkiem sposobu słuchania i śpiewania Mazy Świętey i różnych pieśni. W Lesznie i Górnem. — 158 stronnic in 12°.

Зап. д. н. 1818. № 325.

R

258. Rozbiory dzieł obejmujących albo dzieje, albo rzeczy polskie w różnych czasach, przez autora dzieł Polski ogłoszone w jedną księgę zebrane. Poznań, 1844. — VI i 431 stronic in 8°.

Zaup. z. n. 1845. № 436.

Rozmaitości. Cm. wiedeńskie *Hoffmanowa*.

Rozmowa delegowanego gospodarza. Cm. unaję *Siciński*.

Rozmowa o Elekcyi, o wolności, o prawie i obyczajach polskich. Cm. wiedeńskie *Cornicki*.

259. Rozmowy Pawlunia z Babunią o kilkuset nawijających się przedmiotach, czyli słazówka sposobu rozkrzewienia w dzieciach zdolności, pojęcia i szlachetnych upodobań. Podane ku pożytkowi dzieci umiających dobrze czytać. Przez Autorkę *Zabawy Polski z Synami K.... z H.... M.... B....*. W Kaliszu. 1829. Część I. — 418 i XI; Część II. — 446 stronic in 12°.

Zaup. z. n. 1838. № 421.

260. Rozmyślanie o męce Chrystusa Pana, podług Pisma S. Ojców i pisarzy kościelnych z dodaniem drogi krzyżowej. Berlin. 1852. — XII i 311 stronic in 8°. (B. II. K.).

Zaup. Geczyzanno 1852. № 1575.

261. Rozrywki dla dzieci wydawane przez A. ...rkę pamiętki po dobrej matce. Rok trzeci. Tom VI. Drugie wydanie w Warszawie. 1828. — № XXXI. 1 Lipca 1826. — 332 stron. Tom IX. № LIV. 1 Czerwca 1828. Od 306—369 stronic in 8°.

W

319. **Wolf.** Roskosz miłości i szczęście stanu małżeńskiego. Poradnik dla kochanków i małżonków, tudzież nauka o chorobach ze sfery płci męskiej i żeńskiej, o ich uniknięciu i leczeniu. Sztuka zachowania młodzieńczych wdzięków, zupełnej siły i zdrowia aż w najpóźniejsze lata. Przez D^{ro} Juliusza Wolfa. W Wrocławiu. 1819. — 216 stronnic in 8°.

Zaup. z. n. 1830. № 911 (1819 r.).

320. **Wolowski.** O arystokracji, liberalizmie i demokracji w Polsce słów kilka, przez Panta-leona Jozefata Wolowskiego. W Poznaniu. 1843. 32 stronnic in 8°.

Zaup. z. n. 1844. № 451.

321. **Woroniec.** Kazanie na pogrzebie ś. p. J. O. Xięcia Adama Czartoryskiego, byłego Generała ziem Podolskich etc. etc. etc. miane w Kościele Warszawskim S. Krzyża przez Jana Pawła Woroniecza, Biskupa Krakowskiego dnia 22 Kwietnia 1823 r. — Przedrukowane w Krakowie na korzyść szpitalów. — 32 stronnic in 8°.

Zaup. z. n. 1834. № 309.

322. **Woroniec.** Pisma Jana Pawła Woroniecza, Arcybiskupa Warszawskiego, Prymasa Królestwa polskiego. W Krakowie. 1832. — Tom I. — XVIII i 211; Tom II. — 217; Tom III. — 198; Tom IV. — XXI i 266; Tom V. — 220; Tom VI. — 181 stronnic in 16°.

Zaup. z. n. 1847. № 375.

347. Żygliński. Dumki i fantazje Franciszka Żyglińskiego. Poznań. 1844. — 122 stron. in 8°.

Запр. д. о. 1846. № 29.

348. Żygliński. Zbiór poezji Franciszka Żyglińskiego. Kraków. 1832. — 221 stron. in 8°.
(В. П. К.) (*).

Запр. д. о. 1832. № 1376.

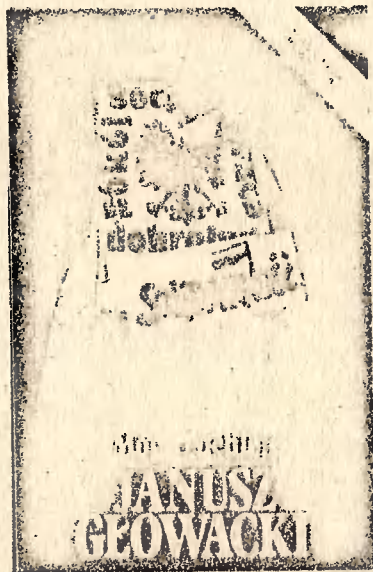
Жыгліньскі. См. выше Weber.

(*) Примечание. Из внесенных в этот Список 348 книг только *десять* сочинений, под №№ 38, 126, 161, 178, 260, 292, 301, 304, 328 и 348, рассмотрены были в Варшавском Цензурном Комитете. Они означены поставленными при конце заглавий или тремя начальными буквами в скобках (В. П. К.). Галерея рукописей и других прочих книг, 348-ми, занималась Иностранная Цензура Министерства Народного Просвещения в Петербурге.

Старшин Цензор

Библиотекарь

Nakładem PULS Publications



Wydawnictwo
**JANISZ
GEOWACKI**

Pierwsza powieść o polskim Sierpniu

Cena 1300 z przesyłką

ARCHIWUM EMIGRACYJNE

Ksawery Pruszyński

PROMIENIE ULTRACZERWONE

Polityka, uprawiana przez Niemcy na ziemiach polskich, nie pozostawia żadnej wątpliwości nawet dla cudzoziemców; jest to polityka kolejnego i systematycznego niszczenia wszystkiego co polskie. Celem jej jest co następuje: Polacy powinni koniecznie konców wygnać, aby w środku Europy zostawić wolne miejsce dla tych trzystu milionów Niemców, których Rzesza chce tu mieć za lat sto, na przyszłym, jednolitym narodowościowo, terenie niemieckim od Sommy do Bugu. — Natomiast polityka sowiecka wobec Polaków nie jest niekiedy nawet i dla Polaków zupełnie jasna, dla cudzoziemców — tem mniej. Jakże pogodzić fakt, zastanawia się może niejedyn, że setki tysięcy ludzi wywieziono do Kazakstanu, ale pewne książki polskie ukazują się w tysiącach nakładu, że wychodzą po polsku pisma, a teatry polskie dają występy w Kijowie i Moskwie? Jak pogodzić masowe aresztowania i współpracę literatów polskich z władzami, które tych aresztowań i rozstrzeliwań dokonywają? Czy mamy do czynienia z jakimś chaosem, w którym moskiewska tradycja kibitek łączy się dziwacznie z rewolucyjnym poszanowaniem kultury i w którym są różne poczynania, nie sklejone żadną przewodnią myślą? Czy też przeciwnie, mamy tu do czynienia z polityką ogromnie przemyślaną, perfidnie konsekwentną, a tylko rozciągającą się na wszystkie dziedziny i posługującą się środkami wyrafinowanymi, tak samo niespodziewanymi dla nas i dla świata, jak dla wielu z naszych „fachowców” wojskowości było przykrą niespodzianką działanie kolumn czołgowych, samolintów, spadochroniarzy, miotaczy ognia, zastosowane przez strażników niemieckich?

Otóż należy przede wszystkim stwierdzić, że – wbrew wszystkiemu co by się zdawać mogło – obecna technika sowiecka w dziedzinie narodowościowej nie jest wcale rzeczą nową, ale jest generalnym powtórzeniem – w zmienionych warunkach, celach i okolicznościach – tej kunsztownej, wieloplanowej polityki, jaką uprawiała w Polsce poroborowej Katarzyna II. Nie jest to ani paradoks, ani erudycyjny popis. Kiedy w r. 1795, po trzecim rozbiore, granice Rosji i „us spotkały się na ziemiach Rzeczypospolitej jak we wrześniu 1939 r., polityka „Serniramidy Północy” wobec jej nowych poddanych polskich potoczyła się także bardziej skomplikowanym szlakiem niż ten którym w Warszawie kroczył Fryderyk Wilhelm. Bo cóż wtedy uczynił król pruski? Potraktował swe nowe nabytki prosiu jako Prusy Południowe, uczynił z Warszawy jedną więcej siedzibę „prowincji”, obsadził miasta polskie urzędnikami i kupcami-Niemcami, zaczął kolonizować wsie, germanizować kogo się dało, rozpiąć szlachtę, nie uznawać nikogo. Polityce tej brakowało tylko rozmachu polityki obecnej; brakowało jej hamulców i natężenia terroru; pozatem wszystko już było. Jeżeli Frank germanizuje dziś miasta, obsadza Niemcami co może i nie uznaje wogóle Polaków, to w tem wszystkim miał poprzedników właśnie po owym roku 1795.

Katarzyna II patrzyła z pogardą na tak prymitywny sposób rozwiązywania spraw narodowościowych i bardzo niedługo zastosowała, i ona i jej kolejni następcy, cały system różnorodnego traktowania Polaków. Jeśli Kościuszko i jego sztab siedzieli w petersburskiej Bastylji, twierdzy Piotra i Pawła w ujściu Newy, a setki oficerów i żołnierzy armji insurekcyjnej pognano do obozów w głąb Rosji (jeden był... w Starobiejsku, jeden w Smoleńsku), to polityka ta nie była stosowana wobec wszystkich Polaków i zawsze. Dwaj młodzi księżęta Czartoryscy zostali w roli swego rodzaju zakładników ściągnięci do Petersburga, ale mieli swe miejsce na dworze carskim u boku wnuków carycy; wielu polskich wielkich panów – Szczęśny Potocki, Chreptowicz – otrzymali carskie godności i urzędy. Byli to dawni sympatycy Rosji w jej „ciężkich” w Polsce czasach. Jeśli kto pamięta, że w r. 1932 członek Legionu Młodych Stefan Jędrzychowski występował w Wilnie z koncepcją by Polska przystąpiła do związku republik sowieckich i stała się bratnią republiką Ukrainy, Aserbejdżanu i Kazakstanu, to teraz, wychytawszy że ten sam Siergiej Jędrzychowski jest „członkiem wleśniennawu sowieta narodnych komissarow S.S.L.R.”, inaczej mówiąc, ministrem Litwy sowieckiej – stwierdzi wraz z mną, że za swą dawną sympatię dla Z.S.R.R. zbiera on teraz pewne procenty. Tak jak ongi i Szczęśny. Wreszcie to właśnie wtedy, i właśnie jednocześnie, tłumy drobnej szlachty zagonowej (tak charakterystyczne dla ustroju rzeczypospolitej szlacheckiej, a tak obce autokracji imperjum rosyjskiego) zostały albo pozabawione praw, albo powywożone w głąb Rosji; polityka, stosowana potem z powodzeniem przez Mikołaja I. Naostatek państwo, że w kilka lat po trzecim rozbiore Polacy odgrywają na dworze cara pierwszorzędną rolę; taka jest rola senatora fińskiego przy carze Pawle, taka rola Czartoryskiego – ministra spraw zagranicznych Rosji – przy Aleksandrze. Wilno i Krzemieniec stały się wtedy ogniskami polskiej oświaty. Prisarze i poeci polscy byli w owym systemie Katarzyny II tak samo otoczeni opieką jak w systemie Józefa Wiśniowicza; Trembecki pisał na jej cześć przemąty jeszcze lepsze niż te które pisał na cześć Stalina i Błżbieta Szemplińska, rzec Pragi nie

nut w ten nie przeszkadzała, tak samo jak naszej Elżbietce nie przeszkadza Starobelsk czy Kazakstan. Ba, Mickiewicz, uwłężony, wywieziony, jest pod czułą opieką wielkich dam rosyjskich, które czaują, i wiełkich żandarmów rosyjskich, którzy pilnują. W ten nieszanem nieco, ale po wsze czasy rosyjskiem towarzystwie, odbędzie nawet podróż na Krym. Przypuszczam że w podróż zesłoroczną do Moskawy Roy-Zelenski nie puścił się samopas; przydano mu zapewne ciceronów i stróżów: może też czarowali, uszewno zaś piłowali.

Człowiek, czytając te stare wspomnienia, — a akademja wileńska czy liceum krzemienieckie otoczone są z nas głoją, — zapytuje sam siebie, do czego dążyła Rosja stosując tę dziwną politykę wobec Polaków. Otóż Katarzyna II pragnęła, jak dził Stalin, *zacywilować Polaków politycznie*. Panując nad narodem, złożonym w 99% z analfabetów, w 100% zawszonym, w 200% ciemnym, doceniała swych nowych poddanych, którzy nawet wtedy gdy reprezentowali sejmikowych pijaków z epoki saskiej, jeszcze byli uosobieniem wiedzy i światłości w zestawieniu z Samarą i Wołogdą. Wiara katolicka, jaką wyznawali, także nie przerażała Katarzyny, która nie wyznawała żadnej. Natomiast *cały świat poglądów polskich* był dla niej — i dla ówczesnej Rosji oficjalnej — zasadniczo nienawistny i obcy. Dla jej mózgu usystematyzowanego i autokratycznego szlachta sejmikowa, liberum veto, masy głoszące i republika z królem obieralnym była nie tylko śmieszna, także niemita, czasami niebezpieczna. Przesesy republikańskie szlachciców polskich stały się szczególnie niemite gdy podpływać pod nie zaczął prąd innych republikańskich frazesów — tych z sal parnych jakobińskiego Paryża. Przestawienie społeczeństwa polskiego w społeczeństwo karne, hierarchiczne, pozbawione „anarchistycznych” pierwiastków, staropolskich atawizmów — oto było dążenie Katarzyny. Chciała mieć z tego *takie samo* społeczeństwo, jakim było społeczeństwo rosyjskie, plus oświata zachodnia. Dlatego przedewszystkiem uwięziła tych wszystkich którzy brali udział w walce przeciwko niej; dlatego dalej pozbawiła praw lub powywoziła na Sybir te warstwy społeczeństwa polskiego, które samem swem istnieniem podkreślały różnice struktury między Rzeczypospolitą szlachecką a urzędniczo-arystokratyczną monarchją absołutną; dlatego te warstwy, na których zamierzała, jak w Rosji, się oprzeć, otoczyła opieką, stananiem i faworam. Stąd Potoccy, Chreptowicze, Kossakowscy i Massalscy mieli u starej carycy miejsce najpierwsze. Wreszcie był świat intelektualny; ten imponował Rosji. Polacy byli wciągani do pracy w Petersburgu, w Moskwie i dalej, czy byli to malarze jak Orłowski i Oleszkiewicz, czy wychowawcy, czy meirzy młodych paniczów, czy — w kilkadziesiąt lat potem — tłumy polskich inżynierów, kolejarzy, łachowców, których Rosja widziała równie chętna w Oranienburgu, Fomsku, Irkucku, Tobolsku czy Pernie. Miała z nich korzyść podwójną; po pierwsze, ich odejście osłabiało inteligencji żywioł polski w tych miastach Królestwa, w których Rosja robiła miejsce dla moskiewskiego urzędnika i wschodniego, mówiącego po rosyjsku, Żyda-litwaka. Po drugie, ci sami ludzie przeniesieni o kilka tysięcy kilometrów zdala od ziem polskich w głąb Rosji czy Azji, stawali się dla caratu pożytecznymi budowniczymi dróg, kolei, mostów, pracownikami fabryk, szerzycielami cywilizacji na rzecz — oczywiście — Rosji. Kiedy w październiku 1939 r. okupanci sowieccy wywieźli nie tylko grupę ziemian, działaczy polskich i bardziej znanych osobistości, ale jeszcze wszystkich pracowników fabryki „Elektrik” w Wilnie, kiedy uganił się za montegami, elektrotechnikami i innymi kwalifikowanymi robotnikami, by ciupasem wywieźć ich w głąb Rosji, można było stwierdzić, że nawet pod tym względem nic się tu nie zmieniło od cza-

sów kiedy ojciec Cezarego Baryki pracował na Kaukazie, a ciemnym typem powieści Dostojewskiego był Polak zagubiony na posadzie goźciej w mordohijskim powiecie. (Z tem tylko, że Polacy w Rosji dorabiali się wtedy nieraz olbrzymich fortun i z nimi wracali na stare lata - nie wszyscy, to prawda - do kraju ojców. Obecnie, przy postępowym ustroju sowieckim, zapobieżono temu dokładnie).

O co chodziło przede wszystkim dawnym rządowi rosyjskim? Istotnie, w wielu okresach przesławiali język polski; czynił to jednak zawsze znacznie mniej wytrwale i konsekwentnie niż rządy niemieckie; chodziło im najpierw o co innego. Pragnieniem Rosji było zasymilowanie psychiczne, polityczne i ideowe społeczeństwa polskiego do rosyjskiego. Kiedy w kilkadziesiąt lat po Katarzynie II pojawiły się lewicowe prądy rosyjskie, i z nimi było to samo Rosjanie chcieli widzieć praktycowa polskiego w Dumie, lub Wielopolskich wespół ze Szerbatowymi i Saltykowymi na dworze carskim, chętnie widzieli lewicowca jako liberalnego mecenasa w Moskwie, wśród rosyjskiej partii konstytucyjnych demokratów (liberalów), jak Aleksandra Lednickiego. Wreszcie, lewica rosyjska chętnie widziała w swym najściślejszym gronie Dzierżyńskiego, Marchlewskiego i Radka; tak samo, jak na odwrót, prawicowy rosyjscy niecierpieli Dmowskiego, a lewicowcy rosyjscy nienawidzili P.P.S.u, i to nawet w tych czasach gdy pozornie istniała między nimi duża zbliżność. Wszystko co chciało pozostać polskie, co nie szło na upodobanie się do Rosji, tej czy innej, wszystko co zachowywało polskie pierwiastki polityczne - było dla każdego z tych obozów światem zupełnie wrogim.

Jak Katarzyna II po r. 1795, tak samo i Stalin po r. 1939 znalazł się w posiadaniu pewnych ziem polskich i pewnej ilości ludności polskiej. Jak Katarzyna II oświadczała w swych ukazach że oto lud prawosławny i niski wywołony jest od polskich panów, tak samo Stalin ogłaszał zrazu że nie mógł patrzeć dłużej na cierpienia ludu ukraińskiego i białoruskiego pod polskim „jarzmem” (o Polakach mieszkających na tych ziemiach, a nie będących „panami”, nie było i teraz mowy). Wreszcie, podobnie jak Katarzyna II, Stalin nie poszedł na proste, po niemiecku wykonywane „ausrotten” ludności polskiej. Ludność ta w jego oczach reprezentowała pewne walory, jakie reprezentuje zawsze ludność kraju, który od szeregu pokoleń ma oświatę i naukę lepszą niż kraj sąsiadujący. Mimo wszystkiego cośmy słyszeli o przemysie sowieckim, nie może się on dotąd obyć bez inżynierów, a nawet mechaników czy kwalifikowanych speedów amerykańskich lub niemieckich. Ogół wyzwalanych wspaniałomyślnie Białorusinów i większość wyzwolanych Białawie Ukraińców tych walorów nie posiadała. Mieli je zato Polacy. Wreszcie Stalin pamięta, że wojna niemiecko-sowiecka kiedyś przyjdzie. Czy wieść, iż w Białymstoku i Wilnie i Iwowie i Grodnie działają polskie teatry, że pisze tam, jakby nigdy nie, i lewicowicie Boy-Zelenki i prawicowicie Stanisław Wasylewski i Wanda Wasilewska i Konstanty Szechowski i wielu innych, że „mowa polska nie jest przesławiana”, nie zrobi w decydującej chwili pewnego wrażenia na ludzi którzy są przesławiani przede wszystkim w swym przywiązaniu do mowy rodzinnej, przedstawiani jako „rasa niższa”, jako plemię skazane na dostarczanie Niemcom pałobka do ich gospodarstw a dziewczyn na rozrywki żołnierskie? O, Sowiety nie lekceważą znaczenia, jakie nastój ludności, wywołany propagandą robotną nie przez partycy i biurokratów, może mieć dla przebiegu wojny!

Rzecz jasna, Stalin znalazł w społeczeństwie polskim czynniki, których nieprzejednanosc dla sowieckiego państwa i systemu była oczywista. Tak oczywista, jak ongi nieprzejednanosc innych czynników dla Katarzyny II i jej państwa. Czynniki te trzeba było zlikwidować. Stąd Kazakstan. W Kazakstanie znaleźli się nie tylko przedstawiciele ziemiaństwa czy arystokracji, jak twierdzi propaganda sowiecka. Zsytki do Kazakstanu i innych pięknych okolic słowiańskiego „kolosa” objęły blisko trzysta tysięcy ludzi. Objęły — lub pragnęły objąć — wszystko co zostało wychowane w pojęciach niedawnej Polski, w jej patriotyzmie, w jej duchu, w jej ideałach. Wszystko co przeszło przez polskie szkoły i uniwersytety. Pozostawiono na miejscu tylko to co albo było komunistyczne, albo stało się uległe, albo było nieprzejęte dotąd owym duchem polskim. Postanowiono stawiać na warstwy, które dotąd miały możliwie mało szkoły polskiej; wreszcie na młodzież. Ją właśnie postanowiono wychować w nowym państwie, w nowej szkole, na nowych podręcznikach, które wydawane w języku polskim, szerzą nienawiść do jednej połowy naszej przeszłości, a przeinaczają drugą; nie trudno odgadnąć, że Batory czy Sobieski, jeśli wogóle są tam wspomniani, to z nienawiścią i wzgardą, zaprawiona kłamstwami a la Howajskij; że Kościuszko, Mickiewicz i inni są pozniekształceni na jakichś protoplastów bolszewizmu. Jak się to robi? — ktoś zapyta. Ano, poprostu usuwa się z Mickiewicza wszystkie głębokie myśli religijne, a uwypukla patetyczne biuźnicstwa z „Dziadów”; skomentowuje się inwokację do Matki Boskiej „co w Ostrej świeci Bramie” jako prosty konwencjonalizm, szablon nieodzowny epopei od czasów Homera; podkreśli się odezwanie się a la Heine z fraszki „Pchta i rabin”; trudno to będzie, ale jakoś się zrobi. Właśnie dlatego że trudno, muszą być wciągnięte do tej pracy szkoła, teatr, pismo i książka, właśnie dlatego wydaje się te nowe podręczniki, które powinny kulturę polską przyrządzać w sosie sowieckim, a przynagla się zmobilizowanych pisarzy do tworzenia nowej literatury sowiecko-polskiej dla konsumpcji szerokich mas. Właśnie dlatego, w Rosji sowieckiej ów „polski” aparat kulturalny uruchomiony został w takich rozmiarach, w takim tempie, z takim nakładem pracy, kosztów, wysiłków, w tytuł dziedzinach, na tylu polach; właśnie dlatego wydaje się powieści Wasiliewskiej w setkach tysięcy egzemplarzy, a jednocześnie wstrzykuje się przekłady z Majakowskiego i innych poetów sowieckich; wszystko to jest tylko dowodem, jak bardzo Z.S.R.R. zależy na tem aby to co obecnie w granicach Z.S.R.R. jest narodem polskim, stało się możliwe w najbliższym pokoleniu — społeczeństwem sowieckim o polskim języku rodzinnym.

Znowu cofnijmy się do tych ponurych czasów, kiedy zamiast Orła i Pogoni powiały nad tymi nieszczęsnymi ziemiami czarne skrzydła Dwugłowego Orła Program Katarzyny II urobienia buntowniczych Polaków na dobrych poddanych absolutnego państwa przeszedł i na program oświeceniowy. W akademii wileńskiej, odnowionej przez Czarotorskiego, w liceum krzemienieckim, stworzonym przez niego i Czackiego, uczono wielu rzeczy, ale uczono także kultu dla monarchy, wierności dla tronu i innych cnót, które ówczesny ustrój imperjum rosyjskiego uważał za szczególnie ważne. Polityka łask wobec magnatów, wywożeń i pozbawiania praw szlacheckich wobec szlachty szaraczkowej, ta polityka kulturalno-oświatowa, oddały Rosji poważne usługi. Nie zapominajmy, że jednak w chwili wyprawy napoleońskiej na Moskwę pewien odłam Polaków, z Lubeckim i Ogintkim naczela,

wypowiedział się przeciw Napoleonowi, a za Aleksandrem i Rosją; po raz pierwszy na ziemiach polskich ktoś nie czuł nabożeństwa do „boga wojny”! Nie zapominajmy, że potem to ci właśnie ludzie, co wytrwali przy Aleksandrze, tworzyli Królestwo Kongresowe, montowane w kulcie tronu, monarchy i wielu innych rzeczy których nie znata hałaśliwa tradycja sejmikowej Rzeczypospolitej; Lubecki, który zaczynał młodość jako adjutant feldmarszałka Suworowa (jego od rzezi Pragi) w kampanii włoskiej, będzie wszechpotężnym ministrem Królestwa Kongresowego; Czartoryski, minister spraw zagranicznych za Aleksandra, odegra w tem Królestwie jedną z większych ról; wielu pomniejszych wyptynie w nim również. A wreszcie, to owa chytra polityka carska dopomże Aleksandrowi I do wystąpienia na kongresie wiedeńskim w roli kandydata do odbudowy Polski, i to kandydata wspieranego przez wiału żołnierzy zawiedzionych na Napoleonie i tracących wiarę w pomoc Zachodu.

Sowietyzacja narodu polskiego, zrobienie z niego integralnej części społeczeństwa sowieckiego, upodobnienie go strukturalnie, psychicznie, ideowo, do społeczeństwa żyjącego nad Oką, Kamą, Leną i Donem, oto zadanie, jakie postawiła sobie polityka sowiecka wobec narodu polskiego żyjącego na ziemiach polskich pod zaborem sowieckim. Potem zlanie się pójdzie łatwo! Dziś jest to może walka z innymi warstwami polskimi, niż była nią ongi, choć niektóre – jak nieszczęsna szlachta zaściankowa – znalazła się i w nielące carycy i w nielące „jasnego słoneczka narodów”, Stalina. Jsk literaturę polską wykastrowuje się tam z Sienkiewicza, a „wzbogaca” w Majakowskiego i Demjana Biednawo, podobnie po r. 1863 zwalczano „fachniakość”, wyśmiewano szlachtę kresową, zohydżano polski „jezultyzm”, a propagowano alejską i dziegciową słowiańskość. Wszystko aby zrównać nas z Rosją i do Rosji upodobnić. To tak samo robi się teraz. Zamiast poezyj na cześć Katarzyny, muszą być pienia na cześć Stalina; zamiast naginania się pod strychulec monarchji absolutnej, jest naginanie się pod strychulec dyktatury proletariackiej; najbardziej odporne w stosunku do nowej Rosji elementy zostaną wyrzucone na kresy azjatyckie Z.S.R.R.; rzesze polskich fachowców, inżynierów, medyków i elektromonterów nawet, zakończą swe życie w Swierdłowskiu, w Aima Ata, w Pierwomajsku i Stalinabadzie, oddając swe sily i wiedzę na rzecz zaborcy swego kraju. Wzamięn za to, na ulicach Lwowa i Wina, Białegostoku i Łomży rozlegać się będzie ponownie mowa rosyjska zawleczonea znad morza Kaspjijskiego i Uralu nie przez dziesiątki, ale setki tysięcy, może wkrótce miliony ludzi osiedlonych na miejscce wywiezionych Polaków... Obok nich, sztuczna i perfidna, szerczyć się będzie kultura sowiecko-polska „podręczników” p. Borejszy i Zuzanny Ginczanki. Nie lekceważmy jej; albowiem potężna machina państwowa, której ta „literatura” oddała się na służbę, odda jej do rozporządzenia ogromny aparat środków, pomnoży jej wydawnictwa w setki tysięcy egzemplarzy, podczas gdy za Bugiem rozciąga się teren gdzie wytrzebiono każdą ksiązkę polską, gdzie niema polskiej szkoły, gdzie prócz gadzinówek stanowiących własność p. Franka, niema prasy w języku polskim i gdzie kultura polska jest niszczonea bezwzględnie i powszechnie. To tym właśnie ludziom rozpina Rosja sowiecka złudne transparenty swej wolności. Tam niema „blackout”u; jest zato nasświetlanie promieniami ultraczzerwoneimi.

Ktoś zapyta; co my tu na to poradzimy? Ktoś odpowie: nic. Ale to jest niepraw-

da Poza tą Polską, w której pacy się polską kulturę i nagina ją do tej roli, jaką spełnia narzecze Mordwan czy Czeremisów w Z.S.R.R., poza tą Polską gdzie wszystko co polskie powinno zniknąć z powierzchni ziemi w ciągu najbliższych dziesięcioleci, by zrobić „Raum” dla Niemców, istnieje jeszcze Polska emigracyjna. Istnieje ona dzisiaj, tak samo jak istniała w końcu XVIII w. w postaci legionów. Jest wśród kilkudziesięciu tysięcy Polaków, rzuconych na ziemię Zachodu, kilkanaście tysięcy młodych. Wojna obecna posiada wielomiesięczne, niemal całoroczne zastoje. Jest najzupełniej w naszej mocy wyzyskanie tego czasu i tego pobytu na przepojenie się inną kulturą, niż germańska, i innym duchem, niż sowiecki. Jest nato pełno środków. Mogą być niemi wykłady na poziomie uniwersyteckim, wygłaszane przez ludzi wiedzy a nie nieznanymi nikomu grafomanów; mogą być niemi masowe stypendja, paromiesięczne turnusy naukowe, przydziały kilkutygodniowe na uczelnie, seminarja i kursy uniwersyteckie brytyjskie. Ekonomia i socjologia, technika i językoznawstwo, geopolityka i historia, ale jeszcze i przemysł, rękodzieło, zapoznanie się i z tą stroną Anglii, dziesiątki dziedzin nsjrozmaitszych, a wszystkie niezbędne do tego by przyszła Polska nie przestała być kulturalnie częścią Europy, by ta część jej młodego pokolenia, którą można tu uratować, nie sparszywała, nie zamarała umysłowo, nie stoczyła się w dół. Chodzi o to czy myśli nowej Polski wykrzesze się w kuźni Zachodu, czy w tyglu Sowietów.

Oto może być nasze przeciwdziałanie temu co nazywamy potocznie „miazmatami Wschodu”. Wobec wielkiego niebezpieczeństwa, przeciwko któremu środki natury policyjnej mają tę samą skuteczność co lanca utońska przeciwko czolgowi. Oto wielki program kulturalny i polityczny obecnej emigracji polskiej. Oto czyn, który dokonany śmiało, wbrew obiekcom małostkowym i formalnym, odda nieocenione usługi sprawie polskiej, a tym co się nań zdoberą zjedlna wdzięczność narodu i pamięć historii po wszystkie najdalsze czasy. Dziesiątki i setki młodych Polaków wychowanych na Zachodzie, przepojonych wiedzą prawdziwą i myśleniem europejskiem, oto armje, które wobec ugoru Polski niemieckiej i szpicionek Polski sowieckiej odniosą ostatnie zwycięstwo. I ci, co dobrze obecnym rządzącym życzą, pragna wypełnienia takiego programu, a ci co są im niechętni, uczynią co mogą by mu zapobiec, zniekształcić go, zdławić. Natomiast ci i tamci, że nie dosyć wołali, że nie spełniali, że utrudniali – poniosą kiedyś dziejową odpowiedzialność.

Kawery Pruszyński

Sł. Mrozek

Sławomir Mrozek

rysunki

TERAZ ZABIERZE CŁOS
MAGISTER KIERKEGAARD



NASTĘPNIE DOKTOR
FREUD



POTEM PROFESOR
EINSTEIN



DYSKUSJĘ
PODSUMUJE
DOCENT PAŁA.



HEY, WOTGA, WOTGA...

HEY, WOTGA, WOTGA...

HEY WOTGA

WOTGA...

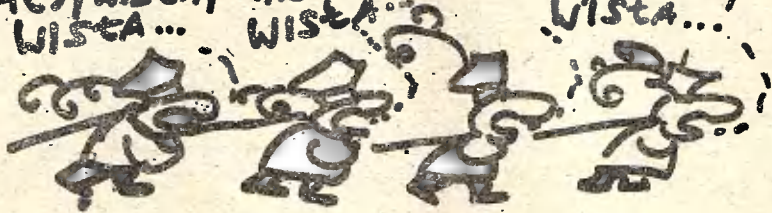
HEY, WOTGA, WOTGA...



HEY, WISTA,
WISTA...

HEY, WISTA,
WISTA...

HEY, WISTA,
WISTA...



ŻEBY TYLKO DESZCZU
NIE BYŁO



drugi

ZYGMUNT BOHUSZ-SZYSZKO

Dnia 20 czerwca 1982 roku zmarł w Londynie Generał Dywizji Zygmunt Bohusz-Szyszko.

Generał urodził się 19 stycznia 1893 roku w Chetmie Lubelskim. U zarania pierwszej wojny światowej, wstępuje do wojska rosyjskiego i kończy oficerską szkołę piechoty. Jako podporucznik bierze udział w walkach na froncie rosyjsko-austriackim, gdzie w roku 1915 dostaje się do niewoli. Z obozu jenieckiego przeciąga się do 2 Brygady Legionów Polskich generała Józefa Hallera walczących po stronie państw centralnych, dzieł jej losy i zostaje internowany na Węgrzech.

W wojnie 1920 roku rozpoczyna akcję jako dowódca kompanii w 2 Kowieńskim Pułku Strzelców w Dywizji Litewsko-Białoruskiej generała Żeligowskiego a kończy jako jego dowódca. Za czyny osobistego męstwa i odwagi otrzymuje z rąk Marszałka Piłsudskiego krzyż „Virtuti Militari” V klasy.

W okresie niepodległości służy na różnych stanowiskach w sztabach i jednostkach liniowych i kończy Wyższą Szkołę Wojenną.

W Kampanii Wrześniowej jest rzeczywistym dowódcą 16 Pomorskiej Dywizji Piechoty. Prowadził tę dywizję w bitwie nad Bzurą i w walkach odwrotowych do Warszawy. Po zakończeniu działań wojennych na terenie Rzeczypospolitej, przez Węgry, Jugosławię i Włochy przedostaje się do Francji.

Melduje się u generała Sikorskiego, który mianuje go generałem brygady i wyznacza na dowódcę Samodzielnej Brygady Podhalańskiej, najwcześniejszej zorganizowanej i najlepszej jednostki polskiej na ziemi francuskiej. Brygada miała wejść w skład korpusu ekspedycyjnego aliantów, mającego za zadanie pomoc Finlandii w walce przeciw Sowiecom, nim jednak ekspedycja wyruszyła, Finowie podpisali warunki pokojowe. W parę miesięcy potem Niemcy zaatakowały Norwegię i Brygada wraz z gotowym już korpusem alianckim, wyruszyła jej w aukurs. Po upadku Francji, Generał zostaje komendantem Centrum Wyszolenia Wojska na Wyspach Brytyjskich.

Nadchodzi rok 1941, uderzenie Hitlera na ZSRR i podpisanie przez Polskę układu polsko-sowieckiego. Generał Sikorski wysyła gen. Bohusza do Moskwy jako szefa Polskiej Misji Wojskowej dla uzgodnienia ze sztabem sowieckim sprawy zorganizowania Armii Polskiej w ZSRR, która miała składać się z Polaków wypusz-

czonych z łagrów i więzień sowieckich na podstawie układu Sikorski-Majski. Dnia 14 sierpnia 1941, gen. Bohusz ze strony polskiej, a gen. Wasilewski ze strony sowieckiej, podpisują „Umowę wojskową pomiędzy Naczelnym Dowództwem ZSRR i Polskim Naczelnym Dowództwem” (oryginał umowy przechowywany jest w Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie). W czasie organizowania Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, Generał zostaje dowódcą 7 Dywizji Piechoty, a następnie szefem sztabu gen. Andersa.

Po wyjściu wojska polskiego z ZSRR zostaje dowódcą 5 Kresowej Dywizji Piechoty na Środkowym Wschodzie, a przed wyruszeniem 2 Korpusu do akcji zostaje mianowany zastępcą gen. Andersa.

Wraz z 2 Korpusem przechodzi całą zwycięską kampanię włoską, poprzez Monte Cassino, Ankonę, Linję Gotów i Bolonię. W czasie pełnienia przez gen. Andersa obowiązków Naczelnego Wodza, gen. Bohusz obejmuje 2 Korpus i dowodzi nim w okresie walk o Bolonię.

Droga życiowa Generała była drogą każdego polskiego żołnierza, który walczył o niepodległość Polski i wierzył, że wróci do wolnego kraju. Stało się jednak inaczej. Przychodzi Teheran, Jalta i zdrada sprawy polskiej. Przeważająca większość żołnierzy PSZ wraz ze swymi dowódcami pozostaje na Zachodzie. W roku 1951 „Sejm” PRL odbiera gen. Bohuszowi oraz innym dowódcom obywatelstwo polskie.

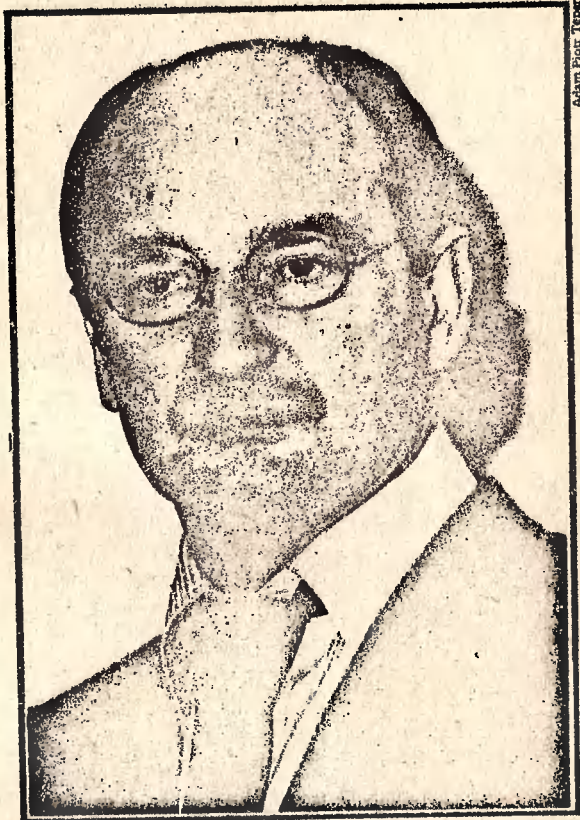
Po wojnie Generał osiedla się w Londynie, gdzie m.in. oddaje się pracy pisarskiej. Jest autorem dwóch tomów wspomnień („Wrześniowym szlakiem” – 1945 i „Czerwony Sfinks” – 1946) i trzech powieści („Nie żałuj nowych butów” – 1947, „Republika atomowa” – 1947 i „Atomowa pożoga” – 1956). Bierze czynny udział w życiu emigracyjnym. Szczególną troską darzył sprawy organizacji kombatanckich. Był czynnym członkiem Fundacji Sztandarów Polskich Sił Zbrojnych na Obczyźnie, której celem jest opieka nad sztandarami bojowymi złożonymi w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego. Pod tymi sztandarami walczył gen. Bohusz od roku 1914 do roku 1945. Los nie oszczędził temu żołnierzowi Rzeczypospolitej przeżycia kolejnej polskiej tragedii, jaką jest użycie żołnierza polskiego do stłumienia dążeń wolnościowych swego własnego narodu.

Stanisław Ignacy Witkiewicz o „Pulsie”

*Zdobyć markę dobrym wyrobem,
a następnie obniżyć wartość produktu
dla doraźnych dochodów wydaje się być
bardzo złą zasadą w przemyśle.*

*Moja firma tak nie postępuje.
Ostatnio firma PULS osiągnęła niezłe wyniki.*

„Narkotyki. Niemyte dusze” str.180



Adam Piotr Teper

Sławomir Mrozek



muzeum ruchu rewolucyjnego

HENRYK GAWORSKI

FIST DO TOWARZYSZA BIERUTA

I

Każdy wie, Towarzyszu, że w Warszawie mieszkasz,
lecz ja poza Warszawą często ciebie widzę
na zapadłych drożynach, zapomnianych ścieżkach,
gdy w jasnym płaszczu z twarzą od trosk ciemną szniesz.

Drogi, drogi daleki! Komu nóg starczyło,
by przejść je, nieprzyjazne, kurz i błoto zdeptać?
Tu twoja, Towarzyszu, nadzieja i miłość
trwa w szonie olszyn, w jeżyn zakurzonych szepkach.

Szedłeś tymi drogami, jak inni, od dziecka
przez pola burs, ciężkie, jak ciasto razowca,
które bieda miesiła i własnà i obca
w dolinach - w kłocu ziemi wydlubanych nieckach.

I dzisiaj jak przed laty po tych drogach chodzisz
a nie można ich stroną przychylniejszą obejść.
Otwierasz drzwi i wrota, zachodzisz do obejść,
uczysz kochać i wierzyć w świat, który się rodzi.

Zanim się nasze życie zaczęło od nowa,
nim po czasie nieludzkim czas człowieczy nastął –
tyś widział nas na wielkich dzisiejszych budowach
z czarnej, zetłostej ziemi dźwigających miasta.

Toś ty rysował mury, kolumny, sklepienia
i okna nowych domów pod stołce ustawiał,
urealniałeś nasze młodzieńcze marzenia,
to ty kładłeś nadzwój na człowieczych sprawach.

Wystarczy, Architekcie, wyrzćc twoje imię,
a most żelami przeseł popłynię nad rzeką,
po nowych torach pociąg zahaczy w dolinie,
jak pieśń, na którą człowiek długie lata czekał.

Poznać źródło twych myśli – to powiedzieć: Partia
A to słowo jest ciężkie, dźwięczne, jak żelazo,
a to słowo się kładzie smęczeniem na barkach,
a to słowo ma siłę śmiertelnych rozkazów.

To słowo dźwiga noce kulami przebite,
noce, które nam w oczach jak czarne szkło grzęzły,
w tym słowie boli czyjeś odejście przed światem
i czyjaś śmierć rozciąga.

W tym słowie żyją twoje najpiękniejsze lata,
któreś oddał dla Partii, któreś w walce stracił,
i lotni droga, którą prowadziłeś nas teraz
przez młodość mej Ojczyzny do młodości świata.

III

Ten świat o świecie piszę, bo na ósmą
muszę być w pracy – więc pośpiesznie piszę.
Błask słońca złotem na papier mi chwłusnął
i myśli wszystkie prześwietlił, jak kiluzę
obraz odbił na sercu ekranie
Jest tymem pieśń jeszcze nieśpiewanej.

Lecz zanim myśli się w słowie ucieleśni,
zdąży ostygnąć, zmieni kształt i barwę.
Lepiej utłamać gałązkę czereśni,
albo wierzbowych bazi w polu narwać
i postać tobie – może by dokładniej
mówiły o tym, co powiedzieć pragnę.

O, ile rzeczy na me głęśni czeka
w mojej Ojczyźnie i w ojczyźnie cudzej!
Cdziekołwiek serce uderza człowieka,
gdziekołwiek wależą i kochają ludzie,
tam pieśń powinna wyprowadzić z ciszy
sens rzeczy, sercu człowieka najbliższych.

Za oknem ranek, łomocą tramwaje,
kominy fabryk zaczynają dymić –
o, Towarzyszu, z sercami pełnymi
nadziei, ludzie przy maszynach stają,
żeby wykresy planów szybciej, sprawniej przebiec.
Praca dla kraju – to miłość dla ciebie.

Moja pieśń jeszcze często nieporadna,
jak robotnica bez kwalifikacji,
Lecz, Towarzyszu, więcej o nią zaubam,
nakarmię sercem, uszlachetnię w pracy,
słowa, jak okna otworzę na oścież
dla ludzkiej walki, troski i miłości.

„Nowa Kultura” 16/1952

Nakładem PULS Publications



Książka zawiera eseje:

Jak stałem się pisarzem historycznym

Królestwo Białorusi

Strażnik królewskiego grobu

Od dzwonka do dzwonka

Cena €3.75 + przesyłka

przekazy

MIESIĘCZNIK
GRUPY ROBOCZEJ SOLIDARNOŚĆ

redaguje zespół

adres redakcji:
Arbeitsgruppe Solidarität
Berlin (West) e.V.
Großgörschenstr. 7
D-1000 Berlin 62

V.I.S.d.P.: K.Kasprzyk
c/o A.G. SOLIDARNOŚĆ
Konto:
Sonderkonto 025 000 5168
Sparkasse d. Stadt Berlin (West)
BLZ 100 500 00

koszta druku: 4,- DM
prenumerata
roczna: 42,- DM półroczna 24,- DM
doliczamy porto:
RFN 1, 10 DM. Inne kraje 1.50 DM



SOW SHOW

POZNAĆ I ZROZUMIEĆ

Dziennikarz „Trybuny Robotniczej” Tomasz Lewandowski spędził prawie cały dzień w koszarach Zmotoryzowanego Odvodu Milicji Obywatelskiej w Katowicach. A oto niektóre z jego wrażeń i refleksji: „Presja różnego rodzaju opinii, nacechowanych najczęściej wrogością i programową nieufnością do charakteru funkcji, jakie ci ludzię pełnią, wywołuje zrozumiałe urazy: czy może być coś dotkliwszego niż poczucie izolacji w środowisku, w którym się żyje?...

— Ludzie nic o nas właściwie nie wiedzą — usłyszałem.

— Znani jesteśmy przede wszystkim z niektórych działań rozprasających, które z natury rzeczy ustawiają nas w jednostronnie negatywnym świetle. Ci, którzy stykają się z nami na co dzień w warunkach normalnego życia, jakie prowadzimy, przekonują się często ze zdumieniem, że jesteśmy tacy sami jak inni — po prostu ludzie. Przeżywamy swoje wątpliwości i rozczarowania, cieszymy się tym, co przynosi każdy zwykły dzień, mamy swoje pasje, zainteresowania i namiętności. Ten, kto sądzi, iż potrafimy się wyżywać tylko poprzez przemoc stosowaną wobec innych, krzywdzi nas i obraża. Na ulicę wychodzimy grupowo wyłącznie w ostateczności — nie ma nic bardziej przykrego jak uczestniczenie w akcjach porządkowych...

— Ktoś tego może nie rozumieć — powiedział jeden z oprowadzających mnie po terenie kōżar oficerów, ale poczucie ładu jest tym chłopcom po prostu naturalnie bliskie: przejawia się ono szczególnie w zdyscyplinowaniu podczas służby, w sposobie bycia na co dzień, wreszcie w przekonaniu, iż to co robimy jest słuszne i potrzebne.

... Często między sobą dyskutują i zadają sobie pytania, dlaczego pewna część społeczeństwa odnosi się do nich niechętnie? Jaka to jest jednak część społeczeństwa? Z całą pewnością nie ta zdyscyplinowana, pracowita i odpowiedzialna za swoje postępowanie – raczej tylko ten odłam, skłonny do wywoływania awantury oraz wrogo nastawiony do zasad i ideałów, jakie wyznacza istniejący ustrojowy porządek. Mówi się o nich, że są tępi i bezmyślni – czy naprawdę takie sprawiają wrażenie? Czy aby wydobyć (jak się o nich ironizuje w kawałach) ogórek ze słoika muszą do niego zaraz wkładać całą głowę? Tak, mają poczucie humoru, ale ma ono swoje granice: jakże często to co o sobie słyszą, jest brutalne, krzywdzące – wcale im wtedy nie do śmiechu. Plotka idzie w świat i niełatwo ją zdementować, a przecież nie żyją w próżni społecznej – mają rodziny, dzieci, sympatie – pragną egzystować bez obciążeń psychicznych i w zgodzie z otoczeniem, które nawet jeżeli żywi do charakteru ich służby odruchową niechęć niech przynajmniej nie przeźmienia jej bezpodstawnie w nienawiść.

Nie są bynajmniej uosobieniem łagodności i delikatności – w sytuacjach zagrożenia nie można bawić się w ceremoniałność: o tym, jak wysoką płacą nierzaz cenę za wypełnianie swej powinności, najlepiej wiedzą chirurdzy ich jednostek. Nie, nie domagają się, aby byli lubiani i tolerowani na jakichś tam wyjątkowych prawach: – Niech nas niektórzy ludzie zaczną traktować wreszcie bez uprzedzeń – mówią. – Niech spróbują nas poznać i zrozumieć”.

„Życie Warszawy”, 15 X 1982

PRAWA CZŁOWIEKA A POLSKA

Ryszard Szawłowski

Wawersna nr 111. MOP. Jowycza dyskryminacji w
zakresie zarobkowym i wykoonywania zwoedu
Prawo (1983 (XLI)) Rady Gospodarczej i Społec-
znej ONZ – sprawa naruszeń praw człowieka i pod-
stawowych swobód, włączając politykę dyskrymi-
nacyjną i apartheidu, we wszystkich krajach, ze
zwłaszcza w krajach rozwijających się kolonialnych i
krajach zależnych, krajów i terytoriów.
Rezolucja 1505 (XLVIII) Rady Gospodarczej i Spo-
łecznej ONZ – postępowanie z donatorami doty-
czącymi naruszeń praw człowieka i podstawowych
swobód.
Je 79 (L VIII) Rady Gospodarczej i Społecznej
ONZ – sprawa naruszeń praw człowieka i pod-
stawowych swobód.

Ryszard Szawłowski PRAWA CZŁOWIEKA A POLSKA

Do nabycia w księgarniach polskich lub
bezpośrednio u wydawcy

POLONIA BOOK FUND LTD
8 QUEEN ANNIE'S GARDENS
CHISWICK, LONDON W4 1ET

Cena £4.50 (lub równowartość) plus przesyłka

POLTYTUŁY POLPRASY

Czy partii zagraża luka pokoleniowa?
„DZIVEX” przed sądem
Kombatantki wiejskie i żołnierze
Jaja poł wysokim napięciem
Remonty i tatanie pościeli
Rosną szeregi PRON
Ti zeba odrodzić ojczyznę
Tadeusz Piguła mistrzem Europy
Bocian w odwiedzinach
Integracja doliny Nilu
Cel: poznanie Kraju Rad
Aktywne działanie ogniw PRON
Antypolska wystawa w Bonn
Kampania antypolska w Waszyngtonie
Antykommunistyczny trust mózgow obradował w Waszyngtonie
Kryzys w amerykańskim rolnictwie
Zajścia uliczne w Waszyngtonie
Zadyszka w japońskiej gospodarce
Apel radzieckich związkowców
Jurij Andropow przyjął kosmicznych rekordzistów
Likwidowanie grup kontrrewolucjonistów w Afganistanie
Reglamentacja butów, pończoch i bielizny
Uniwersalna gęś
Powstają nowe ogniska PRON
Indory wyróżniona
Pokój i postęp społeczny — celem działalności ZSRR
Waionki zapowiadają zimę
Szampan za wódkę
Szpary w wielkiej płycie Jadwisłna
Barwniki z marchwi?
Czym zakąsać?
Papier jest czy go nie ma?
Gadu, gadu, a licznik bije
Waciak też grzeje
Paryż i Bonn — Tandem czy oś nuklearna
Rąbanka drożej
Rosną szeregi PRON

PULS 81

Redakcja niezależnego kwartalnika PULS przyznała na posiedzeniu w dniu 17 września ubiegłego roku nagrodę PULS ROKU 1981 Janowi Nowakowi-Jeziorańskiemu za jego książkę „Kurier z Warszawy”, wydaną na Zachodzie przez wydawnictwo ODNOWA a w Polsce przez NIEZALEŻNĄ OFICYJNĄ WYDAWNICZĄ (NOWA).

LIST JANA NOWAKA

Drodzy Panowie.

Wypada zacząć ten list od serdecznego podziękowania zespołowi redakcyjnemu za nagrodę „PULS 81”, przyznaną mi za książkę „Kurier z Warszawy”. Opisałem w niej wojenne losy pokolenia, do którego należę i fragment historii oglądany przez pryzmat osobistych przeżyć.

Tok wydarzeń opisanych w moich wspomnieniach urywa się w chwili klęski i zawiedzionych nadziei. Zwycęstwo nad Hitlerem nie przyniosło uwolnienia. Nocy okupacji hitlerowskiej nie zakończyło wyczekiwane światło poranka. Otwierata się druga noc, wydawało się bez świtu. Byliśmy opuszczeni przez sojuszników, zdani na własne siły, straszliwie osłabione wojennymi upływem krwi. Wojna położyła pokosiem pokolenie „Szarych Szeregów”, Batalionów „Zośka” i „Parasol”. Zginęli najlepsi i najbardziej ofiarni – ci, którzy stanowili kręgosłup Polski Walczącej. Warszawa, jej serce, nie istniała. Pozostało po niej morze ruin i zgłiszcz. Trudno było znaleźć jakiś punkt zaczepienia dla nadziei, które nie byłyby oderwa-

nym od rzeczywistości marzeniem. Znajdowaliśmy ją w naszej polskiej naturze, którą wbrew najgorszemu odrzucił uporeczywie-wewnętrzna kapitulację.

Nawet w tych najcięższych chwilach nie opuściło mnie szczęście, które szło ze mną pod rękę jakby prowadząc przez niebezpieczeństwa i przygody wojenne, opisane w „Kurierze z Warszawy”. To niezwykle szczęście pozwoliło mi kontynuować w innej formie dawną miłą łącznika między zruwowanym krajem i wolnym Zachodem. To szczęście dało mi do ręki jedyny oręż. Jaki nam tu na obczyźnie pozostał: wolne słowo.

Zostaje redaktorem Polskiej Sekcji BBC, jednym z garstki kilkunastu uprzywilejowanych ludzi, którzy mogą mówić i docierać do milionów poddańców w kraju. A w dniu 3 maja 1952 z wielkiego studia nr 1 w budynku na skraju Englischer Garten w Monachium, w obecności z górą setki pisarzy, dziennikarzy i aktorów wygłaszam przemówienie do kółu otwierające całodzienne audycje Rozgłosu Polskiej Radu Wolna Europa.

Nad Polską wciąż rozciąga się gęsty mrok stalinowskiej nocy. Więziennia bezpieki są pełne, tysiące ludzi przechodzi tortury śledztwa, odbywają się procesy pokazowe i kapturowe, wykonywane są wyroki śmierci, ludzie są sterroryzowani, więź społeczna zniszczona przez gęstą sieć konfidentów i wzajemną nieufność, społeczeństwo – w pierwszym rządzie młodzież – poddane intensywnemu praniu mózgow.

Zanim nasz sygnał – pierwsze tony majowego mazurka – rozległ się po raz pierwszy w eterze, poszliśmy wszyscy na Mszę świętą do polskiego kościoła św. Barbary. Przybyły z Paryża ksiądz przypominał o tym, jak to mury Jerycha padły od dźwięku trąb Izraela. Ale ostrzegł, abyśmy nie wyobrażali sobie, że pod ciężarem naszych słów zawali się komunizm w Polsce. W godzinę później zakończyłem inauguracyjne przemówienie do kraju słowami nadziei płynącymi z najmocniejszego przekonania. W dwadzieścia siedem lat później tymi samymi słowami zakończyłem „Kuriera z Warszawy”:

„Nadejdzie jeszcze ten dzień, kiedy jutrzeńka swobody zabłyśnie znowu nad Warszawą. Będzie to dzień Waszego zwycięstwa, Waszego tryumfu tryumfu narodu, który nigdy nie utracił wiary.”

Kiedy skończyłem, poszedł do mnie obecny na sali, najwybitniejszy wówczas polski socjolog, Ryszard Wraga. Powiedział krótko: „Żał mi was. Ten ksiądz miał rację. Radłem muru nie przebijecie. Czekajcie na los, jaki spotkał Ukrainę w okresie między wojnami. Nie upłynie ćwierć wieku a z Polski pozostanie już tylko nazwa. Młode pokolenie, wychowane w komсомоле, zachowa zewnętrznie formę polskości, ale myślenie będzie po sowiecku.”

- Cóż pokolenie w ZSSR odpowiedziałem wychowane było w szeregach zamkniętym społeczeństwie. Produktem tej hermetycznej izolacji od świata zewnętrznego były zniewolone umysły. Ta radiostacja, która zaczyna dziś nadawanie programu, pozbawił reżym totalitarnego monopolu informacji i wychowania, ograniczy skutecznie cenzurę a tym samym udaremnił pranie mózgow. My Polscy nie wywołamy, ale możemy pomagać społeczeństwu, zwłaszcza młodemu w zachowaniu niezależności umysłów.

– Możecie co najwyżej prowadzić akcję opóźniającą – zakończył rozmowę Wnaga.

Nawet w sennych marzeniach nie mogłem wtedy przewidzieć, że to moje przemówienie z 3 maja 1952 r., utrwalone na płycie RWE „Kawalkada Czasu” – w 28 lat później, w czasie strajku studenckiego w Krakowie wysłucha młodzież akademicka licznie zgromadzona w auli Jagiellońskiej Alma Mater. Jak później napisał do mnie jeden z obecnych, powitane było nie tylko burzą oklasków ale i łzami. Kiedy wygłaszałem moje słowa nadziei, tych ludzi nie było jeszcze na świecie.

Po upływie ćwierci wieku pracy w radio przeszedłem w końcu, jak się to mówi, w „stan spoczynku”. Chwila rozstania się z Rozgłośnią nie należała do najradośniejszych. Ale jak się później okazało i teraz szczęście mnie nie opuściło.

Do tej chwili błętnie przez życie w takim tempie, że trudno było oddech złapać. Teraźniejszość tak pochłaniała wszystkie czas i siły, że trudno było rzucić okiem za siebie i powrócić myślą do przeszłości. I oto nagle wyrwani zostaliśmy oboje z ludzkiej gromady, z kleratu i zgiełku codziennej orki, by znaleźć się w zupełnym odosobnieniu, w najbardziej uroczym ustroniu górskim, na alpejskiej przełęczy, skąd rozciągał się wspaniały widok zamknięty łańcuchem szczytów górskich, nieustannie zmieniających swe barwy i szaty zależnie od pory dnia i roku. Nie było telefonu a w zimie potężne zwały śniegu odgradzały od reszty świata.

Na tym odludziu zabrałem się do pisania „Kuriera z Warszawy”. Był rok 1976. Na krótko przed odejściem z radia w jednym z moich komentarzy cytowałem Sołżenicyna, który powiedział, że gdyby lud rosyjski nie był sparaliżowany łańcuchem a ludzie umieli zdobyć się na zbiorowe przejawy odwagi – nie byłoby powodu do napisania jego książki, bo nie byłoby Archipelagu Gulag. „Nuszuwa się pytanie – mówiłem słuchaczom – jak wyglądałaby rzeczywistość w Polsce, gdyby barierę strachu zdołały przetrwać nie jednostki, nie ludzie najodważniejsi, ale całe społeczeństwo albo większa jego część.” („Polska pozostała sobą”, str. 13).

Mówiłem to w lipcu 1975 r. a w rok później rozpoczął się w Polsce wielki szturm, który w ciągu następujących czterech lat doprowadził do obalenia bariery strachu i przyniósł narodziny Solidarności. Zaczęło się od zbiorowych aktów odwagi cywilnej, jakimi były podpisywane intencje i nazwiskiem petycje i protesty a później czerwcowe wystąpienie robotników i powstanie KOR-u.

Gdy to się działo w Polsce, ja w moim górskim ustroniu pisałem „Kuriera z Warszawy”. Nie śniłem nawet, aby ta książka mogła za życia mego ukazać się w Polsce poza cenzurą. Nie spodziewałem się, że spotka się z szerszym oddźwiękiem nawet w wąskim kręgu czytelników na emigracji. Przyzwyczajony do nagonki, której rodacy nie szczędzili, gdy kierowałem radiostacją, oczekiwałem raczej ataków, krytyki, wyciągania nieczistości i pomyłek, nieuniknionych w odwarzaniu wydarzeń sprzed 30 lat. Był to mój literacki debiut. Wygłosiłem w życiu Bóg wie ile przemówień radiowych i napisałem chyba z setkę artykułów. Niektóre wydałem w druku jako zbiór. Nie napisałem w życiu żadnej książki i nie miałem jakichkolwiek ambicji literackich. Nie szukałem wzorów i naśladowałem tylko samego siebie, starając się pisać tak jak opowiadam komuś przebywającemu w tym samym popoju, a nie chcąc go nużyć staram się nadać narracji wartkie tempo. A jednak miałem

widocznie fakcie niejasne przeczucia. Mój londyński wydawca, nieoceniony Jerzy Kulczycki, śmiał się ze mnie, gdy zastrzegłem sobie w umowie prawa autorskie na Polskę. — Ależ z pana optymistą — powiedział — daj Boże, aby pan się doczekał ukazania „Kuriera z Warszawy” w kraju.

Czekałem tylko dwa lata na tą chwilę, kiedy ze wzruszeniem brałem do ręki egzemplarz „Kuriera z Warszawy” odbity jak za tamtych wojennych czasów w jakiejś pracującej w ukryciu drukarni lecz rozpowszechniany jawnie przez ludzi, którzy zwycięsko przełamali barierę strachu.

Powodzenie książki było zupełnie zaskoczeniem. Rozumiem czytelników, którzy są moimi rówieśnikami. Łączą ich z autorem podobne doświadczenia. Choć z konieczności pisalem w pierwszej osobie, chciałem, aby to były pamiętki mego pokolenia, tak aby każdy mógł odnaleźć w tej książce samego siebie i autentyczną atmosferę tamtych lat. Jestem szczęśliwy, że to mi się udało. Lecz największą niespodzianką było przyjęcie z jakim „Kurier z Warszawy” spotkał się wśród ludzi urodzonych już po wojnie. Może dlatego, że dotarł do nich w historycznym momencie wielkiego przebudzenia, kiedy w tym pokoleniu wychowanym w Polsce Ludowej odezwał się głód prawdy historycznej, dotychczas ukrywanej i przemilczanej. A także silny popęd szukania w tej niedawnej przeszłości źródła dumy, wтары we własne siły i natchnienia do działalności na dziś.

Mógłbym napisać drugą książkę o tych przeróżnych echaх, które „Kurier z Warszawy” przywołał z kraju. Najmocniejszym były słowa uznania dla książki wypowiedziane przez Mirosława Chojeckiego z ławy oskarżonych przed sądem w Warszawie. A teraz ta nagroda, którą zechciał mnie wyróżnić ukazujący się w Polsce poza cenzurą kwartalnik PULS. Ma ona dla mnie wynowę wstrząsającą, bo otrzymuję ją z rąk przedstawicieli pokolenia, które w wielkiej, historycznej sztafecie, przejęło pałeczkę z rąk poprzedników, by biec dalej ku tej samej mecie. Nie chcę wpadać w patos, ale nie jest to dla mnie tylko nagroda literacka. To jest nagroda całego mojego dotychczasowego życia. Dotarła do mnie znówu w chwili tragicznej, których tak wiele było w dwóch ostatnich stuleciach naszego narodowego żywota. Gdy piszę te słowa wicher z tych, którzy obdarzyli mnie tym zaszczytnym wyróżnieniem z Jackiem Bieńczykiem na czele przebywa w obozach internowania albo w więzieniach. Pogrom z 13 grudnia 1981 r. zdołał jednak zniszczyć tylko zewnętrzne mury tego imponującego budynku, który nosi nazwę Solidarność. Z nauki całego mego życia wypełnionego nieoczekiwanymi zwrotami historii, których nikt przewidywać nie zdołał, wypływa niezlomna nadzieja na przyszłość. I choć nadeszła już jesień życia, wciąż wierzę, że może jednak przyjdzie ta chwila, kiedy Bóg pozwoli stanąć na polskiej ziemi, z którą w myślach i w sercu nigdy się nie rozstałem.

Obysmy mogli, drodzy Przyjaciele, uścisnąć sobie kiedyś dłonie w wolnolnionej przez Was Warszawie.

Jan Nowak

(Zdzisław Jeziorański)

Waszyngton, luty 1982 r.

SPOSOBY DRUKOWANIA

Najprostszym urządzeniem do drukowania, wielokrotnie sprawdzonym w działaniu jest tzw. "ramka". W warsztacie można ją wykonać w ciągu paru godzin. Jedynymi elementami "specjalistycznymi" niezbędnymi do drukowania są matryce białkowe (tzw. woskówki) i farba drukarska. Jednak nawet przy ich braku można korzystać ze środków zastępczych. Obniża się przy tym jakość druku i wydajność -- lecz i tak jest to opłacalne.

JAK WYKONAĆ "RAMKĘ"

Urządzenie składa się z drewnianego blatu (patrz rys. 1) o wymiarach ok. 450x360x30 (wszystkie wymiary w mm) i przymocowanej do niego ramki drewnianej (2) o wymiarach wewnętrznych (tzn. "otworu") ok. 360x270. Ramkę można kupić w sklepie dla plastyków (ok. 100 zł.) bądź wykonać własnoręcznie, zwracając uwagę by połączenia były gładkie, a cała ramka tworzyła jedną płaszczyznę. Rogi wzmacniamy metalowymi łącznikami (8). Na gotową ramkę naciągamy z jednej strony szyfon (materiał używany m.i. na apaszki), przypinając go do jej boków pinezkami bądź zszywaczem (7). Szyfon powinien być naclągnięty bardzo mocno, a jego włókna mają układać się względnie równoległe do boków ramki. Następnie ramkę przymocowuje się dwoma zawiasami (3) do listwy o przekroju ok. 30x30 (4), a listwę przybija do blatu. W efekcie ramka zawisa równoległe do blatu w odległości ok. 3 cm i daje się swobodnie podnosić. Szyfon znajduje się od strony blatu.

JAK WYKONAĆ WAŁEK Drukarski

Wałek o średnicy 30 mm i długości 210 mm należy wytoczyć z duralu lub innego lekkiego stopu (musi być lekki). Wzdłuż jego osi należy wywiercić z obu stron otwory i wbić siłowe boki (9), a ich wystające poza wałek fragmenty wytoczyć do grubości 5 mm i odpiłować, pozostawiając po 5 mm z każdej strony. W ten sposób mamy lekki wałek z osią wytrzymałą na tarcie. Pozostaje do wykonania uchwyty. Jego boczne płaszczyzny to kawałki blachy stalowej grub. ok. 3 mm odpowiednio wycięte i nawiercone (10). Średnica dołnego otworu w

który wejdzie os · minimalnie większa niż 5 mm. Średnica górnych otworów · zależy od grubości wkrętów, którymi będą przykręcone płaszczyny boczne (10) do płaszczyny górnej (11). Powyższy opis uchwytu jest jednym z wielu wariantów. Wykonanie może być dowolne, przy założeniu, że całość pełni następujące warunki: będzie lekka, watek może swobodnie się obracać i ma idealnie gładką powierzchnię.

PRZYGOTOWANIE MATRYCY

Matrycę (woskówkę), składającą się z dwóch lub trzech warstw, wstawiamy do maszyny do pisania i piszemy na niej b e z t a ś m y żądany tekst. Od napisanej matrycy odrywa się wszystkie warstwy, pozostawiając górną (cienką bibulka, najczęściej niebieska lub szara). Patrząc przez gotową matrycę na światło tło jest matowe, a napisany tekst przeświadcza otworkami w kształcie liter.

Przy braku matrycy należy wkręcić w maszynę folię aluminiową (używaną w gospodarstwie domowym), a pod nią papier ścierny drobnoziarnisty (np. nr 400) stroną "czynną" do folii. Tekst pisze się również bez taśmy. Tam gdzie uderzy czciouka powstaną drobne otworki w kształcie liter, które będą przepuszczały farbę.

PRZYGOTOWANIE FARBY DRUKARSKIEJ

Najlepsza jest farba drukarska typograficzna. Jest bardzo gęsta, gnieźy więc ją rozcieńczyć do konsystencji bardzo gęstej śmietany. Jako rozcieńczalnika należy używać pokostu lnianego lub jakiegokolwiek oleju spożywczego. Przy braku dostępu do farb drukarskich należy sporządzić ją we własnym zakresie, zwracając uwagę, by barwnik i rozcieńczalnik były na bazie tłuszczu. Może to być np. czarna pasta do butów (jako barwnik), wymieszana miksersm z szarym mydłem (pasta do mycia ścian). Aby farba szybko wysychała można dodać benzynę ekstrakcyjną. Wszystkie to są jednak środki zastępcze bardzo pogarszające jakość wydruków. Właściwa farba jest najważniejszym czynnikiem dobrego druku. W pierwszym rzędzie należy postarać się o dostęp do farby drukarskiej z drukarni. Jeden stoik 1/2 l. po rozcieńczeniu wystarcza na ponad 10 tys. stron druku.

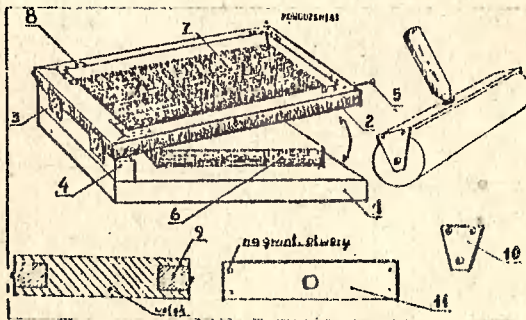
PROCES DRUKOWANIA

Do ramki przypinamy od dołu (pod szyfonem) matrycę w taki sposób, by po opuszczeniu ramki na blat tekst był czytelny (od spodu widać zwierciadlane odbicie). Na spory kawałek szyby leje się rozcieńczoną farbę i rozprowadza wałkiem, tworząc równomierną, cienką warstwę. Farba pozostaje również na wałku drukarskim. Na blacie (pod

ramkę, szyfonem i matrycą) leży stos papieru (6) format A 4, o wysokości trochę większej niż grubość listwy (4). Stojąc przy stole, na którym leży ramka (uchwytem (5) do drukującego) należy lewą ręką ująć uchwytem i lekko docisnąć ramkę z matrycą do papieru. Jednocześnie trzymanym w prawej ręce walcikiem z farbą należy kilkakrotnie delikatnie "przejechać" po szyfonie, aby cała powierzchnia zabarwiła się na jednolity czarny kolor. Następnie unosimy ramkę. Pomocnik zdejmuje odbitkę (farba z wafka przeszła przez szyfon, otwory w matrycy i pozostała na papierze). Pierwsze 10 - 15 odbitek jest zwykle do wyrzucenia (nierównomierny rozkład farby). Co 50 - 80 odbitek należy przejechać walcikiem po szybie, by naładować farbą.

Wprawna para drukarzy jest w stanie robić 600 - 800 odbitek na godzinę (sprawdzone!). Zachodnia woskówka tzw. stencil wytarcza na kilka tysięcy odbitek; krajowa np. produkcji Gryfino na kilkaset. Folia aluminiowa na 150 - 200. Wszystko zależy od wprawy.

POWODZENIA!



PULS 14: Szymon ASKENAZY - O woli narodowej; Sławomir MROŻEK - Trzy tysiące dziewięćset siedem; KRZYWOUSTY - Normalizacja?; Bolesław SULIK - Śladem noża; Miklos HARASZTI - Kadaryzm; GŁOSY PISARZY BRYTYJSKICH; POEZJA CZASU WOJNY; PULS 81 - Liat Jana Nowaka; FOTOGRAFIA - Redakcja "Pulsu"; Henryk GRYNBERG - Życie jako dezintegracja; Jerzy HORZELSKI - Dwa oblicza rzeczywistości; Arthur KOESTLER - Wieża kontrolna; SYLWETKI - Walery Sławek; ARCHIWUM EMIGRACYJNE - Gustaw Herling Grudziński - Genealogia teraźniejszości polskiej; DRUGI BRZEĞ - Ludwik Cohn; WYWIAD PULSu - Agnieszka Holland; RECENZJE; GRAFIKA - Rysunki Jana Sawki; POLITYTUŁY POLPRASY; Z FRONTU.

PULS 15-16: David THOREAU - Obywatelskie nieposłuszeństwo; Jacek Bierozin - Do czytelników i przyjaciół; T.M. - Cztery pierwsze dni; A.A. - Powiedźcie że się nie poddałem; Janusz ANDERMAN - Trzy opowiadania; KRZYWOUSTY - Strajkować czy nie strajkować?; Milan KUNDERA - Księga śmieszności i niepamięci; Wojciech KARPINSKI - Droga do wolności; Samuel BECKETT - Katastrofa; Jan KOTT - Ioneco albo śmierć w ciąży; Josif BRODSKI - 24 grudnia 1971 roku; Stanisław BARANCZAK - Wpływ Josifa Brodskiego na literaturę polską; Alicja IWANSKA - Miasto "W"; Bolesław SULIK - Edek; Tadeusz KORZENIEWSKI - List za siebie; POJEDYNKI - Od siebie o "Liście za siebie" - Tadeusz Kadenacy; FOTOGRAFIA - J. Czapski, K.A. Jeleński, S. Mrozek, J. Lebenstein; SYLWETKI - Kazimierz Pużak; CZARNA KSIĘGA CENZURY - rok 1853; ARCHIWUM EMIGRACYJNE - Ksawery Pruszyński - Promienie ultraczerwone;

DRUGI BRZEG - Zygmunt Szyszko-Bohusz;
GRAFIKA - Rysunki Sławomira Mrożka; MUZEUM
RUCHU REWOLUCYJNEGO; SOW SHOW; POLITYTUŁY
POLPRASY; Z FRONTU.

PULS 17: Zygmunt KRASINSKI - List do
Henryka Reeve; Anka KOWALSKA - Z gypsov do
kraju; Janusz ANDERMAN - Choroba więzienna;
Jacek BIEREZIN - Wiersze; Sławomir MROZEK -
Do dyrekcji Muzeum w Łówr, zagranicą;
Włodzimierz ODOJEWSKI - Co słychać w oj-
czyźnie?; Małgorzata GRZES - Wiersze;
Bronisław WILDSTEIN - Czekanie; PULS ROKU 82
- Marek Nowakowski; Stanley DEMBOWSKI -
Banki, tanki i wolność; W OCZACH ROSJAN;
Tomasz MIANOWICZ - O nowy model; Josef
SKVORECKY - Red music; Witold SUŁKOWSKI -
Notatki amerykańskie; Jan KOTT - Polska
diaspora; DWUGŁOS O ADAMIE WĄZKU - Stanisław
Barańczak, Włodzimierz Odojewski; REGENZJE;
DRUGI BRZEG - Grażyna Kuroń; ARCHIWUM EMI-
GRACYJNE - Adam Pragier - Marx o Polsce;
GRAFIKA - Rysunki Michała Hudaka; MUZEUM
RUCHU REWOLUCYJNEGO; SOW SHOW; POLITYTUŁY
POLPRASY; ŻYŁA - Niezależny organ Jacka
Bierezina; Z FRONTU.

PULS

*przeczytaj
i zabierz
do
Polski*

350